

ROK XXIII.
Ogólnego zbioru Tom XCI.

ATENEUM



PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM III. — ZESZYT II.



Sierpień.



WARSZAWA,
1898.

Druk Jana Cotty.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 11.

Druk ukończono d. 23 sierpnia 1898 r.

SĄD PRZYSIĘGŁYCH.

Jesteśmy prawdopodobnie w przededniu wprowadzenia u nas sądów przysięgłych. Prace komisyi, Najwyżéj zatwierdzonéj przy ministeryum sprawiedliwości celem przejrzenia ustaw sądowych, szybkim krokiem posuwają się naprzód. Jeszcze lat parę, a będziemy mieli nową organizacyę sądową, ulepszoną i więcéj jednolitą. Zachowanie w niéj sądów przysięgłych nie ulega najmniejszéj kwestyi. Według sprawozdania profesora d-ra W. Miklaszewskiego, pytanie co do sądów przysięgłych trzykrotnie już zwracało na siebie uwagę komisyi i zawsze było rozstrzygane przychylnie. Pierwszy raz przy rozważaniu głównych zasad urządzeń sądowych dotknięto tego pytania i wyrzeczono, że tylko dzięki przysięgłym czyn przestępny może być oceniony z uwzględnieniem żywego i bezpośredniego poczucia prawdy i sprawiedliwości. Następnie, przy rozważaniu istoty téj instytucyi w zgromadzeniu starszych prezesów i prokuratorów izb sądowych, uznano prawie jednogłośnie, że sąd przysięgłych należy uważać za najlepszą formę sądu, że sąd ten stał ciągle na wysokości swego zadania i że jego działalność jest zupełnie zadawalniająca, oraz że należy myśléć nie o ograniczeniu, lecz raczéj o rozszerzeniu jego kompetencyi. Nakoniec w I-ym wydziale komisyi co do udziału pierwiastku społecznego przy wymiarze sprawiedliwości karnéj wyrzeczono, że sąd przysięgłych, z małemi wyjątkami, zawsze czynił zadość swemu przeznacze-

niu, i wniesiono o rozszerzenie jego działalności [1]). Możemy się więc spodziéwać, że przy nowéj organizacyi sądowéj sąd przysięgłych zawita i do nas. Kwestya ta zainteresuje wtedy nietylko prawników, ale i szerszy ogół naszego społeczeństwa. Wobec tego wartoby może powiedziéć o niéj słów parę.

I.

Nie sięgając w zamierzchłą przeszłość, kiedy władzę sądową sprawowały najróżnorodniejsze organy: to zebranie starszych w gromadzie, to wódz lub król osobiście albo przez mianowanych do tego urzędników, to wreszcie sędziowie wybieralni, a zwracając się tylko do czasów nowszych, mających ściśle określoną organizacyę sądową, dostrzegamy trzy rodzaje sądów.

Na stałym lądzie Europy władza państwowa, dążąca do coraz większéj centralizacyi, nie poprzestaje na zarządzie państwem, lecz bierze w swoje ręce wszystko, co tylko może schwycić, wszystko, co wychodzi po za sferę prywatnéj działalności jednostki, więcéj nawet,— wdziéra się ona w życie prywatne, kontroluje stosunki rodzinne. Nic więc dziwnego, że państwo zagarnęło w swoje ręce i wymiar sprawiedliwości, że sądownictwo stało się wyłącznie rządowém. Na polu centralizacyi wyrósł i rozwinął się system sądów rządowych czyli koronnych, to jest złożonych wyłącznie z płatnych urzędników, naznaczanych przez rząd. U nas system ten przeważa i w chwili obecnéj, z wyjątkiem sądów gminnych wszystkie inne sądy rekrutują się jedynie z urzędników. Najniższą instancyę stanowi sędzia pokoju, rozstrzygający jednoosobowo sprawy mniejszéj wagi; skargi apelacyjne na jego wyroki (a także na wyroki sądów gminnych) podają się do zjazdu, złożonego z sędziów pokoju i sędziów gminnych. Sprawy ważniejsze rozstrzyga kolegialnie sąd okręgowy, a w charakterze instancyi apelacyjnéj — izba sądowa, która także pewną kategoryę spraw sądzi w pierwszéj instancyi. Skargi kasacyjne na wyroki zjazdów i izb sądowych a także apelacyjne na wyroki izb sądowych w pierwszéj instancyi idą na rozstrzygnięcie senatu, którego decyzye mają moc bezwzględnie obowiązującą i nie ulegają zaskarżeniu.

Kiedy na kontynencie Europy słaba z początku władza państwowa nabiérała coraz więcéj siły, zagarniając wszystko w swoje ręce,

[1]) Dr. W. Miklaszewski. „O sądach przysięgłych według projektu Komisyi, Najwyżéj utworzonéj przy ministeryum sprawiedliwości celem przejrzenia ustaw sądowych.“ „Gazeta sądowa warszawska“ z r. 1897, Nr. 33, str. 533.

w Anglii działo się odwrotnie. Władza królewska, scentralizowana i silna przy pierwszych królach z dynastyi normandzkiéj, powoli zaczyna słabnąć, ustępując coraz więcéj miejsca współdziałaniu pierwiastku ludowego. Jedna funkcya za drugą przechodzi z rąk króla do narodu, aż nareszcie władza królewska staje się prawie nominalną. Jednakże charakterystyczną cechą Anglików jest to, że zmieniając treść, pozostają oni bardzo przywiązanymi do formy. To téż nominalnie wszystko się odbywa w imię króla (obecnie królowéj), a wszechwładny pierwiastek ludowy uważany jest tylko jakby za dodatek. Jedną z pierwszych funkcyi, jakie od króla przeszły w ręce narodu, był wymiar sprawiedliwości. Pierwotnie, wszystkie sprawy rozstrzygali w imieniu króla urzędnicy koronni, ale i wtedy naród brał już znaczny udział w sądzeniu. Kiedy wynikał spór, albo zostało spełnioném przestępstwo, urzędnik koronny zjeżdżał na miejsce i zbiérał wszystkie możliwe dane co do sprawy. O obecnym systemie dowodów nie miano wówczas jeszcze pojęcia, w większości wypadków jedyne informacye można było zasięgnąć od okolicznych mieszkańców, którzy znali przestępcę lub strony wiodące spór i udzielali urzędnikowi objaśnień w formie nie tyle dowodów, ile przeważnie osobistych swoich zdań o danym osobniku. Byli to poniekąd świadkowie, czasem eksperci. Z biegiem czasu zeznania ich zaczęto odbiérać pod przysięgą, ale zawsze były to tylko zeznania, na zasadzie których sprawę rozstrzygał urzędnik. Powoli, w drodze zwyczaju określoną została liczba tych świadków — dwunastu. Zwyczaj także wprowadził obowiązującą jednomyślność ich zdania, tak że urzędnik, który zrazu był sędzią, powoli ujrzał się skrępowanym, nie mógł bowiem wydać wyroku, niezgodnego z jednomyślném zdaniem dwunastu wybranych obywateli. Dawni świadkowie zmienili się w sędziów, dawny sędzia zachował rolę kierującego formalną stroną obrad, zmienił się w prezesa sądu. Tak powstał sąd przysięgłych, sąd złożony z obywateli pod formalném przewodnictwem sędziego koronnego. Formacya ta odbywała się powoli, krok za krokiem, bez gwałtownych przewrotów i zmian; niepodobna téż określić, kiedy właściwie powstały w Anglii sądy przysięgłych. Obecne prawo nadało tylko sankcyę skrystalizowanéj oddawna formie.

Podczas wielkiéj rewolucyi francuskiéj, kiedy naród zaczął brać poważny udział w sprawowaniu rządów, postanowiono oddać mu i cząstkę władzy sądowéj i w tym celu na grunt francuski żywcem przesadzono z Anglii sąd przysięgłych. Prawa z d. 30 kwietnia 1790 roku i 16 września 1791 roku wprowadziły sądy przysięgłych we Francyi, ale ograniczyły ich kompetencyę, oddając przysięgłym do rozstrzygania tylko sprawy kryminalne. Na gruncie francuskim sąd

przysięgłych ulegał kilkakrotnie poważnym zmianom i w zmienionéj już formie za pośrednictwem Francyi przedostał się do wszystkich prawie państw europejskich. Francuski sąd przysięgłych składa się z dwóch części: 1) z trzech sędziów koronnych (nie zaś jednego, jak w Anglii), którzy rozstrzygają kwestye prawne i w razie skazującego werdyktu przysięgłych określają karę, i 2) z dwunastu sędziów przysięgłych, rozstrzygających kwestye faktu i wyrzekających ostateczną decyzyę co do winy oskarżonego.

Rosya przyjęła francuską formę sądu przysięgłych i wprowadziła go wraz z reformą sądową w d. 20 listopada st. st. 1864 roku. Przy rozszerzeniu ustaw sądowych na Królestwo Polskie w r. 1876, nie wprowadzono u nas sądów przysięgłych i sprawy podlegające ich kompetencyi oddano do rozstrzygnięcia sądom okręgowym, złożonym tylko z sędziów koronnych.

Trzeci typ sądu wytworzył się w Niemczech na gruncie czysto teoretycznym. Metafizyczny umysł Niemców, spostrzegając pewne wady jak w sądach koronnych tak i w sądzie przysięgłych, na zasadzie filozofii czysto spekulacyjnéj doszedł do wniosku, że wady obydwóch instytucyi zostaną usunięte, jeżeli się obie połączy w jedno kolegium, w którém sędziowie koronni sądziliby wspólnie z przedstawicielami narodu. Przypomniano sobie, że niegdyś, bardzo dawno, istniały w Niemczech sądy ławnicze *(Schöffen)*, złożone z sędziów w części wybieralnych, w części naznaczanych przez władzę, nadano starą nazwę nowéj rzeczy i utworzono sądy *schöffen*'ów, składające się z sędziów wybieralnych pod przewodnictwem urzędnika państwowego. Nieco zbliżonym do tego jest sąd rosyjskiéj izby sądowéj z przedstawicielami stanów, rozstrzygającéj niektóre sprawy, „tymczasowo" wyjęte z pod kompetencyi sądów przysięgłych.

Mamy więc trzy zasadnicze typy sądów kryminalnych: sąd koronny, sąd przysięgłych i sąd mieszany [1]).

[1]) Ściśle biorąc, istnieje jeszcze czwarty rodzaj sądów, a mianowicie: sądy wybieralne, jak np. sądy gminne u nas, sędziowie pokoju w niektórych miejscowościach Rosyi, sądy wiejskie *(wołostnyje)* dla włościan rosyjskich i t. p. Nie uważam jednak za słuszne tworzyć z tego rodzaju sądów osobny typ w niniejszym podziale, gdyż sądy wybieralne albo składają się z wykwalifikowanych prawników, a wtedy niczém się nie różnią od koronnych z wyjątkiem może tego, że sędziowie zależnymi są nie od władzy lecz od wyborców; albo składają się w części z fachowców-prawników, w części z żywiołu społecznego — wtedy stają się sądami trzeciego typu — mieszanemi; albo wreszcie składają się wyłącznie z nie-prawników— wtedy, będąc pozbawione kierownictwa specyalisty, nie mogą rozstrzygać spraw ważniejszych, wymagających stosowania się do przepisów prawa stanowionego,

Postarajmy się przedewszystkiém wykazać, który z nich najbardziéj się zbliża do ideału sądu bezstronnego, który ma najwięcéj zalet przy najmniejszéj ilości wad. Nie zadaję pytania, który sąd jest bezwzględnie dobry, bo każdy sąd, jak wszystko co ludzkie, musi miéć słabe strony; idzie tylko o to, który jest najlepszy. „Każdy sąd, mówi prof. Spasowicz, jest niby narzędzie mające zalety i wady, które dają się wyrozumiéć tylko przez porównanie go z innemi odmiennéj konstrukcyi narzędziami. Bezwzględna doskonałość jest oczywiście mrzonką: najlepszym sądem będzie ten tylko, który w porównaniu z innemi ma więcéj zalet przy mniejszych wadach. Ocena instytucyi ma zawsze formę bilansu, w którym się zestawiają aktywa i pasywa" [1]). Przyjrzyjmy się z kolei aktywom i pasywom każdego rodzaju sądów.

1. Sąd koronny składa się z urzędników, ludzi z wyższém wykształceniem, którzy, poczynając od ławy uniwersyteckiéj, przez całe życie studyują prawo, poznają najdokładniéj wszystkie jego szczegóły i zagadki, kwestye podnoszone w sądzie nie są dla nich nowością, otrzaskali się z niemi oddawna, w postępowaniu sądowém niema dla nich niezrozumiałych wyrażeń, język, którym przemawia prawo, to ich język, pojęcia prawne stały się ich pojęciami. Sędzia koronny, jako prawnik wykształcony teoretycznie i praktycznie, szybciéj zrozumié, o co rzecz idzie, nie zgubi się w szczegółach zawiłéj kombinacyi prawnéj, nie będzie miał do czynienia z niezrozumiałemi dla niego zagadkami. Nie da się on uwieść kwiecistéj swadzie prokuratora ani patosowi obrońcy, siłą rutyny doszedł już do tego, że z pośród napuszonych frazesów i górnolotnych wyrażeń bez trudu potrafi wybrać to, co stanowi istotę rzeczy, nie zmiesza drobiazgów z treścią, oddzieli rzeczy potrzebne od niepotrzebnych, nie zgubi się w chaosie. Świat przestępców to sfera, która ciągle przewija się przed jego oczyma, przywykł on patrzéć na nią codziennie od tylu lat, powinien zatém znać ją lepiéj, gruntowniéj, niż każdy inny. Prócz tego, sędzia koronny, jako urzędnik państwowy, zawsze będzie się trzymał ściśle litery prawa, wyroki jego będą zgodne z ustawą, nie uniewinni on podsądnego, któremu dowiedziono, że jest w niezgodzie z kodeksem karnym, nie skaże takiego, którego wina nie jest ustalona przez niezbite dowody.

---

i kompetencya ich rozciąga się tylko na rozstrzyganie drobnych sporów między ludnością miejscową i na represyę drobnych wykroczeń.

[1]) „O najnowszych zmianach w prawodawstwie karném w Rosyi. Czasowe ograniczenie jurysdykcyi sądu przysięgłych" przez W. S. „Ateneum", lipiec, 1878 r., str. 166 (W. Spasowicz. „Pisma". Petersburg, 1892, tom IV).

Tak mówią stronnicy sądów koronnych, teoretycy, którzy chcieliby usunąć z sądu pierwiastek ludowy i złożyć wymiar sprawiedliwości jedynie w ręce urzędników państwowych. W naszéj literaturze do obozu tego należy prof. W. Miklaszewski [1]).

Sądy koronne dla spraw karnych tracą coraz więcéj stronników jak w teoryi, tak i w prawodawstwie, bo, jak dowiodła praktyka, te właśnie cechy, które uważano za zalety sędziów koronnych, są właśnie ich głównemi wadami. Wyższe wykształcenie i wyspecyalizowanie się w jednym fachu wyrabiają u sędziego koronnego jednostronność poglądu na życie: zna on wszystkie strony życia jedynie z książki, a w praktyce styka się tylko z nieliczną sferą ludzi, równie jak on wykształconych, równie jak on fachowców-prawników; sfera, w któréj obraca się przeciętny sędzia koronny, sfera tak zwanéj inteligencyi—to tylko mała, bardzo mała cząstka społeczeństwa; po za tę sferę nie wychodzi prawie żaden sędzia koronny, na inne klasy patrzy on z boku, zdaleka, przez teleskop, utworzony z formułek teoretycznych. Wiadomo przecie, jak daleką jest klasa ludzi, w ktoréj żyje sędzia, od téj, z któréj się rekrutuje przeważna ilość przestępców. Czy członek sądu okręgowego, mający stałą pensyę wystarczającą mu na pokrycie wydatków, zrozumié należycie rozpacz robotnika, którego z powodu zmniejszenia produkcyi wydalono z fabryki i który, napróżno szukając zajęcia, postawiony wobec widma śmierci głodowéj, zamyka oczy na to co daléj będzie i idzie kraść lub rozbijać? czy odczuje on pobudki, kierujące włościaninem, który zrujnowany do szczętu przez chytrego lichwiarza, pozbawiony ojcowizny i z zamożnego gospodarza zamieniony w żebraka, nie może się oprzéć chęci zemszczenia się przez podpalenie na tym, co złamał całe jego życie? czy pojmie on położenie urzędnika pocztowego, otrzymującego za całodzienną mozolną pracę dwadzieścia kilka rubli na miesiąc, obarczonego liczną rodziną — żona leży chora, a on niema na lekarstwo, dzieci chodzą w dziurawych sukienkach, a niema za co kupić nowych, — a tymczasem przez ręce stroskanego ojca przechodzą codziennie setki i tysiące rubli, których mała cząstka mogłaby zaspokoić potrzeby ukochanych? czy sędzia koronny, stojący na wysokiém stanowisku i otoczony poważaniem powszechném, potrafi odczuć cierpienia człowieka, ciągle przez pracodawcę poniżanego, który przez długie lata znosił niesprawiedliwe przyczepki, aż nare-

---

[1]) *loc. cit.* „Gazeta Sądowa“ z r. 1897, NN-ra 27 — 36. Prócz tego, jako obrońca kryminalnych sądów koronnych, wystąpił w téjże „Gazecie“ (NN-ra 36 i 37 z r. 1896) autor artykułu, p. t. „W kwestyi sądów przysięgłych“, podpisanego literą *W.*

szcie, wyprowadzony z cierpliwości, cisnął w swego kata kamieniem lub pchnął go nożem? czy zrozumie on położenie ojca, który nie mogąc wystarczyć na utrzymanie licznéj rodziny, musiał oddać córkę do służby i widzi, że jéj pan nadużył niewinności dziewczęcia? Czy sędzia koronny, należący do klasy uprzywilejowanéj, może postawić siebie w położeniu tego, kogo ma sądzić? Nie, nie, potrzykroć nie! Ażeby sędzia mógł dokładnie ocenić stan duszy oskarżonego, nie wystarcza wykształcenie fachowe, trzeba koniecznie znać życie i jego pokusy, trzeba, żeby ten, kto ma sądzić, sam zbliska widział podobne wypadki w życiu codziennem, żeby sam ulegał podobnym pokusom, żeby się stykał z niemi bezpośrednio.

Rutyna fachowa i wykształcenie specyalne mają jeszcze jedną słabą stronę. Sędzia, przed którego oczyma przechodzą dziesiątki i setki jednostajnych spraw, powoli coraz bardziéj zbliża się do maszyny: jednakowa sprawa, jednakowe okoliczności — jednakowy wyrok. Oskarżony przestaje być dla tego sędziego człowiekiem, żyjącym i czującym, obdarzonym szczególną indywidualnością, odrębnym charakterem, staje się pionkiem, numerem: spełnił czyn, określony przez dany artykuł, — ulega oznaczonéj w tym artykule karze, i na tém koniec. Sędzia koronny wydaje wyroki w sprawach kryminalnych na zasadzie takiego samego wyliczenia matematycznego, jakie się stosuje w sprawach cywilnych, z równie lekkiém sercem uwalnia on oskarżonego, przeciwko któremu nie ma dowodów, i skazuje tego, którego wina została formalnie dowiedzioną. Kradzieże, fałszerstwa, zabójstwa, podpalenia— to dla sędziego koronnego chléb powszedni, przychodzi on na sesyę z myślą, żeby jaknajprędzéj skończyć, po większéj części rozstrzyga sprawy pośpiesznie, namyślając się o tyle tylko, o ile zajdzie wątpliwość, jaki artykuł zastosować. Temida z zawiązanemi oczyma nie widzi, kto przed nią stoi, nie bada indywidualności poszczególnego przestępcy, waży tylko jego czyny, kładąc na szalę z jednéj strony nagi fakt, z drugiéj określoną przez kodeks karę; czasami na jedną lub drugą szalę dorzuci suchą formułkę prawną, jak np. rozdraźnienie, obmyślany zamiar i t. p. i stosownie do tego, na którą stronę przechyli się strzałka, spuszcza zabójczy miecz lub daruje życie. Żywe czyny żywego człowieka zostają wciśnięte w martwe ramki szablonu.

Że tak jest, zgadzają się wszyscy prawie pisarze, jak praktycy tak i teoretycy. Tak np. towarzysz prokuratora naczelnego, W. Słuczewskij, mówi: „Specyalne wykształcenie prawne, jak dowiodło doświadczenie, zrównywa poziom umysłowy osób, które sądzą, stawia je wszystkie prawie wśród jednakowych warunków życia, ukrywa przed ich okiem najrozmaitsze sytuacye życiowe, wytwarzające przestępstwa,

z któremi sąd ma do czynienia. Znajomość życia u sędziów koronnych zazwyczaj kończy się na téj sferze społecznéj, do któréj należą oni sami, skutkiem czego zasada kolegialności nie przynosi tu téj korzyści, jaką daje przy sądzie przysięgłych. Przysięgli należą do najróżnorodniejszych stanów społecznych i dlatego znają człowieka we wszystkich możliwych chwilach i warunkach życia. Nadzwyczajny zapas doświadczenia życiowego daje przysięgłym większą od sędziów koronnych możność zrozumienia, jak przestępstwa powstają. Przesądy, jak gwoździe, wbijają się w mózg sędziego koronnego, pozbawiając go zdolności prawdziwéj oceny sprawy, bez czego nikt nie może być sędzią sprawiedliwym" [1]).

Znany antropolog włoski, a zarazem długoletni sędzia-praktyk, R. Garofalo, tak określa sposób rozstrzygania spraw kryminalnych przez sędziego koronnego: „Nie samo indywiduum (podsądny) zwraca na siebie jego uwagę. Prawna definicya faktu — oto co go głównie obchodzi. Czynność, którą wykonywa dla zastosowania kary — jest prawie zupełnie mechaniczną. Rządzi się przytém wprost arytmetyką. Okoliczności sprawy są dlań cyframi, które dodaje, odejmuje i w końcu stosuje taryfę, którą nareszcie wynalazł... Zapomina tymczasem sędzia, że kara, którą stosuje, powinna przedewszystkiém do czegoś służyć, że celowość kary zależy od zbadania sądzonego indywiduum i że celowość ta powinna być duszą wyroku, jedynie warunkującą stopień i rodzaj kary" [2]).

„Ażeby być wzorowym sędzią — powiada M. Gromnickij — nie wystarcza być wykształconym prawnikiem i uczciwym człowiekiem, trzeba jeszcze mieć coś, co jest nadzwyczaj ważne, mianowicie dokładną i obszerną znajomość życia. Znajomość taka nie każdemu jest dana, posiadać ją mogą tylko ludzie, od pierwszéj młodości poświęceni przeważnie zajęciom życia praktycznego, albo ciągle przebywający pomiędzy takimi ludźmi i w takiéj sferze, a także, niezależnie od rodzaju zajęcia, ludzie, obdarzeni specyalnym umysłem, tak zwanym praktycznym, życiowym, chociaż ludzi téj kategoryi jest wogóle nie wielu. Nasi sędziowie-prawnicy mają właśnie tę wadę — brak dokładnéj a obszernéj znajomości życia. Skąd ma się u nich wziąć taka znajomość? Większość ich, jeżeli nie wszyscy, zaraz po wyjściu z wyższéj szkoły prawnéj oddaje się całkowicie pracy w sądownictwie; ażeby dojść do stanowiska członka izby sądowéj, trzeba mniéj więcéj 20 lat.

---

1) Patrz: N. Likiert. „W kwestyi sądów przysięgłych". „Gazeta Sądowa" r. 1896, nr. 40, str. 644.

2) Patrz: Likiert, *loc. cit.*, str. 645.

Rozumie się, że człowiek, który w ciągu 20 lat pracował w jednym kierunku, w jednéj i téj saméj dziedzinie, choćby nawet w różnych jéj częściach, — taki człowiek, pomimo wszelkich wiadomości z téj dziedziny, pomimo wszelkich wrodzonych i nabytych przymiotów, nieodzownie stać się musi mniéj lub więcéj jednostronnym, a co zatém idzie, nie miéć dokładnéj i obszernéj znajomości życia. On, jako człowiek wykształcony, napozór zna i rozumié wszystko, mówi swobodnie o najtrudniejszych kwestyach życia praktycznego, ale co to za wiadomości? To wiadomości wzięte z gazet, z wypadkowéj rozmowy, wiadomości mieszczanina o sprawach wiejskich, lub wykształconego wieśniaka o życiu miejskiém. Nad temi kwestyami praktyki nigdy on nie myślał poważnie, nie stykał się z niemi bezpośrednio, nie zbliżał się do nich i nawet nie potrzebował się zbliżać, pracując uczciwie przez całe życie na polu sądownictwa. Taka jednostronność, taki brak znajomości życia u sędziów-prawników koniecznie musi się odbijać na ich wyrokach w sprawach kryminalnych, odbijać naturalnie wadliwie, ze szkodą sprawiedliwości. To, co się daje wybaczyć, co nie rzuca się tak w oczy w sprawach mniejszéj wagi, co zresztą w tych sprawach ma mniéj znaczenia, to nie powinno się zdarzać w sprawach ważniejszych, gdzie stawia się na kartę najwyższe prawa człwieka" [1]).

„Nie ulega kwestyi — pisze Zakrewskij, poważny teoretyk i długoletni praktyk, były prezes sądu okręgowego w Warszawie, — że sędzia koronny, pomimo wielkiego doświadczenia, pomimo to, że jest przyzwyczajony do oceniania wartości dowodów i nie nadawania wagi drobiazgom, pomimo zdolności logicznego myślenia i umiejętności stosowania prawa do wypadków życia, pomimo to wszystko skłonny jest do zapatrywania się szablonowo na rozstrzygane sprawy. Miał on zawsze do czynienia z przestępstwami i dlatego stał się pesymistą. Mimowoli widzi on w każdym oskarżonym schwytanego przestępcę. W jego umyśle tworzy się wyobrażenie o całych kategoryach przestępstw z ich własnościami gatunkowemi i rodzajowemi, z odpowiadającemi każdemu z nich dowodami, i dana sprawa tonie dla niego w całéj masie podobnych, nie zatrzymując jego uwagi na swoich cechach indywidualnych. Wiecznie te same kradzieże z włamaniem, te same podpalenia, te same połamane żebra i wybite oczy, to samo niemowlę zagrzebane w śmietniku! I obok tego wiecznie ta sama pensya!... Nudzi to w najwyższym stopniu i dlatego wszystko się odrabia od niechcenia. Sędzia koronny z widoczną niecierpliwością i wzruszaniem ramion słu-

---

[1]) M. Gromnickij. „*Sud s sosłownymi predstawitielami*". „*Żurnał Ministierstwa Justicii*", marzec, 1895 r., str. 54 i 55.

cha oskarżonego i jego adwokata, jakby im chciał powiedzieć: znamy was doskonale! Podczas mowy obrońcy bazgrze on wyrok skazujący [1]), lub pisze co innego, uważając staranne wysłuchanie mowy prokuratora, a témbardziéj dowodzeń obrony, za stratę drogiego czasu i do pewnego stopnia za poniżenie własnéj godności" [2]).

„Zdolności sędziego koronnego — mówi de la Grasserie — polegają na tém, że zna on, być może, postanowienia kodeksu karnego, ma wprawę w prowadzeniu badań i na tém koniec. Nie zna on szczegółów systemu kar, nie zna psychologii ani socyologii przestępcy i jeżeli, kierując się wypróbowanemi regułami, nie pozwoli ujść bezkarnie winnemu, to za to może z łatwością i niewątpliwie skazać niewinnego na zasadzie jednakowych prawideł. Przyzwyczaja się on do tego, co się zdarza częściéj, to jest do decyzyi skazującéj, umysł jego formuje się odpowiednio, długie przyzwyczajenie nie daje mu spostrzedz wyjątków... Strzegąc się zasadzek i naciągań obrony, sędzia koronny staje się głuchym i na jéj poważne dowodzenia" [3]).

Tak więc zgadzają się wszyscy pisarze na tym punkcie, że sędzia koronny, pomimo całéj umiejętności i wykształcenia, nie odpowiada temu, czego należy wymagać od sędziego, nie sądzi on ludzi, tylko numera, nie sądzi jak człowiek, lecz jak martwa maszyna. Będąc mianowany przez rząd i mając od tegoż rządu pensyę, sędzia koronny nie może być zupełnie niezależnym. Wprawdzie, wszystkie prawodawstwa starały się zapobiedz złemu przez wprowadzenie nieusuwalności sędziów, to jest zasady, że sędzia, raz mianowany, nie może być wbrew swojéj woli usunięty z posady ani téż tranzlokowany, chyba za przestępstwo kryminalne na mocy wyroku sądowego. Ale i to nie wystarcza. Urzędnik, choćby nieusuwalny, zawsze pozostanie urzędnikiem. Nie staje się on nieusuwalnym od razu, z początku musi przejść wiele niższych szczebli, na których jest w zupełności zależny od władzy. W razie najmniejszego niezadowolenia, nawet kaprysu przełożonego, może stracić posadę, zdobytą z takim trudem. Wobec tego, chcąc się utrzymać na stanowisku, musi on we wszystkiém dogadzać tym, od których los jego zależy, nietylko ulega ich rozkazom w sferze urzędowéj, ale nawet niejednokrotnie zmuszony jest spełniać najdziwaczniejsze żądania i „prośby" w życiu prywatném. Naturalnym biegiem rzeczy

---

[1]) Widziałem sam nieraz podobne wypadki.

[2]) J. Zakrewskij. „*Sud prisiażnych i wozmożnaja reforma jewo.*" „*Żurn. Minist. Just.*", grudzień, 1895, str. 79.

[3]) Raoul de la Grasserie. „*Des origines, de l'évolution et de l'avenir de jury.*" „*Revue internationale de sociologie.*" *Août, Septembre*, 1897, str. 621.

w urzędniku przyzwyczajonym od młodości do spełniania nie zawsze słusznych rozkazów wyrabia się pewien rodzaj bezwzględnéj subordynacyi: rozkaz przełożonego staje się jedną z zasadniczych reguł jego postępowania. Nie zawsze tak bywa, ale w znacznéj większości wypadków.

Kiedy urzędnik usuwalny staje się nieusuwalnym sędzią, położenie jego nominalnie się zmienia: nie zależy on już od niczyjego kaprysu, usunąć go może tylko wyrok sądowy. Ale faktycznie wszystko pozostaje jak było. Przyzwyczajenie jest drugą naturą. Urzędnik, przyzwyczajony od wielu lat do karności, nie może się raptem wyzwolić z pod jéj wpływu: życzenie przełożonego zawsze będzie dla niego rozkazem. „*Rogando imperat, dum rogat superior*", mówili niegdyś Rzymianie. Prócz tego, nawet nieusuwalny sędzia ma zawsze nadzieję awansu: sędzia pokoju lub członek sądu okręgowego nie wyrzeka się nigdy chęci zostania wiceprezesem sądu, członkiem izby sądowéj, a może i czémś więcéj. A chcąc awansować, sędzia koniecznie musi stosować się do wymagań władzy, nie narazić się jéj na żadnym punkcie. Czy to się nazywa niezależnością? czy można wierzyć, że sędzia, postawiony w takich warunkach, będzie się kierował tylko swoim rozumem i sumieniem? Czy władza wyższa nie będzie wywierała silnego wpływu na tego „nieusuwalnego" sędziego? Czy zawsze można być pewnym, że urzędnik nie zwycięży człowieka?

„Zupełna niezależność sądownictwa od władzy państwowéj — mówi Ihering — nie da się wprowadzić przy téj formie sądu. Przeciwnie, istnieje forma, która rozstrzyga tę kwestyę w zupełności: to sąd przysięgłych. Przysięgły niczego nie może obawiać się od rządu, ani téż spodziéwać się od niego; jego zjawienie się, — to jest wybór pojedyńczych przysięgłych — jest zbyt raptownćm, nieobliczoném, jego czynności — zbyt przejściowemi, ażeby mógł uledz jakiemubądź wpływowi ze strony rządu; czas i miejsce stawiają temu niezwyciężone przeszkody" [1]).

Co się zaś tyczy zupełnéj niezależności od opinii publicznéj, to nie można jéj wymagać od żadnego sądu, składającego się z ludzi uspołecznionych, a więc zwracających uwagę na to, co mówi o danéj kwestyi głos ogółu.

2. Tak więc głównemi wadami sądów koronnych są: jednostronny pogląd na życie, rutyna, prowadząca do szablonowego rozstrzygania większości spraw, i zależność od rządu. Żadnéj z tych wad nie

---

1) R. v. Ihering. „*Der Zweck im Recht.*" Lipsk, 1893 r., tom I-szy, str. 408 i 409.

znajdujemy w sądzie przysięgłych. Przysięgli pochodzą ze wszystkich klas społeczeństwa: w jednym komplecie obok inżyniera i lekarza zasiada stolarz i wyrobnik, obok wielkiego finansisty—drobny przemysłowiec, obok arystokraty—włościanin. Wszystkie sfery są tu reprezentowane: jak oskarżony, tak i poszkodowany znajdują wśród przysięgłych ludzi z téj samej klasy, sędziów, którzy patrzą na nich nie z wysokości swego piedestału sędziowskiego, lecz z równego poziomu. Przysięgli, pochodząc przeważnie z téj samej sfery, co i podsądny, znają dokładnie sposób jego życia, wiedzą, czego temu człowiekowi brakowało w walce o byt, na jakie pokusy narażał go kaprys losu, jakie okoliczności mogły go popchnąć do przestępstwa. Rzemieślnik zrozumié rzemieślnika, włościanin — włościanina, kupiec — kupca. Sąd złozony nie z prawników profesyonalnych, lecz z ludzi różnych zajęć i kategoryi, z łatwością wykaże wszechstronny pogląd na życie; liczba przysięgłych jest dość znaczną (12), między nimi zawsze znajdzie się ktoś, komu jest mniéj więcéj znaną sytuacya, podobna do téj, w jakiéj się znalazł podsądny podczas spełnienia inkryminowanego czynu. Rekrutując się z żywiołów różnorodnych, przysięgli dopełniają się wzajemnie: czego jednemu braknie, to u drugiego się znajdzie. Każdy wnosi do kompletu, jako cząstkę składową, swoje doświadczenie życiowe, zdobyte na pewném polu; cząstka każdego z nich jest inną, a złożone razem, tworzą mniéj lub więcéj zupełny całokształt wszechstronnéj znajomości życia, téj znajomości, któréj brak dotkliwie daje się uczuwać w kolegiach sędziów koronnych. Dwunastu ludzi z rozmaitych sfer, z których każdy gdzieindziéj mieszkał, inaczéj życie przepędził, czém inném się zajmował — to zasób nie lada poważnego doświadczenia życiowego; taki sąd jest zdolny zrozumiéć każdą sytuacyę, odczuć każdą pobudkę, działającą w duszy oskarżonego. Wprawdzie, może tak wypaść, że cały komplet sądu przysięgłych składać się będzie z ludzi jednéj sfery, naprzykład z włościan lub drobnych mieszczan, co zdarza się zapewne dość często, szczególniéj w mniejszych miastach, ale w takim razie zawsze prawie oskarżony należy do téj samej klasy, co i sędziowie, pochodzi z téj saméj okolicy, a więc stanowi dla sądu materyał znany, swojski: działalność oskarżonego rozwijała się w téj sferze, w któréj upływa całe życie sędziów, — któż może lepiéj od nich ocenić motywa czynu? Bywają i takie wyjątkowe wypadki, że komplet sądu składa się z ludzi jednéj sfery, a oskarżony lub poszkodowany należą do innéj, zdarzyć się może, że przysięgli nie znają trybu życia podsądnego — wszystko to jest możliwe. Ale zdarzenia takie, choć bardzo niepożądane, w sądach przysięgłych należą do wyjątków, w koronnych zaś stanowią regułę, bo sędziowie koronni zawsze prawie na-

leżą do innéj sfery, niż oskarżony. Jeżeli więc sądowi przysięgłych w niektórych wypadkach można odmówić jasnego i wszechstronnego poglądu na osobę przestępcy, to w każdym razie nie ulega kwestyi, iż pogląd taki zdarza się w téj formie sądu bez porównania częściéj, niż w sądzie koronnym.

Drugą kardynalną wadą sądów koronnych jest zbytnia rutyna. O téj nie może być nawet mowy w sądzie przysięgłych. Przysięgły—to nie sędzia stały, to zwykły śmiertelnik, raz na kilka lat, a może tylko raz w życiu powoływany do spełnienia wysokiéj funkcyi sędziego. Doświadczenie nas uczy, że wszystko, do czego bierzemy się po raz pierwszy, wykonywamy zwykle z większą starannością i uwagą, niż kiedy powtarzamy tę samą pracę setny lub tysiączny raz. Człowiek wogóle pożąda zmian: każda nowa czynność staje się przyjemną, choćby dlatego tylko, że jest nową; zabiéramy się do niéj z zapałem, który stanowi najpierwszą rękojmię dobrego wykonania. Z biegiem czasu, kiedy jedno i to samo musimy powtarzać setki razy, najbardziéj zajmująca praca zaczyna nużyć, spełniamy ją, bo tak trzeba, ale nie ożywia nas już dawny zapał, pracujemy mechanicznie, maszynowo: to co z początku zajmowało nas bardzo, staje się nudném, jednostajném, szablonowém, — dawniéj wkładaliśmy w to całą duszę, dziś staramy się tylko odrobić jaknajprędzéj co do nas należy i przykładamy tylko tyle staranności, ile niezbędnie wymaga wykonywana praca. Ogólna ta reguła daje się zastosować i do sądownictwa. Wiem z własnego doświadczenia, że kiedym pierwszy raz poszedł do sądu, najprostsza sprawa żywo mnie interesowała, z natężoną uwagą słuchałem zeznań świadków, mowy prokuratora i obrońcy, z bijącém sercem oczekiwałem wyroku. Dziś, kiedy niejedna sesya sądowa przeszła przed memi oczyma, dzielę już w myśli sprawy na zajmujące i niezajmujące, na szablonowe i wychodzące ze zwykłego szablonu i tylko tym ostatnim przysłuchuję się z taką samą uwagą, z jaką z początku obserwowałem wszystkie. A im więcéj spraw przesuwa się przed oczyma, tém więcéj układa się w ramki szablonu, tém mniejsza ilość skupia na sobie uwagę. Otóż przysięgli należą zawsze do nowicyuszów, każdy z nich jest w sądzie jeżeli nie pierwszy raz, to drugi lub trzeci; każda sprawa zajmuje go żywo, nie zdążył on ułożyć sobie szablonu, najprostsza kradzież z włamaniem, zaliczana przez sądowników do spraw „*à dormir debout*", dla przysięgłego ma urok nowości. Nie wié on, że sąd rozstrzyga codzień po kilka takich spraw, w jego karyerze sądowniczéj sprawa ta jest pierwszą lub drugą. „Jako nowicyusz w sądzie,— mówi znany adwokat-kryminalista Likiert — przysięgły stara się nie skompromitować siebie wobec współprzysięgłych i jednocześnie strzeże się

brać na sumienie swoje grzechu niesłusznego werdyktu. Sędziemu przysięgłemu dana sprawa nie stawia przed oczami zachowanych w umyśle śladów wrażeń ze spraw identycznych, obchodzi go tylko dana sprawa ze wszystkiemi jéj szczegółami, a główna postać w sprawie, sam podsądny, jest dla tego sędziego — nowicyusza człowiekiem żywym, a nie proceduralnym numerem z kartki statystycznéj" [1]).

Niezależność przysięgłych od rządu jest prawie obsolutną; przysięgły tyle tylko postępuje w myśl rządu, o ile na to zgadza się jego osobiste przekonanie. To nie urzędnik, ryzykujący stracić posadę, lub prawo do awansu, to spokojny obywatel, kupiec, rzemieślnik, który przez całe swoje życie nie ma bezpośredniéj styczności z rządem, nic od niego nie potrzebuje, niczego się nie obawia utracić. Niełatwo jest wpłynąć na przysięgłych za pomocą prośby, albo groźby, nie łatwo ich przekupić. Przysięgły to postać epizodyczna, zjawiająca się i znikająca nagle: wszelkie wpływy na niego mają nadzwyczaj małe pole działania. To téż wypadki przekupstwa przysięgłych zdarzają się bardzo rzadko. W ciągu czternastu lat (1879—1892) sądy przysięgłych w Rosyi rozstrzygnęły, według wyliczenia senatora Koni [2]), z górą 208,000 spraw, a zatém w sądzeniu ich przyjmowało udział 208,000 kompletów przysięgłych, a w ciągu całego tego czasu było tylko 20 spraw o sprzeniewierzenie, w których oddano pod sąd 80, a uznano za winnych 29 przysięgłych. A zatém na to, żeby jeden przysięgły sprzeniewierzył się swoim obowiązkom, potrzeba mniéj więcéj 7,200 spraw! Jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę, że chcąc przechylić sprawę na swoją stronę, oskarżony musiałby przekupić najmniéj sześciu, a oskarżyciel najmniéj siedmiu przysięgłych, to cyfry powyższe muszą się nam wydać tak minimalnemi, że sprzeniewierzenie przysięgłych uznamy za prawie nieistniejące.

Pomimo tak widocznych zalet sądu przysięgłych, przeciwnicy stawiają téj formie sądu liczne, choć niezbyt poważne zarzuty. Przedewszystkiém zarzucają przysięgłym brak profesyonalnego doświadczenia i wiadomości. Że tak jest, nie ulega kwestyi. Ale czy to jest wadą? „Nie można sobie przedstawić — mówi prof. Miklaszewski—takiego rodzaju działalności, przy któréj rzeczone warunki nie byłyby pożądane i nie stanowiłyby ważnéj rękojmi powodzenia. Jedyny wyjątek stano-

---

[1]) Likiert, *loc. cit.* N. 40 str. 646.

[2]) A. Koni. „*Wstupitielnoje i zakluczitielnoje*", *soobszczenija o sudie prisiażnych i o sudie s sosłownymi predstawitielami. Żurn. Min. Just.* Luty 1895 r. str. 34.

wią przysięgli“ [1]). Zdaje mi się, że zarzut ten zawiera błąd w samém założeniu. Jakich profesyonalnych wiadomości mamy wymagać od sędziów kryminalnych? Znajomości prawa? Jest ona niezbędną — to prawda, ale znajomość tę w dostatecznym stopniu posiadają zasiadający razem z przysięgłymi sędziowie koronni: skoro wynika kwestya prawna, przysięgli nie mają głosu i sąd koronny rozstrzyga. A jeżeli do zupełności werdyktu potrzeba wskazówek z prawa obowiązującego, to czyż przysięgli nie mają tuż obok sędziów koronnych, do których w każdéj chwili mogą się zwrócić o wyjaśnienia. A inne wiadomości profesyonalne? Czy sędziowie koronni posiadają je w większéj ilości? Wszak sędzia-prawnik, kiedy ma rozstrzygnąć sprawę o zabójstwo lub rany, wzywa eksperta lekarza, o sfałszowanie dokumentu — eksperta kaligrafa, o kontrabandę — eksperta kupca, handlującego podobnemi towarami, o otrucie — eksperta chemika, o wielkie nadużycia pieniężne — eksperta finansistę. A zatém i sędziom koronnym na każdym kroku brakuje wiadomości profesyonalnych, i oni co chwila wkraczają w nieznane dziedziny, muszą się zwracać po wyjaśnienia do ekspertów. Dlaczego przysięgli nie mieliby możności w kwestyach prawnych żądać wyjaśnień od ekspertów prawników? Z jakiéj przyczyny sędzia-prawnik ma lepiéj zrozumiéć ekspertyzę chemika, niż sędzia-chemik ekspertyzę prawnika? Wiadomości profesyonalnych co do wszystkich spraw, jakie idą na rozstrzygnięcie sądu, nie może posiadać żaden sędzia, nawet najbardziéj wykształcony, a zawsze łatwiéj jest znaleźć specyalistę w danym przedmiocie pośród dwunastu ludzi z różnych sfer, niż pośród trzech prawników. Sędziemu kryminalnemu nie potrzebne są wiadomości specyalne, powinien on przedewszystkiém posiadać znajomość życia, a wszyscy zgadzają się na to, że pod tym względem przysięgli znakomicie przewyższają sędziów koronnych. Co się zaś tyczy doświadczenia profesyonalnego u sędziów, to starałem się już wykazać, że przynosi ono więcéj szkody niż korzyści.

Następnie zarzucają sądowi przysięgłych nierównomierność represyi. „Identyczne sprawy sądzić oni będą dziś tak, jutro inaczéj w jednym składzie tak, w innym inaczéj“, mówi jeden z przeciwników sądów przysięgłych [2]). Czy tego samego zarzutu nie możnaby postawić sądom koronnym? Czy sędziowie koronni zawsze jednakowo rozstrzygają identyczne sprawy? Czy sędzia koronny nie wkłada w wyrok swego indywidualizmu? Przeciwnie, dzięki rutynie, sędzia koronny

---

[1]) Dr. W. Miklaszewski, *loc. cit.* N. 35 str. 564.

[2]) W cyfrowanym powyżéj artykule w N. 36 „Gazety Sądowéj“, podpisanym literą W.

wyrabia sobie na każdy rodzaj spraw specyalny pogląd, częstokroć różny zupełnie od poglądu innych sędziów. Jeden karze surowiéj złodziei z profesyi, inny nożowników, jeszcze inny fałszerzy. Widziałem już wytrawnych adwokatów, którzy znając nieprzychylne zapatrywanie się danego kompletu sądu koronnego na pewien rodzaj spraw, usilnie starali się o odłożenie sprawy w téj nadziei, że inny komplet osądzi ją łagodniéj. A zatém i ten zarzut stosuje się w mniejszéj mierze do sędziów przysięgłych, niż do koronnych.

Powiadają także, że przysięgli; jako ludzie przeważnie ciemni i zabobonni, przy wydawaniu wyroków częstokroć kierują się okolicznościami, nie mającemi nic wspólnego z daną sprawą. Na potwierdzenie tego przeciwnicy sądów przysięgłych przytaczają fakt, że „przysięgli uwolnili podsądnego jedynie dla tego, że podczas ostatecznego przemówienia prezesa poczęto w cerkwi dzwonić na nieszpory“. Wypadek ten przytacza prof. Miklaszewski, przytacza go téż Zakrewskij. Że pomiędzy ludem prostym bardzo są rozpowszechnione przeróżne zabobony i przesądy, to fakt, a z faktami trzeba się liczyć. Ale nie wydaje mi się prawdopodobném, żeby zabobon mógł wywierać poważny wpływ na wyroki przysięgłych. Zdarzają się wypadki uniewinnienia oskarżonych z powodów od saméj sprawy niezależnych, jak np. w danym razie dlatego że zaczęto dzwonić, to prawda, ale czy można obalać instytucyę, mającą poważne podstawy, dlatego jedynie, że może się zdarzyć taki wypadek? Zdaje mi się, że nie, tembardziéj, że wypadek podobny to wyjątek, zdarzenie nadzwyczajne, którego nie można uważać za regułę. Gdyby wpływ zabobonów na wyroki przysięgłych był tak wielki, jak chcą dowieść przeciwnicy téj instytucyi, to zapewne wynalezionoby więcéj faktów na poparcie tego argumentu. Zdaje mi się, że obawy są nieco przesadzone. A zresztą, nie jest to argument przeciwko sądom przysięgłych w zasadzie. Z biegiem czasu, kiedy cywilizacya uczyni większe postępy, przesądy będą znikały coraz bardziéj, a wraz z ich zanikiem będzie słabło znaczenie tego argumentu. Na Zachodzie Europy kwestya ta już dzisiaj nie budzi prawie obawy.

Mówią również, że bywają sprawy, w których przysięgli nie są w stanie zrozumiéć pewnych subtelności, że czyn przestępny może stać tak blizko granicy, po za którą rozpoczynają się czyny, tolerowane przez prawo, że trzeba miéć bardzo wysubtelizowany umysł, ażeby przeprowadzić tę granicę. W takich wypadkach najczęściéj się zdarza, że oskarżony spełnił dany czyn, nie wiedząc, że spełnia przestępstwo, a przysięgli także, nie widząc w nim cech przestępczości, wydają werdykt uniewinniający, ku wielkiemu oburzeniu prokuratury. Zdarzyć się to może bardzo łatwo w takich wypadkach, jak np. zniszczenie do-

kumentu przez człowieka niepiśmiennego, obraza urzędu w skardze podanéj do sądu, zerwanie pieczęci przez człowieka nieznającego się na tém, także w bardzo wielu wypadkach oporu władzy; zaliczyć tu można również obszerną sferę czynów, stojących na granicy między tak zwaném oszustwem cywilném i kryminalném. Przestępstwa te stoją tak blisko czynów dozwolonych, że budzą poważne wątpliwości nawet wśród specyalistów-prawników. „Są pewne subtelności,—mówi Likiert—których nie zrozumié sędzia przysięgły. Dowodzi to, że okoliczność taka niedostępną jest dla pojęć sfery, do któréj najczęściéj razem z przysięgłym należy i sam podsądny. Jest to miarą dla sądu, czy od podsądnego można było żądać zrozumienia i odpowiedzialności za to, co jest niedostępném dla pojęć jego sfery. Jest to strona dodatnia, a nie ujemna sądu przysięgłych. I jeśli wtedy werdykt zapada inaczéj, aniżeli oczekiwano od przysięgłych, to znaczy, że władza prokuratorska przeciągnęła sznur oskarżenia za bardzo i dlatego z trzaskiem pęknąć musiał” [1]).

Najpoważniejszym może z zarzutów, stawianych sądowi przysięgłych, jest zbyt wielka ilość werdyktów uniewinniających. Ale i ten zarzut upada przy bliższém zbadaniu. Na poparcie tego zarzutu przeciwnicy sądu przysięgłych walczą cyframi. Dowodzą oni, że ponieważ w ostatnich czasach wyroki skazujące stanowią 66% ogólnych wyrzeczeń przysięgłych i że represya sądów z przedstawicielami stanów o 2%, a sądu przez rząd mianowanego o 7% przewyższa represyę sądu przysięgłych, więc.... represya sądu przysięgłych jest za małą. Chociaż wiadomo powszechnie, że cyfry—to miecz obosieczny, że danym statystycznym nie zawsze można wierzyć, to jednak nie próbuję nawet zbijać tych cyfr, bo nie mam na to danych. Przyjmuję więc bez zastrzeżeń: wyroki skazujące w sądach przysięgłych stanowią 66%, w sądach mieszanych 68%, w koronnych 73%. I czego to dowodzi? Że represya sądów przysięgłych jest najmniejsza. Na to się zgadzam. Ale dlaczego ma to być zarzutem przeciwko sądom przysięgłych? Dlaczego normalnym procentem wyroków skazujących ma być 73 lub 68, nie zaś 66? Dlaczego zamiast dowodzić, że represya przysięgłych jest za mała, nie powiemy raczéj, że represya innych form sądu jest za wielka? Przypatrzmy się bliżéj, z czego się składa ta różnica cyfr, zkąd się bierze ta przewyżka o 2% i 7%? Odpowiedź znajdziemy bardzo łatwo. Oto istnieje cały szereg przestępstw, w których przysięgli dla rozmaitych powodów uniewinniają systematycznie, że tak powiem, z zasady. Do

---

[1]) Likiert, *loc cit.* N. 42 str. 665.

tych należą wszystkie wyliczone powyżéj wypadki, w których przestępczość czynu zasadza się jedynie na drobnéj subtelności, niezrozumiałéj i dla podsądnego. Daléj idą wypadki, w których prawo stanowione nie zgadza się z poczuciem sprawiedliwości narodu. „Bywają przestępstwa,—mówi Likiert—karane przez przestarzałe prawa, które nie znajdują już oddźwięku w sumieniu publiczném. Werdykt uniewinniający przysięgłych w takim razie nie przynosi szkody społeczeństwu, jest raczéj jasną wskazówką dla prawodawcy o potrzebie godzenia prawa stanowionego z wrącém, jak potok, życiem powszechném. Toż zadaniem sędziego jest godzenie prawa ze sprawiedliwością, bez względu na to, czy jest on sędzią koronnym, czy téż przysięgłym" [1]). „W żadnym kraju, nawet w Anglii — mówi Spasowicz—niepodobna wymagać, aby przysięgli potępiali ludzi, oskarżonych o postępki, moralnie całkiem obojętne. Są całe rodzaje przestępstw, których nawet dochodzenia zaniechano z powodu systematycznego uniewinniania oskarżonych, naprzykład przestępstwa paszportowe. Są sprawy, w których zupełnie racyonalnie opinia publiczna ujmuje się za oskarżonym i stoi mocno po stronie przysięgłych, orzekających uniewinniające werdykta, naprzykład sprawy wytaczane na południu Rosyi przeciw tak zwanym Sztundystom" [2]).

Są także sprawy, w których przestępstwo zostało dowiedzioném, ale przestępca spełnił czyn inkryminowany w takich warunkach, że sumienie nie pozwala skazać go nawet na najmniejszą karę. Wszystkie te rodzaje przestępstw, nie uważanych za przestępstwa przez opinię publiczną, a co za tém idzie, i przez przysięgłych, dają właśnie tę różnicę procentową pomiędzy liczbą wyroków skazujących w sądzie przysięgłych i w sądach innéj formy. Daje się tu zauważyć nie zbyt słaba represya, jak twierdzą przeciwnicy sądu przysięgłych, ale systematyczny i wyrozumowany wpływ narodu na prawodawcę, zasadnicza niezgodność opinii publicznéj z niektóremi przepisami prawa. To nie naród staje w kolizyi z prawem, to prawodawca odstąpił od ogólnie przyjętych zasad sprawiedliwości. Sąd przysięgłych pozwala w ten sposób narodowi przyjmować pewien udział w stanowieniu praw; uchylając w drodze systematycznych uniewinnień przestarzałe przepisy prawa, wnosi on do nieruchawéj maszyny prawodawczéj ożywiający strumień życia społecznego.

Tak więc z jednéj strony sąd przysięgłych nie posiada tych wad, jakie rzucają się w oczy w sądach koronnych, z drugiéj strony zarzuty,

---

[1]) Likiert, *loc. cit.*, N. 42, str. 663.

[2]) *Loc. cit.*, „Ateneum", Lipiec 1878, str. 170.

stawiane mu przez przeciwników, albo zupełnie nie mają racyi bytu, albo tyczą się wszystkich sądów w ogóle, a sądu przysięgłych najmniéj. Jedynie poważnemi zarzutami są te, które dotyczą nie zasadniczych cech instytucyi przysięgłych, lecz jéj obecnéj organizacyi, a zatém dadzą się z biegiem czasu usunąć. Wrócimy do nich późniéj. Zasadnicze zaś zarzuty nie wytrzymują głębszéj krytyki. To téż liczba przeciwników sądów przysięgłych zmniejsza się z szybkością. „Niebardzo liczni, na palcach jednéj ręki dający się przeliczyć przeciwnicy instytucyi przysięgłych, wśród wykształconego społeczeństwa rosyjskiego, nie umieli wskazać ani jednéj poważnéj pracy naukowéj za granicą, któraby z punktu widzenia naukowego i prawnego wykazała logiczną przewagę działalności sądu koronnego nad sądem przysięgłych" [1]). Tymczasem wszyscy prawie teoretycy i praktycy zgadzają się na to, iż instytucya przysięgłych położyła wielkie zasługi w rozwoju historycznym sądownictwa i do dziś dnia znakomicie przewyższa wszystkie znane dotychczas formy sądu. „Instytucya przysięgłych — mówi Ihering—uwolniła nasze sądownictwo od podwójnego nacisku, który dotychczas bardzo na niém ciążył: od absolutyzmu i od średniowiecznéj teoryi dowodów. Na obydwóch tych punktach trzeba było stanowczo zerwać z przeszłością, i nie było na to lepszego środka, jak wprowadzenie téj instytucyi. Na miejscu zależnego od rządu sędziego koronnego w téj dziedzinie sądownictwa, gdzie najbardziej możnaby się obawiać wpływu rządu—w dziedzinie sądownictwa kryminalnego—postawiła ona zupełnie niezależnych od rządu przysięgłych, dawne poczucie niepewności prawa zmieniła na poczucie pewności i możliwość szybkiego postępu prawodawczego. W ten sposób znalazł się ów punkt Archimedesa, na którym należało się oprzéć, żeby poruszyć z posad świat dotychczasowy, z tego punktu wyszło wszystko, co tylko formuje treść naszego obecnego porządku prawnego, jak z wewnątrz, tak i z zewnątrz. Z wewnątrz: wzmocnienie poczucia prawa w narodzie,... rozpowszechnienie poczucia świętości i niewzruszalności prawa, jako *palladium* obywatelstwa, jako potęgi, przed którą potężny magnat równie musi uchylić czoła, jak i najskromniejszy chłopek; wynikające ztąd dążenie do zachowania tego klejnotu; a ze strony władzy odpowiednie wystrzeganie się, ażeby go nie naruszyć. Z zewnątrz: urzeczywistnienie idei niezależności sądownictwa od samowoli rządu przez utworzenie niezależnych sędziów" [2]) Dużo jest w tych słowach przesady, dużo nieodzownego u Iheringa patosu, ale

[1]) Likiert, *loc. cit.*, N. 40, str. 646.

[2]) Ihering, *loc. cit.*, tom I, str. 416 i nast.

téż i dużo prawdy. „Pierwszą nieoszacowaną zaletą sądu przysięgłych — mówi Spasowicz — było to, że z nim i przezeń wyrokować zaczęło, stąpając o własnych siłach, wolne sumienie. Opadły szczudła rutyny i staréj, zużytéj, sztucznéj teoryi dowodów. Krępować przestały względy na to, co o wyroku powiedzą, bo przysięgli—to krople fali w rzece, co chwila inne, mijające bez śladu i pamięci. W tym sądzie nawet nie ma potrzeby przytaczać dowodów, bo chodzi tylko o rezultat — wewnętrzne przekonanie, a pomija się całkiem, jako rzecz niepotrzebną, pytania, jak i z czego to przekonanie wytworzyło się i urosło. Rozumowaniu o winie, które pełzało po ziemi, przyrosły niby skrzydła: poczęło ono działać śmiało i stanowczo przez indukcyę na mocy samych poszlak, budując mosty nadpowietrzne z samych przypuszczeń. Żaden sąd z techników złożony nie zdobyłby się na takie śmiałe, takie energiczne wyroki, jak te, które wydawał nieraz sąd przysięgłych nad potężnymi winowajcami, zaufanymi w to, że ich kara nie dosięgnie, z powodu braku dotykalnych przeciwko nim dowodów. Miecz sprawiedliwości sięgał daleko i wysoko, potężnie i sprężyście, a jednak nie było spraw, w których by się widocznie pomylił i spadł na niewinnego. Obok téj sprężystości było mnóstwo przykładów niezmiernie sumiennego i subtelnego rozgatunkowania wspólników, prawie zawsze odpowiedzialność główna spadała na głowę, a nie na rękę, na wynalazcę i podżegacza, a nie na wykonawców; drugorzędni winowajcy traktowani byli zwykle z wielką wyrozumiałością i pobłażliwie. Żaden sąd nie wyrówna sądowi przysięgłych pod względem delikatnego stopniowania winy, a następnie kary.... Nakoniec, dodajmy jeszcze jeden przymiot — z a u f a n i e, uznanie przez społeczeństwo, że to sąd jego własny, prezumpcyę, że wyrok jest sprawiedliwy, bo go wydali przysięgli. [1]) „Nie ulega wątpliwości—mówi Zakrewskij,—że instytucya przysięgłych cieszy się wśród obszernéj publiki, a w téj liczbie wśród wielu ludzi wykształconych, zaufaniem i popularnością. Większości wydaje się ona wcieleniem niezależności od wpływów zewnętrznych i od przesądów, właściwych książkowym i urzędowym prawnikom. Jest to uczucie, z którém trzeba się liczyć.... Sąd powinien mieć zaufanie i uznanie społeczeństwa. Tylko wtedy społeczeństwo zwraca się doń chętnie i bez szemrania ulega jego wyrokom" [2]).

---

[1]) Spasowicz, *loc. cit.*, str. 166 i 167.

[2]) Zakrewskij, *loc. cit.*, str. 78.

Ciekawe dane z praktyki sądów przysięgłych przytacza długoletni praktyk na polu sądownictwa, podprokurator moskiewskiéj izby sądowéj, Bobriszczew-Puszkin, w obszerném (str. 615) dziele, specyalnie temu poświęconém, p. t. „Empiryczne prawa działalności rosyjskiego sądu przysięgłych" [1]). Na zasadzie obszernych i sumiennych badań, na podstawie szeregu cyfr i długiéj praktyki, Bobriszczew-Puszkin dochodzi do stanowczego przekonania, że zasadnicza kwestya, czy można sąd przysięgłych przyrównywać do sądu ulicy, musi być rozstrzygnięta przecząco. Z jednéj strony — mówi on daléj — u przysięgłych daje się dostrzedz dążenie do wyrobienia określonéj teoryi dowodów, czasem nawet w przeciągu jednéj kadencyi, tak że w końcu sesyi werdykty odznaczają się większą stałością i wszechstronnością, niż z początku, a najstalszymi są przysięgli, którzy już przedtém spełniali tę funkcyę. Z drugiéj strony, odosobnienie przysięgłych tworzy wokoło nich atmosferę obywatelsko prawną, gdzie niema miejsca na lekkomyślność, gdzie natężają się do znacznéj wysokości najlepsze popędy obywatelskie... Przysięgli nadzwyczaj stale i sumiennie trzymają się przedewszystkiém danych faktycznych... Przysięgli wymagają od przestępstwa, żeby ono powodowało rzeczywistą krzywdę dla jednostki lub społeczeństwa, a przynajmniéj żeby dowodziło, iż przestępca jest niebezpieczny dla społeczeństwa, i ściśle odróżniają takie rzeczywiste przestępstwa od przestępstw czysto formalnych... Osobistość podsądnego otrzymuje w werdyktach przysięgłych wszechstronną i bardzo szczegółową ocenę. Występuje ona jako podmiot przestępstwa i jako materyał dowodowy, przedmiot do zbadania, określony na zasadzie jego przeszłości i teraźniejszości. Przysięgli zwracają baczną uwagę na stanowisko oskarżonego w rodzinie: niechętnie zabiérają oni jedyną podporę rodziny, niezbędnego i użytecznego jéj członka; przeciwnie, zapatrują się surowiéj na podsądnego, którego życie rodzinne szwankuje, którego sprawowanie jest wogóle naganne... Wiek oskarżonego jest także poważnym czynnikiem w działalności przysięgłych. W sprawach małoletnich, rokujących nadzieję poprawy, dźwięczy nawet nuta pedagogiczna... Przysięgłych nieraz powstrzymuje wadliwość kar i warunków ich wykonania; poważny wpływ ma to przekonanie, że zastosowanie kary może w danym wypadku więcéj zaszkodzić niż pomódz.

Do takich rezultatów dochodzi człowiek, który pół życia poświę-

---

[1]) „*Empiriczeskije zakony diejatielnosti russkawo suda prisiażnych*". Moskwa, 1896. Patrz: Fojnickij. „*Prawosoznanije russkawo suda prisiażnych*". „*Żurn. Min. Justic.*" Grudzień, 1896 r., str. 111—142.

cił zbadaniu działalności sądu przysięgłych, który od początku swojéj karyery sądowniczéj codzień prawie stykał się z przysięgłymi i widział ich w niejednym już komplecie. Zdaje się, że nie mamy prawa podawać jego słów w wątpliwość.

Niemniéj przychylne zdania wygłaszają o sądzie przysięgłych i inni praktycy rosyjscy. Tak np. M. Gromnickij pisze: „Jestem bezwarunkowym stronnikiem sądu przysięgłych... Studya, prowadzone nad tą instytucyą w ciągu dwudziestu ośmiu lat z rozmaitych punktów widzenia, dają mi pewne prawo wypowiedzenia tego głośno, a także i tego, że dwa tygodnie, które przepędziłem jako sędzia przysięgły, należą do najlepszych chwil mego życia“ [1]). Prezes III wydziału komisyi do przejrzenia ustaw sądowych, profesor i senator Tagancew, również zalicza czas przepędzony między przysięgłymi do najmilszych wspomnień życia sądowego [2]).

Zresztą, gdybyśmy nawet chcieli nie wierzyć powyższym zdaniom doświadczonych prawników, to musimy się zgodzić, że, jak powiada Zakrewskij, „choćby sąd koronny posiadał Bóg wié jakie ponęty, jednak następuje epoka, w któréj społeczeństwo, słusznie czy niesłusznie, zaczyna czuć, że już go przerosło i chce się samo rozporządzać, nawet bez względu na to, że może się przytém nie obejdzie bez pomyłek“ [3]).

3. Po tém, co było powiedziane o sądzie koronnym i o sądzie przysięgłych, niewiele pozostaje dodać, dla określenia trzeciego typu — sądów mieszanych. Sądy mieszane, złożone w części z sędziów koronnych, w części z żywiołu społecznego, mają wszystkie zalety i wady, jak sądów koronnych, tak i sądów przysięgłych. Wady sądów koronnych: jednostronność, szablonowość i rutyna nie występują tutaj tak silnie, jak w sądzie złożonym tylko z urzędników, bo w części przeciwdziała temu dołączenie żywiołu społecznego. To téż, jeżeli będziemy porównywali sąd koronny z sądem mieszanym, temu ostatniemu musimy oddać pierwszeństwo. A jednak sądy mieszane nie wielu znalazły zwolenników w teoryi i praktyce. W teoryi do obrońców tego systemu możemy zaliczyć Iheringa [4]) i Zakrewskiego [5]). W praktyce sądy mieszane znalazły zastosowanie w Niemczech, w formie sądu ławniczego (*Schöffen)* i w Rosyi, w formie sądu izby sądowéj z przedstawiciela-

---

[1]) M. Gromnickij. „*Sud s sosłownymi predstawitielami*“. „*Żurn. Min. Just.*“ Marzec, 1895 r., odsyłacz na str. 53.

[2]) Patrz: Koni, *loc. cit.*, str. 52.

[3]) Zakrewskij, *loc. cit.*, str. 78.

[4]) Ihering, *loc. cit.*, tom. I, str. 419 i 420.

[5]) Zakrewskij, *loc. cit.*, str. 81—84.

mi stanów. Niemiecki sąd ławniczy składa się z sędziego koronnego, jako przewodniczącego, i ławników: tak uformowane kolegium sądzi razem, przyczém sędzia koronny ma głos decydujący narówni z ławnikami. Sąd taki sądzi niewielką ilość spraw mniejszéj wagi. Rosyjska izba sądowa z przedstawicielami stanów składa się z prezesa departamentu izby sądowéj, czterech członków téjże izby, marszałka szlachty, prezydenta *(głowa)* miasta i dwóch wójtów (*wołostnoj starszyna*). W tym składzie izba sądzi niektóre, stosunkowo nieliczne sprawy, „tymczasowo“ *(wremienno)* wyjęte z pod kompetencyi sądów przysięgłych. Obok sądów mieszanych, jak w Niemczech tak i w Rosyi, istnieją sądy przysięgłych, rozstrzygające najważniejsze sprawy. W ostatnich czasach próby wprowadzenia sądów mieszanych robiono w niektórych kantonach Szwajcaryi (Tessin).

Sąd mieszany ma jedną kardynalną wadę, któréj nie posiada sąd przysięgłych. Przysięgli, wiedząc, że pod względem wyrokowania o winie są pozostawieni samym sobie, troskliwie starają się sprostać swemu zadaniu, natężają uwagę, skupiają myśli i ostatecznie w ten lub inny sposób decydują. Ciż sami ludzie, złączeni w jedno gremium z sędziami koronnymi, będą (mylnie zresztą) liczyli na to, że ci sędziowie, jako specyaliści, lepiéj się znają na rzeczy i że w każdym razie będzie można przyłączyć się do ich zdania. Przysięgły czuje, że na niego spada moralna odpowiedzialność za werdykt, przedstawiciel żywiołu społecznego w sądzie mieszanym spokojnie śpi podczas sesyi, a późniéj głosuje za zdaniem sędziów koronnych, zwalając odpowiedzialność na ich barki. Jeżeli sprawa wyjątkowo zainteresuje sędziów niekoronnych, jeżeli potrafią się oni oprzéć zdaniu narzucanemu przez ich koronnych kolegów, jeżeli zdanie sędziów niekoronnych przeważy, — wtedy będziemy mieli to samo, co wyrok sądu przysięgłych, tylko w innéj formie. Ale w większości wypadków sędziowie niekoronni, wiedząc, że nie będą wyrokowali samodzielnie, opuszczają ręce. Każdy człowiek staranniéj robi to, co musi koniecznie zrobić sam osobiście; ale gdy dostrzeże, że inni mogą go wyręczyć, z przyjemnością pozwala się opanować wrodzonemu lenistwu i pozostawia pracę innym. Tak samo rzecz się ma z niekoronnymi sędziami w sądzie mieszanym. Dowierzając *a priori* sędziom koronnym, nie zechcą oni wysilać myśli i uwagi, z przyjemnością zdrzémną się podczas sesyi w wygodnych fotelach, lub zaczną myśléć o czém inném; a na wyroku, zredagowanym przez sędziów koronnych, bez wahania położą swoje podpisy. Niemcy nie bez powodu nazywają *Schöffen*'ów potakiwalskimi (*Jasager*), lub chrapalskimi *(Beischläfer)*.

Zestawiliśmy bilans aktywów i pasywów wszystkich rodzai sądów. Aktywa sądu przysięgłych są najwyższe — pasywa najniższe. A zatém na pytanie, czy uważać sąd przysięgłych za najlepszy z istniejących obecnie sądów kryminalnych, możemy odpowiedzieć twierdząco.

A teraz należy postawić drugie pytanie: czy sąd przysięgłych w téj formie, w jakiéj istnieje w Rosyi, może należycie spełniać swoje zadanie, czy téż wymaga jeszcze poprawek, reform?

(Dok. nast.) *Aleksander Mogilnicki.*



EMANCYPANTKA Z XVI-go WIEKU.

Olimpia Morata.

Szkic biograficzny.

W ostatnich dziesiątkach naszego stulecia powstał nowy, jak mówimy, prąd unoszący umysły kobiéce ku wyżynom nauki i sztuki, pociągający je na drogi zamknięte dotychczas dla ogółu niewiast, a najeżone trudnościami, których przezwyciężanie ma być przywilejem silniejszéj połowy rodu ludzkiego. Czy owa „emancypacya", o którą tyle skruszono kopii, tyle słów zjadliwych zamieniono, na tle któréj tyle skréślono rozpraw, artykułów, powieści nawet — przedstawia więcéj dodatnich czy ujemnych stron, spierać się nie będziemy; idzie nam tylko o przedstawienie wizerunku kobiéty sławnéj i głośnéj niegdyś w szerokim świecie, chociaż dziś imię jéj mało komu znane. Kto była Olimpia Morata? — pytamy, a przecież w XVI-ym wieku utwory jéj literackie podziw budziły i uwielbienie spółczesnych; zgon jéj zaś opłakiwały akademie włoskie i niemieckie; sławili ją uczeni ludzie, hołd jéj składali znani poeci, łącząc wspomnienia klasyczne z chrześciańskiemi wyrażeniami i uczuciami, tak jak je łączyła częstokroć w utworach swych Olimpia. „Niema już téj, która żyćby powinna tak długo,

jak owa sybilla z ubiegłych wieków — niema już jéj! Ale ona odżyje w najszlachetniejszéj cząstce swéj istoty i żyć będzie między nami, gdy dusza jéj na łonie światłości nieśmiertelnéj kosztować będzie szczęścia wiekuistego.“

Tak śpiewają w łacińskich i greckich rymach poeci; uczeni zaś włoscy i niemieccy spierają się o to, który z dwu narodów większe ma prawo do chlubienia się sławą Olimpii.

„Chwałą z wychowania téj niepospolitéj niewiasty podzielić się mogą mistrze z obu narodów — pisze Curio Sinapio — ale Niemcy w tém są szczęśliwsze, że przyjęły na łono swe ostatnie jéj myśli, ostatnie westchnienia i śmiertelną powłokę téj czystéj i wzniosłéj istoty.” Marcin Crusius, jeden z najuczeńszych profesorów w Tybindze, czcił i wielbił pamięć Moraty, uniwersytet heidelberski przyjął w swe mury grobowiec jéj, gdzie spoczywa wraz z mężem i młodziuchnym bratem, a miasto Schweinfurt, odbudowawszy dom, który przez trzy lata służył jéj za mieszkanie, — zdobi go tablicą z napisem: „Dom skromny i ubogi, ale chwały pełen: w nim mieszkała Olimpia Morata.”

Historycy téj epoki jednogłośnie powtarzają pochwały Moraty: Melchior Adam, rektor uniwersytetu heidelberskiego, mieści ją w rzędzie filozofów niemieckich, mających przejść do potomności. Teodor Bèze sławi wiedzę głęboką, którą się wzbiła ponad wszystkie kobiéty, a zarazem wielkość duszy w znoszeniu przeciwności; nawet bezstronny de Thou porównywa ją do najznakomitszych niewiast starożytności, które przewyższyła świętością duszy i cnotą nieskalaną. Wreszcie mąż przywiązany rzewnemi słowy opłakuje zgon ukochanéj towarzyszki, za którą téż pośpieszył wkrótce.

Warto się przyjrzéć życiu téj szlachetnéj kobiéty, rysującemu się na tle ciekawéj niezmiernie epoki, a pełnemu przygód bardziéj interesujących i urozmaiconych, niż wiele urojonych romansów i powieści.

I.

Czém były Włochy w XVI-ym wieku, wiadomo z dziejów cywilizacyi: tam to najpierwéj przeniknął uchodzący z obalonego Carogrodu powiew starożytności klasycznéj, Odrodzenie sztuk i nauk pogańskim z początku zabarwione wpływem rozwija się coraz bujniéj, umysł ludzki wzmocniony i zahartowany sokami klasycyzmu wzrasta samodzielnie, a nabytą rzutkość i siłę zastosowuje do wszystkiego, co na swéj drodze napotyka. Ostrze krytyki zaprawione na analizie pomników starożytności przenika w mętne głębiny teologii, zamknięte dotychczas

przed okiem profanów, ciekawość ducha badawczego porusza nagromadzone od wieków prochy, a z nich ulatuje myśl swobodna śmiałém skrzydłem szybująca aż pod niebiosa, — chociaż lot ten częstokroć z właściwéj zbacza drogi. W ślad za Odrodzeniem wszędzie prawie następuje reformacya, i Włochy téż nie pozostały obce temu ruchowi umysłów. Przedtém jednak, piękna ta kraina wychodowała bujny plon rozkwitający na użyznionéj niwie czystego klasycyzmu. Liczne dwory książąt ożywionych uwielbieniem dla wszystkiego, co piękne, przyczyniły się do krzewienia oświaty i rozwijania jéj wszechstronnie: język włoski zbogacony zetknięciem z klasyczną łaciną Wergilich i Cyceronów staje się podatném narzędziem myśli, a jednocześnie z utworami literackiemi powstają arcydzieła dłuta i pędzla.

Na czele ruchu umysłowego stoją, prócz znanych przed wszystkimi Medyceuszów, Gonzagowie z Mantui, Roverowie z Urbino i książęta Este w Ferrarze. Już Lionel markiz d'Este słynie zamiłowaniem dla literatury i koresponduje po łacinie i po włosku ze znakomitościami spółczesnemi. Syn jego, Borso, pierwszy książę Ferrary, wstępuje w jego ślady i znajduje godnego następcę w swoim znów synu, Herkulesie I-ym, tłómaczu Plauta. Imię Alfonsa d'Este związane ściśle z Ariostem przeszło do potomności. Uniwersytet ferrarski, słynący już w XV w. imionami profesorów Guarino i Aurispa, jest jednym z najznakomitszych w Italii i zachowuje świetność swą nawet śród wojen trapiących ród Este. Za czasów Herkulesa II nastaje era pokojowa, śród któréj wyrastają liczne akademie (np. akad. „Elevati", założona przez Lollio i Calcaquini), szerzące upodobanie w literaturze. Sam książę gromadzi starożytne monety, wznosi piękne wille i pałace, a pisze wytwornym wierszem i prozą, zbierając przytém znakomitych ludzi na swój dwór, wzorowany na modłę francuskiego, skąd téż przybywa młoda Renata, córka Ludwika XII, jako małżonka Herkulesa II. Brat księcia, kardynał Hipolit d'Este, w uroczéj willi Belriguardo albo w Tivoli otacza się gronem uczonych, naśladując Franciszka I, którego uwielbiał.

Młoda księżna wniosła na dwór mężowski świetność i wykwint, z jakiego słynęła Francya ówczesna: obdarzona niezwykłemi przymiotami umysłu i serca, była téż nadzwyczaj starannie kształcona od lat najwcześniejszych w językach, znajomości historyi, filozofii i nawet matematyki. W owym czasie kiełkowały już we Francyi te idee reformatorskie, które miały się rozwinąć niebawem i rozszerzyć po świecie, a bystry umysł Renaty, zainteresowany „nowinkami" temi, zwraca się ku naukom teologicznym. Zdaje się, że prześladowanie, jakie wkrótce dotknęło nowatorów religijnych, wzmocniło tajemnie żywioną

ku nim sympatyę młodéj księżniczki, ale późniéj dopiéro skłonności młodociane przerodzić się miały w głębokie i trwalsze przekonania.

Przybywszy do Ferrary, księżna garnie do dworu swego wszystkich Francuzów, czy to podróżnych, czy tułaczów, ale szczególną otaczą opieką wygnanych za sprawy religijne. W Ferrarze więc przebywa słynny Clément Marot, który wspomnienia swoje w licznych uwiecznił rymach; przebywa, z początku pod przybraném nazwiskiem Karola d'Espeville, sam Kalwin, który wpływem swoim zdziałał stanowczy zwrot w umyśle księżny na korzyść reformacyi. A dwór to świetny, ożywiony, gromadzi zastęp cały uczonych i poetów, spółzawodnicząc niejako z Medyceuszami florenckimi. Żyje jeszcze wielki Ariosto i zużytkowuje resztki poetyckiego natchnienia ku zabawie i rozrywce dworu. Sekretarzem księżny jest Bernardo Tasso, ojciec Torquata; uczony Celio Calcaquini tworzy elegie lub odcyfrowuje stare napisy, a wszyscy ci uczeni i poeci chętnie się zbiérają u dworu, by toczyć spory filozoficzne i religijne, odczytywać piękne rymy i raczyć się nawzajem wytwornemi mowami.

W chwili jednak, gdy wystąpić ma nasza bohatérka, t. j. około 1539 roku, zabrakło już trzech najznaczniejszych luminarzy, których śmierć (Ariosto) lub wygnanie usunęło z dworu książęcego, a sama pani grona tego, podejrzana o sprzyjanie reformatorom, przebywa pod ścisłym nadzorem we własnym pałacu. Zamąca się też stosunek jéj z księciem-małżonkiem, a tém dotkliwiéj uczuć daje tęsknota za ukochaną zawsze Francyą.

II.

Pomiędzy uczonymi we Włoszech słynął profesor Fulvio Peregrino Morato, badacz i miłośnik literatury starożytnéj, którego też książę Alfons d'Este wezwał dla wychowania synów swych, a młodszych braci Herkulesa, t. j. Alfonsa i Hipolita. Morato, rodem mantuańczyk, przebywa na dworze ferrarskim, otoczony szacunkiem ogólnym; późniéj opuściwszy gród ten z niewiadomych przyczyn, zwraca na siebie uwagę w Wenecyi słownikiem rymów Danta i Petrarki. W r. 1539, wróciwszy do Ferrary, profesor gromadzi wyborowych słuchaczy na odczyty o literaturze starożytnéj i odbiéra w rozmaitych językach powinszowania i powitania od uczniów i wielbicieli. Największą jednak pociechą uczonego była młodziuchna córeczka jego, Olimpia, urodzona 1526 r. jeszcze w Ferrarze.

Niezwykłemi obdarzona zdolnościami, wyrasta dzieweczka w tém otoczeniu przesiąkniętém niejako literaturą i poezyą, osluchana z pięknemi utworami klasycyzmu, dziecinną już mową powtarza z nich wyjątki. Ojciec, dumny z córy, rozwija w niéj tak wczesne upodobania, a niebawem mistrzem młodziuchnéj Olimpii zostaje profesor Chilian Sinapius, z którym po kilku miesiącach nauki rozmawia biegle zarówno w języku Homera, jak i Cycerona. Przez całe życie Morata czciła i kochała swego profesora, jakby drugiego ojca, a ten znów pysznił się niepospolitą uczennicą. Nie on jeden podziwia rozkwitający talent dziewczynki, która już w dwunastym roku życia toczy rozprawy żywe z otaczającymi ją uczonymi, jak Calcaquini, matematyk, archeolog i poeta zarazem, Ricci, Lilio Giraldi, Jan Sinapius (brat Chiliana), przybyły z odległych Niemiec, i wielu innych. „Ulubienico muz! — pisze do niéj Calcaquini — z mlékiem razem wyssałaś zamiłowanie poezyi, ciało i ducha zarazem karmiąc!“ Albo: „Dziewczęta w twym wieku lubią zrywać kwiecie wiosenne i wieńcami różnobarwnemi zdobią swe czoła; ale ty gardzisz znikomym kwiatkiem, bo wolisz w muz ogrodzie zrywać nieśmiertelne kwiecie, co nigdy nie zwiędnie i wiecznym jaśnieje majem...“ Wszystkie te jednak hołdy nie odwracały serduszka Olimpii od domu rodzinnego: widzimy ją spełniającą tam najskromniejsze posługi by ulżyć matce, pobożnéj Lukrecyi, któréj pomaga w pielęgnowaniu trzech młodszych siostrzyczek swoich.

Niewiadomo, coby się stało z poetyckiemi zdolnościami Olimpii, przygnębionéj pracą, z któréj nie miała serca się otrząsnąć, gdyby nie zaszczytne wezwanie, jakie ją spotkało właśnie gdy kończyła rok czternasty. Oto księżna Renata, matka trzech nadobnych córek (o których pisze historyk Brantôme, — że miały duszę jeszcze piękniejszą niż lica, a to dzięki matce, która je wcześnie kształciła tak, że zawstydzić mogły wiedzą swą niejednego uczonego), zapragnęła dla najstarszéj i najzdolniejszéj z nich, Anny, zaledwie dziewięcioletniéj, towarzystwa dobranéj przewodniczki i przyjaciółki zarazem. Wybór padł na Olimpię, która miała pobierać dalsze nauki obok małéj księżniczki. Oddawna już dziewięcioletnia Anna, ćwicząc się w językach starożytnych pod kierunkiem znakomitych profesorów, tłómaczyła bajki Ezopa i z przejęciem deklamowała po łacinie i po grecku całe ustępy z Demostenesa i Cycerona.

Przyjaciele Olimpii z radością przyjmują wiadomość o zmianie jéj losu, a Calcaquini pisze z tego powodu: „Możesz więc odtąd oddawać się ulubionym ci naukom, zamienić kądziel na pióro, tkaniny lniane na księgi, ostrze igły na ostrze myśli... Zachowaj jednak skarby z domu rodzicielskiego wyniesione, to jest skromność, karność świąto-

bliwą, pokorę, — łącząc te ciche cnoty z mądrością, wspaniałomyślnością, wdziękiem i pogardą dla wszelkiéj pospolitości.” I rzeczywiście, pośród zaszczytów spadających na nią, hołdów, jakiemi była otoczona, umiała Morata przechować skromność dziewiczą i wdzięk czystego serca, połączony z niewieścią prawdziwie tkliwością. Zawiązuje się téż czuła przyjaźń między księżniczką i jéj starszą towarzyszką, przyjaźń, która przetrwała lata całe rozłąki i wygnania.

Tymczasem jednak spółzawodniczą obie dzieweczki w ćwiczeniach, których owocem są improwizacye wymowne i popisy literackie, a w których, ma się rozumiéć, starsza o lat kilka Olimpia przewyższała swą dziecinną towaszyszkę; jednym zaś z mistrzów dziewcząt jest sam profesor Morato, ceniący wysoko piękność i ozdobność mowy. Podajemy wyjątek z listu w tym przedmiocie do córki pisanego (1540 r.):

„Niewiasta, nim wyjdzie z komnat swych, radzi się zwierciadła i służebnicy ulubionéj, aby z godną postawą i strojem stosownym ukazać sią światu. Toż samo należy z głosem swym robić: usta, niby cugle, służą do kierowania mową; mniéj lub więcéj otwarte, wzmacniają lub przyciszają głos, nadają mu wyraz i dźwięczność... Któż nie słucha z rozkoszą dźwięków czystych i harmonijnych? Na slodkie brzmienie głosu uspakaja się straszliwy Cerber, stróż piekieł, wstrzymuje się koło Ixiona i t. d.”

A zachęta działa widocznie, bo w czternastym już roku życia Olimpia układa apologię Cycerona, wypowiada po grecku pochwałę Muciusza Scewoli, wykłada „Paradoksy” Cycerona w szeregu odczytów; ale przed każdym występem publicznym drży, waha się, tłómaczy się ze swéj śmiałości, naprzykład:

„Znam życzliwość wielką tych, co mnie słuchać mają, a jednak drżę z nieśmiałości wiekowi memu właściwéj i nieufności w słabe talenta moje. Przecież rozkazaliście, więc slucham was, gdyż niema cnoty milszéj Bogu nad posłuszeństwo dobrowolne. Tak sztukmistrz niedoświadczony boi się ująć za dłuto, ale widząc przed sobą bryłę kosztownego marmuru z Paros, chętniéj bierze się do roboty; on wié, że piękny materyał podniesie wartość jego pracy. I ze mną podobnie się dzieje. Są pieśni tak cudownego rytmu i harmonii, że rozbrzmiewają słodko na najskromniejszym instrumencie; tak i słowa ulubionego mi autora, nawet przez moje usta przechodząc, zachowają właściwy sobie wdzięk i majestat.”

„Deklamuje po łacinie, improwizuje po grecku, odpowiada na zadawane sobie kwestye, podobna wieszczkom dawnéj Grecyi i Rzymu” — pisze Celio Curione o tych występach Olimpii. Anna d'Este odbiéra téż pochwały i powinszowania od znawców literatury; wyborne

jéj przekłady z włoskiego na łacinę sławi Calcauqini. Księżna, ciesząc się postępami córki, otacza też łaskawością jéj towarzyszkę, a gdy chorą niebezpiecznie zabiérają na czas jakiś rodzice, dwór cały ubolewa nad jéj oddaleniem. Wreszcie powraca ozdrowiała Olimpia do pałacu, witana słowem radosném i pismem przez swych znakomitych przyjaciół i opiekunów. Ona sama, licząc już wtedy rok szesnasty, hymnem greckim sławi powrót swój do zajęć poetyckich... „I ja, chociaż kobiéta, porzucam płótno i wrzeciona, nici i koszyk z robotą, bo milszemi są dla mnie łąki muz kwieciem umajone, Parnas, z którego szczytów radosne rozbrzmiewają pienia...”

Dzisiaj nie robią już na nas wrażenia te wiersze klasycyzmem przesiąkłe, ale w owych wiekach, kiedy piękność formy tak wysoko stawiano, Olimpia wydawała się jedną z muz starożytnych; porównywano ją z Safo lub Korynną, a sławny Lilio Giraldi przemawia do niéj: „Oblicze twoje jaśnieje wdziękiem uroczym, a serce cnotami! Szczęśliwa księżniczka, która cię ma za towarzyszkę! Szczęśliwi rodzice, których nosisz nazwisko; stokroć szczęśliwy małżonek, który twą rękę otrzyma... A mnie staremu, zgnębionemu pedogrą, życie lżejszém się staje, gdy mnie łaską swą obdarzysz, dziewczko wybrana!...”

I tak płynęło życie na dworze ferrarskim śród owych turniei literackich, wzajemnych uwielbień i powinszowań, przemów i improwizacyi. Obok Anny występować zaczynają młodsze jéj siostry, Lukrecya i Leonora, a także bracia: Alfons i Ludwik d’Este. Od czasu do czasu zjawiają się przejezdne znakomitości, — gościnnego doznają przyjęcia na dworze, ale nic się porównać nie da z uroczystościami zgotowanemi na przybycie dostojnego gościa, który odwiedzinami swemi zaszczycał dom książęcy w r. 1543. Był to papież Paweł III, którego z tém większą skwapliwością witał książę Herkules, że pamiętał o zatargach poprzednika swego z Juliuszem II i Leonem X, a i sam miał na sumieniu spór o inwestyturę na księstwo swoje z teraźniejszym papieżem. Zarówno roztropna polityka, jak wrodzona rodzinie Este gościnność i wspaniałość skłaniały księcia do wytężenia wszelkich sił na godne przyjęcie Ojca Świętego. Historyk Muratori *(Antichita Estensi)* świetny zostawił nam opis tych przygotowań i uroczystości.

Najpierw, wysiadając z galery, którą przypłynął za biegiem Padu, zatrzymał się papież w uroczéj willi Belvedere, gdzie śród łąki ubarwionéj tysiącem kwiecia, z po za wodotrysków spadających brylantową rosą w marmurowy zbiornik, ukazywał się przepyszny pałac o kunsztownych kolumnach, krużgankach i galeryach ozdobionych dziełami sztuki, zarówno jak i kościół wspaniały z obrazami pędzla Rossi’ego, Dossi’ego i innych. Wokoło pałacu ciągnęły się prześliczne ogrody,

chodniki nad rzeką, gaje i zwierzyńce poprzerzynane cienistemi alejami, gdzie śród drzew i krzewów osobliwych odzywał się świegot najrozmaitszego ptastwa. Autor porównywa ten Belveder z rajem ziemskim.

Ku zabawieniu ośmdziesięcioletniego papieża przedstawiły dzieci książęce komedyę Terencyusza „*Adelphi*”, a później nastąpił cały szereg rozrywek najrozmaitszych, świetny wjazd do Ferrary, zwiedzanie ciekawości miasta, przeplatane naradami tajemnemi dostojnego gościa z księciem Herkulesem. Co było ich przedmiotem, okazało się później dopiéro, a w końcu kwietnia Ojciec Święty, pobłogosławiwszy gospodarza swego, odjechał do Bolonii.

Jaką rolę odegrała Olimpia Morata w tych uroczystościach dworskich, nie wiemy, to pewna tylko, że zbliżał się ważny w życiu jéj przełom, łączący się ze wstrząśnieniami, które uczuć się dały Włochom całym.

III.

Oddawna już budziły się we Włoszech zachcianki reformatorskie; w dziełach Petrarki, Dantego a zwłaszcza Bokacyusza, spotykamy się z mniéj lub więcéj śmiałą satyrą istniejących stosunków i urządzeń; Savonarola ognistą wymową szerzy pomiędzy ludem nowe opinie i poglądy; ale w XVI-ym wieku dopiéro ruch reformatorski nabiéra pewnéj ciągłości i siły. Przedstawicielami jego są wówczas Bernardino Ochino i Piotr Martyr, którzy zakładają zbory ewangielickie w Luce i Wenecyi, a z pomocą Hiszpana, Juana de Valdez, i w Neapolu. Im bardziéj reformatorowie ci znani byli dawniéj z życia pobożnego i cnót chrześciańskich, tém sroższy spaść miał na nich teraz gniéw kościoła; musieli téż szukać schronienia w sąsiedniéj Szwajcaryi, a tymczasem papież Paweł III ustanawiał dla wyśledzenia i skarcenia szerzącéj się po kraju reformacyi — inkwizycyę. Sześciu kardynałów w kwietniu 1543 r., obdarzonych tytułem inkwizytorów, stało na czele strasznego trybunału, który niebawem, mimo oporu mieszkańców, osiedlił się w głównych miastach Italii.

Inkwizycya zaczęła sprawować swe sądy w Neapolu, Wenecyi, Florencyi, a wreszcie i w Ferrarze, co właśnie było przedmiotem owych narad papieża z ugaszczającym go księciem. Tu jednak miłosierna i sama ku nowinkom religijnym skłaniająca się księżna umiała przez pewien czas łagodzić zapędy inkwizytorów, tak iż z Ferrary odzywają się jeszcze głosy jątrzące stolicę apostolską w dziełach uczonych tam-

tejszych, np. Giraldiego „Poeci spółcześni”, Manzollego (nadworny lekarz ks. Herkulesa) poemata satyryczne wymierzone przeciwko Rzymowi, Ricciego lub Flaminia, który sławił wierszem spalonego na stosie Savonarolę. Nawet pomiędzy profesorami akademii nadwornéj znajdowali się gorliwi stronnicy reformacyi, jak Sinapius, który wraz z żoną swą, nadobną i rozumną Franciszką Bucyronią, pozostaje w korespondencyi z samymże Kalwinem. Co więcéj, wódz reformatorów odzywa się z Genewy, gdzie wówczas przebywał, do księżny Renaty, którą umocnić pragnie w opiniach zaszczepionych za czasów pobytu jego w Ferrarze; korespondencya ta trwa przez lat dwadzieścia zgórą, to jest do śmierci reformatora, który niejednokrotnie wyraża radość swą, że Bóg oświecił umysł i rozjaśnił duszę tak zacnéj pani.

Jakim sposobem Renata umiała zażegnywać podejrzliwość męża i gniew stolicy apostolskiéj, nie wiadomo; dość, że na dworze jéj znajdowali przytułek wygnańcy i prześladowani za herezyę.

W tych liczbie był Celio Curione, niejednokrotnie więziony i ścigany przez inkwizycyę, a w czasie swych awanturniczych przygód znajdujący gościnne przyjęcie w domu Peregrina Moraty. Ślady téj przyjaźni, opartéj na zgodności upodobań i przekonań, spotykamy w obfitéj korespondencyi obu uczonych. Wkrótce po odjeździe z Ferrary prześladowanego tam Curione, pisze doń przyjaciel: „Nie więcéj boleje ciało rozłączając się z duszą, jak ja bolałem żegnając się z tobą, coś mnie wprowadził na drogę zbawienia. Obym i ja mógł wzbogacić innych tym skarbem, któregoś mi udzielił! obyśmy obfite przygotowali plony na dzień zbiorów wiekuistych!...”

Takie to wpływy musiały się przedostawać do młodocianego umysłu Olimpii, kształtowanego dotąd na wzorach klasycznych i tak przesiąkniętego pogańską niejako starożytnością, że mimo ciekawości, z jaką się zwracała do nowych poglądów, nie mogła jednak z początku odczuć ich ani zrozumiéć. Ślady nowego zwrotu spotykamy w kilku utworach Olimpii, a mianowicie w dwóch ustępach z włoskiego na łacinę przez nią przełożonych: jednym jest ustęp z „Dekameronu” Bokacyusza, o tym kupcu żydowskim, który przybywszy do Rzymu widzi zepsucie duchowieństwa, nadużycia i szalbierstwa rozmaite, ale powróciwszy do domu przyjmuje chrzest, bo „prawdziwą i świętą być musi religia istniejąca na świecie mimo tylu [illegible]godziwości swych przedstawicieli.”

W drugim ustępie opowiedziana historya obłudnika, który nagrzeszywszy przez całe życie, umiał jeszcze na łożu śmiertelném otumanić spowiednika swego, a po śmierci został kanonizowany i „robił tyle cudów, co każdy inny święty” — upewnia Bokacyusz. Sam wybór po-

dobnych ustępów świadczy o heretyckich skłonnościach Olimpii w owym czasie, a w późniéj pisanych jéj dyalogach rysują się wyraźnie walki wewnętrzne, jakim ulegała szukając prawdy i zaspokojenia, którego dać jéj nie mogły systemy filozoficzne. Próbowała też wówczas czytać Biblię, ale nie mógł znaleść upodobania w tém jędrném a prostém słowie umysł przyuczony do kunsztownych i wytwornych zwrotów klasycyzmu. Przytém rozrywki i tryumfy połączone z pobytem u dworu zbyt jaskrawe stanowiły przeciwieństwo z ćwiczeniami pobożnemi i zagłębianiem się w czytanie ksiąg religijnych.

Na ten czas przypada zaprzyjaźnienie się Olimpii z młodą księżną Orsini, z domu Rovere, odznaczającą się niezwykłemi przymiotami serca i umysłu. Lavinia Orsini wyróżniła z pomiędzy otaczających ją kobiét utalentowaną towarzyszkę Anny d'Este i wraz z nią oddawała się badaniom filozoficznym lub dociekaniom religijnym; wkrótce też przyłączyły się do nich dwie bratowe Lavinii, Magdalena de Ceri i hr. Julia Rangone, obie słynące z rozumu i piękności.

W rozmowach tych młodych kobiét roztrząsane były najpoważniejsze kwestye, jak nauka o łasce, o predestynacyi, wolnéj woli i tym podobne. A jednak w pismach Olimpii z owéj epoki pochodzących nie napotykamy żadnego śladu tych niepokojów i wątpień religijnych; przeciwnie, wiersz poświęcony pamięci zmarłego wtedy właśnie uczonego Bembo (1547), nosi zwykłe piętno klasycznéj harmonii i doskonałości. Pięknym wierszem greckim wyraża Olimpia żal spółczesnych, a w szczególności domu Este, po zgonie tego, „z którym niknie wzniosły geniusz wymowy, tak że się zdaje, iż wielki Cycero po raz drugi zstępuje w krainy cieniów..."

Wiersz poświęcony pamięci Bemba uważać możemy za ostatni utwór Olimpii w duchu czysto klasycznym, którym owiana była cała jéj młodość. Dotąd życie jéj płynęło łatwo, pogodnie, a duch prześlizgiwał się niejako po ukwieconych niwach poezyi klasycznéj, śród szmeru pochwał i uwielbień. Teraz inna doba nastaje, doba ciężkich zmartwień i doświadczeń, śród których wzmacnia się i dojrzewa dusza młodéj poetki i uczy się odzywać słowami, jak te naprzykład: „Jak w pustyni sam widok węża śpiżowego leczył śmiertelne ukąszenie jadowitéj żmii, tak i dusza, ugodzona pociskami złego, znajduje ulgę i ran swych uleczenie wpatrując się w Syna Bożego na krzyżu rozpiętego..." Wprawdzie i ten wiersz w greckiéj wyrażony mowie, która wraz z łaciną jest jakby rodzinnym językiem Olimpii, ale już przeniknięty pobożnością chrześciańską, coraz silniéj korzenie w sercu jéj zapuszczającą.

IV.

Pierwszym ciosem, jaki ugodził w serce Olimpii, była choroba jéj ojca w r. 1548; dobra córka porzuciła wszystko, śpiesząc do łoża chorego, który niebawem, otoczony troskliwością rodziny, śród modlitw i rozmyślań pobożnych, spokojnie i pogodnie prawie rozstał się z tym światem. Zbolała i schorowana wdowa jego nie była w stanie zająć się domem, Olimpia więc została niejako głową rodziny, składającéj się jeszcze z trzech sióstr młodszych i małego braciszka. A tu właśnie gromadziła się burza nad jéj głową, tém groźniejsza, że nie wiadomo skąd wzięła początek. W czasie choroby jeszcze profesora Morato, siedmnastoletnia Anna d'Este, towarzyszka i przyjaciółka Olimpii, opuściła dwór rodzicielski, by poślubić Franciszka ks. Lotaryńskiego, tak znanego późniéj pod tytułem księcia Guise. Zaślubiny odbyły się we wrześniu 1548 r., a młoda narzeczona wyjechała do Francyi, zostawiając żal w sercach otoczenia swego i ludu ceniącego jéj dobroć i cnoty.

Niebawem zjawił się na dworze ferrarskim wygnaniec z Francyi, mnich, karmelita, Hieronim Bolsec, którego przyjąwszy z właściwą sobie gościnnością i sympatyą dla wychodźców z Francyi, księżna Renata mianowała swym kapelanem. Jakim sposobem podstępny człowiek potrafił zaskarbić swoje zaufanie obojga księstwa, nie wiadomo; dość, że w krótkim czasie osnuł całą sieć intryg i oszczerstw, których pierwszą ofiarą była nieobecna chwilowo Morata. Zawezwana do dworu dla usprawiedliwienia się z czynionych sobie zarzutów, dość zresztą niejasnych, pozbawiona przyjaźni księżniczki, a nawet opieki księżny, dziwnie teraz przeciwko niéj uprzedzonéj, — musiała usunąć się, dotknięta niełaską tych, którym lat tyle wiernie, z przywiązaniem służyła. Odtąd, opuszczona, potępiona przez możnych swych opiekunów, doświadczyła czém jest niestałość ludzka; większa część bowiem dawnych przyjaciół odwróciła się od niéj i od całéj rodziny Moratów. Boleśnie dotknięta tą niesprawiedlwością, upadająca prawie pod ciężarem żałoby i krzywdy sobie wyrządzonéj, jak to żywo odmalowała późniéj w swych pismach, Olimpia nie poddała się jednak rozpaczy, lecz z całém przejęciem poświęciła się staraniom około rodziny osieroconéj. Ucząc młodociane siostry, załatwiając obowiązki gospodarskie, znajdowała jeszcze obok tego chwile wolne na czytanie ksiąg świętych i uprawianie poezyi. Jednocześnie ze zwrotem do uczuć religijnych, utrwalają się jednak i zakorzeniają w sercu Moraty opinie reformatorskie, a te właśnie coraz gorliwiéj są śledzone i coraz ostrzéj karane

w całych Włoszech. Wielu przyjaciół domu Moratów dostaje się do więzienia i pod sąd, a jednym z pierwszych pada ofiarą inkwizycyi Fannio z Faenzy. Więziony kilkakrotnie za to, że rozczytywał się w Piśmie świętém i każąc, wykładał je ludowi, tym razem w kajdanach trzymany był w Ferrarze, dopóki nie wyda nań wyroku trybunał inkwizycyi. Do więzienia tego potrafiła się dostać Olimpia wraz z dostojną przyjaciółką swą, księżną Lawinią; obie zaś pełne były uwielbienia dla człowieka cierpiącego za wiarę i same się utwierdzały w zapale do nowéj nauki religijnéj. Olimpia, doświadczywszy na sobie prześladowania i wzgardy od tych, których uważała za najbliższych przyjaciół, pełna była litości dla prześladowanych, a odwracając się od znikomych dóbr świata, powtarzała: „Wolałabym dzień jeden przebyć w przybytkach wiekuistych, aniżeli tysiące lat przeżyć w pałacach możnych téj ziemi.”

Od pewnego już czasu przemieszkiwał w Ferrarze młody cudzoziemiec uczciwego rodu, Andrzej Grunthler, przybyły ze Schweinfurthu nad Menem dla ukończenia studyów medycznych i filozoficznych, którym się był poświęcił. Odwiedzając często spółrodaków swych, obu Sinapiusów, nasłuchał się od nich o wysokich przymiotach i zdolnościach Olimpii Moraty, którą téż niebawem poznać miał sposobność. Skryte uwielbienie jego dla młodéj poetki zamieniło się wkrótce w żywsze uczucie, a w miarę, jak spadały na Olimpię udręczenia i smutki, wzmagała się téż miłość ku niéj młodego medyka. Gdy dawni przyjaciele i podchlebcy odsuwali się od rodziny Morato, Grunthler, nie bacząc na niełaskę dworu, otaczał ją przyjaźnią i życzliwością, a ta szlachetność obok wykształcenia umysłu i przyjemnego obejścia zjednała mu serce Olimpii. Ku końcowi roku 1550 odbyły się zaślubiny młodéj pary przy modłach zgromadzonych w Ferrarze wyznawców nowéj wiary, a w czasie téj ceremonii ozwały się hymny, śród których brzmiał może i utwór pięknéj oblubienicy na tę uroczystość po grecku ułożony w następnych słowach: „O, Boże Wszechmocny, Królu królów, Stwórco męża i niewiasty; Ty, któryś dał pierwszemu człowiekowi towarzyszkę, aby nie zaginął rodzaj ludzki; Ty, któryś pozwolił by upadła dusza ludzkości całéj stała się oblubienicą Syna Twego i przez tegoż Syna na krzyżu odkupioną została; rozléj pokój Twój święty i zgodę na tych małżonków łączących się w téj chwili przed Tobą, o Panie! Prawo Twoje niech będzie ślubnym przybytkiem i uwieńczeniem miłości wiekuistéj!”

Wkrótce po téj uroczystości nastąpiło bolesne rozłączenie. Z każdym dniem wzmagało się w Ferrarze rozdrażnienie przeciwko nowowiercom; księżna przestała łagodzić gniew męża, a grono uczonych,

znajdujące dotychczas opiekę i osłonę u dworu, zaczęło się rozpraszać. W ich liczbie znajdowali się obaj Sinapiuse, nauczyciele dzieci książęcych; pomimo długoletniéj wierności domowi książęcemu musieli i oni opuścić Ferrarę, wybierając się do Niemiec. Grunthler, który dopiéro co otrzymał po świetnych egzaminach stopień doktora medycyny, pragnął dostać profesurę w którymś z uniwersytetów niemieckich. W tym celu zaraz w zimie wybrał się w odległą, a tak bardzo podówczas uciążliwą podróż, zostawiając młodą żonę w Ferrarze pod opieką nielicznych już teraz przyjaciół, w rzędzie których jednak pierwsze zajmowała miejsce Lawinia di Rovere księżna Orsini. Że nauki klasyczne nie wysuszyły serca Olimpii, dowodem liczne jéj a pełne czułości listy do męża, jak naprzykład:

„Nie widzę ciebie, mój najmilszy, a nieobecność twoja na tysiączne naraża mię niepokoje. Obawiam się dla ciebie srogiéj zimy, wypadku, rany śmiertelnéj; obok niebezpieczeństw rzeczywistych tworzy urojone, jeszcze straszniejsze, zaniepokojona wyobraźnia. Znasz przecie wiersz poety: *Res est sollicití plena timoris amor*; miłość jest trwożliwa i obaw pełna, więc miéj litość nad mękami mojemi i pisuj często, nie szczędź szczegółów o zdrowiu swém i podróży. Niebo mi świadkiem — ty sam, zresztą, wiész to dobrze, że niéma nic na świecie droższego dla mnie, niż ty jesteś. Chciałabym w jednéj chwili znaléść się przy tobie, by ci dowiéść ogromu méj miłości. Niema ofiary, któréjbym nie uczyniła radosném sercem, aby ci okazać moje przywiązanie...”

W innym znów liście pisze Olimpia: „Śród mnóstwa cierpień zapełniających życie nasze, w Bogu tylko ucieczka i schronienie bezpieczne; do Niego więc módlmy się, bo On nic odmówić nie zdoła tym, którzy proszą. Ale, niestety! ja usiłuję innych pocieszać, a sama czyż pociechy nie potrzebuję gwałtownie? Dni moje płyną śród łez i tęsknoty, a w modlitwie tylko ulga.”

Obok modlitwy znajduje czas jednak Olimpia na ulubione zawsze zajęcia literackie; spisuje np. w formie dyalogu treść rozmów toczonych z zacną swą przyjaciółką Lawinią, starszą od niéj o lat kilka, a nawiedzającą często dom żałobą okryty i niełaską książęcą dotknięty. Oto kilka wyjątków z dyalogu po łacinie spisanego, równie jak i listy Olimpii do męża. Na wymówkę przyjaciółki, że nie chce użyczyć wypoczynku umysłowi skołatanemu, odpowiada Olimpia: „Ja się zgadzam z tym mędrcem, który rzekł, iż czas nie poświęcony nauce uważać można za stracony. Zdaje mi się, że grzeszyłabym, gdybym nie wypełniała literaturą wolnych chwil, których Bóg mi użycza; zwłaszcza teraz, jedyna to moja pociecha i rozrywka w nieobecności mał-

żonka." — Lawinia: „Prawda, że nauki Boskie są jak owe sady bujne, gdzie zbiérać możemy w obfitości owoce nieśmiertelne. Ludzka mądrość może miéć urok dla tych tylko, którzy, nic umiejąc odgadnąć rzeczy niewidzialnych dla oka, a jedynie godnych zgłębiania, zadawalniają się marném kwieciem więdnącém od rana do wieczora."—Olimpia: „Muszę ci wyznać, przyjaciółko droga, że i ja długi czas żyłam w nieznajomości tych prawd najgłębszych. Myślałam, żem uczona, bo się rozczytywałam w księgach filozofów świata tego i upajałam się subtelną trucizną w nich zawartą. Wtenczas właśnie, gdy mnie podnosiły wysoko pochwały ludzkie, uczułam całą próżnię méj nauki, całą niewiadomość, w jakiéj byłam pogrążona. Wszak sądziłam, niebaczna! że świat ten cały jest dziełem przypadku, że istnieje bez kierunku, bez Boga! Takie ciemności mroczyły duszę moją, gdy Bóg sam raczył ją rozświecić, rzucając promień Przedwiecznéj mądrości swéj. A potém, gdym została sierotą, opuszczoną i pokrzywdzoną, Bóg ten otoczył mię opieką swoją, słodką opatrznością, któréj nie dorównywa najtroskliwsze, najczulsze przywiązanie ojcowskie. Wtenczas dopiéro poznałam dawny błąd mój i zaślepienie..." — Daléj zapytuje Lawinia: „A czyż nieprawdę mówili ci, którzy sławili twoją wymowę i biegłość w łacinie i greckim języku? Nieraz słyszałam, jak mistrze twoi rozwodzili się nad wytrwałością, z którą długie godziny trawiłaś w samotności i pracy umysłowéj, kiedy inne rówieśnice twoje przyozdabiały twarz swoją, trefiąc włosy i wytwornych dobierając strojów. Co najdziwniejsza, że właśnie najpiękniejsze lata młodości poświęciłaś tym naukom, nie zważając na krytykę młodych kobiét i mężczyzn, powtarzających ci: nie o tém myśléć trzeba; mąż twój więcéj się będzie dowiadywał o posag, niż o mądrość twoją." — Olimpia: „Bóg tak chciał! On mi dał takie upodobania... Oby teraz słabe zdolności moje obróciły się na Jego chwałę! nic więcéj nie pragnę." — Dyalog ten kończy się pobożném uniesieniem w tych mniéj więcéj słowach: „...Słaba dziecina, spłakana i uwinięta w pieluszki, podobna byłam do innych niemowląt, bo wszyscyśmy równi przy urodzeniu i przy śmierci. Ale ja wcześnie wzdychać zaczęłam za darem mądrości. Cenniejszym on mi się wydawał niż złoto, perły i drogie kamienie; świetniejszym niż mitry i korony; droższym niż piękność, niż życie nawet. A Bóg wysłuchał wzdychania mego, światłością swą rozproszył ciemności w méj duszy, a blask ten droższy mi jest nad wszelkie skarby świata..."

Kiedy tak Olimpia trawiła dni swe w zajęciach i rozmyślaniach, z Niemiec coraz bardziéj niepokojące wieści nadchodziły. Gruntbler znalazł wprawdzie życzliwe przyjęcie, zwłaszcza w Augsburgu, dokąd zabrał polecające listy od teścia Lawinii, Kamila Orsini, do radcy

cesarskiego Hermanna; ale przy szerzących się niepokojach religijnych i zbrojeniu się stron obu, trudno było otrzymać posadę w opustoszałych teraz szkołach i akademiach. Podróże nawet najeżone były rozmaitemi trudnościami i niebezpieczeństwy, gdyż gromady zbrojne koczowały po traktach i lasach przydrożnych, a kraj cały wrzał od niezadowolenia po ogłoszeniu „*Interimu*". Jednak radca Hermann ofiarował w domu swoim gościnność młodéj parze, zanim się znajdzie stosowne dla Grunthlera zajęcie, a młody doktór pośpieszył do Ferrary, aby stamtąd w początkach czerwca wraz z żoną wybrać się do Niemiec. Ucieszona na chwilę powrotem męża, Olimpia z ciężkim żalem znów myślała o opuszczeniu ojczyzny i rozstaniu się z matką schorzałą i siostrami; poleciwszy je gorąco opiece Lawinii di Rovere, postanowiła ośmioletniego braciszka, Emilia, zabrać z sobą. Znajdujemy z tego czasu w zapiskach jéj ustęp:

„Bóg mnie połączył z mężem droższym nad życie, więc poszłabym za nim wszędzie: czy to w puszcze niegościnne Kaukazu, czy w lodowate krainy Północy, czy przez strome Alp wąwozy. Pójdę za nim sercem ochotném wszędzie, gdzie mu się podoba kroki skierować. Ojczyzna męża zacnego jest wszędzie (*Omne solum forti patria est!*), a najdalsza strona miłą nam będzie, jeśli tam wolno Bogu służyć."

V.

Z początkiem wiosny (1551 r.) Olimpia wraz z mężem puściła się w podróż, z któréj już nigdy wrócić nie miała. Trzymając się brzegów Adygi, przybyli do Trydentu, wzburzonego rozprawami soboru; a po krótkim odpoczynku zapuścili się w piękne doliny Tyrolu, gdzie im się udało wyminąć szczęśliwie posterunki wojsk cesarskich, obozujących podówczas w Insbruku. Wreszcie spuściwszy się na równiny bawarskie, dotarli szczęśliwie do Augsburga. Gród ten zajmował miejsce poczestne pomiędzy najznamienitszemi miastami niemieckiemi, a to głównie dzięki mieszczańskiéj rodzinie Fuggerów, slynących z zamiłowania sztuki i nauk. Podobni florenckim Medyceuszom, gromadzili oni w komnatach starego domu swego kunsztowne sprzęty i wyroby, dobiérali starannie galeryę obrazów i rzeźb, którą z zachwytem opisują historycy téj epoki (np. Beatus Rhenanus). Oprócz cennego zbioru portretów Łukasza Cranacha i arcydzieł malarzy włoskich, znajdowały się tam oryginalne posągi greckie z marmuru lub bronzu, z wielkim trudem i kosztem sprowadzone; między innemi prześliczną być miała Circe, leżąca na płycie z białego marmuru i otoczona ofiarami swych czarów. Obok

pięknych mozaik, była także kolekcya monet i medali, a jeden z Fuggerów, Rajmund, poświęcił znaczną sumę na utworzenie zbioru napisów starożytnych (wydanego w Ingolsztadzie).

Ma się rozumiéć, że ludziom tak oświeconym nie były obce pisma Olimpii Moraty; to téż przyjęli z uprzejmością skwapliwą przybyszów z Południa; ale najmilszą gościnę znaleźli Grunthlerowie w domu radcy Hermanna. Niebawem udało się młodemu lekarzowi ocalić życie gospodarza swego, dotkniętego nagłą a ciężką chorobą, co zwiększyło jeszcze życzliwość całéj rodziny dla Grunthlerów. Pobyt w Augsburgu zalicza Olimpia do najmilszych chwil życia swego, o czém świadczą listy jéj do przyjaciół; stamtąd téż odezwała się do Celia Curione, wówczas profesora literatury łacińskiéj w uniwersytecie bazylejskim (od r. 1547). Uczony ten, którego wykłady przez lat dwadzieścia ściągały słuchaczy z całéj Europy, odpowiada na odezwę Olimpii, pełną uszanowania i czułości, listem następującéj treści:

„Dzięki ci, droga Olimpio, żeś po latach tylu i pomimo dzielącéj nas odległości, przypomniała mnie sobie i wskrzesiła dziedziczną niejako przyjaźń. Nikt więcéj odemnie nie szanował i nie kochał zacnego ojca twego, a miło mi jest życzliwość tę przenieść na córkę podobną doń z cnót i pobożności. Po żonie i dzieciach rodzonych, tyś mi najdroższą ze wszystkich, a męża twego uważam jakby własnego zięcia. Chwała bądź Bogu Wszechmocnemu, który cię usunął z zatrutéj atmosfery dworów książęcych i obdarzył was wolnością cenniejszą od złota! Czytałem przekład twój psalmu na greckie, i tak mi się podobał, że pragnąłbym byś więcéj prac takich wykonała. Teraz już nie potrzebujemy zazdrościć Pindara Grecyi. Wierzaj mi, Olimpio droga, idź za wezwaniem muz i wieńcz twe czoło świętym wawrzynem; z czystszego źródła czerpiesz swe natchnienie, niż je czerpała Safona .. A pisuj do mnie często; wytworność, słodycz i świętobliwość, listy twe przenikająca, niewymowną sprawia mi pociechę.”

Pisała także Olimpia do Lawinii, wywiadując się troskliwie o losy protestantów w Ferrarze i polecając jéj gorąco sprawę więzionego jeszcze Fannia Faenza. I rzeczywiście w chwili, kiedy wszyscy drżeli przed inkwizycyą, nie wahały się słabe kobiety, jak Lawinia Rovere i bratowa jéj, Magdalena Orsini, ujmować za więźniem.

Tymczasem Grunthlerowie, nie znalazłszy stosownéj posady, postanowili opuścić gościnny dom radcy Hermanna i udali się w odwiedziny do przyjaciela rodziny i dawnego mistrza, Jana Sinapiusa, obecnie nadwornego lekarza u biskupa Zobela w Würzburgu. Tu, znowu, przebyli jesienne miesiące śród prac i zajęć literackich, a wieczorami Olimpia zasiadała do nauki haftu wraz z córką Sinapiusa, Teodorą, i siostrze-

nicą Brygidą, nie gardząc igiełką, chociaż tak dzielnie władała piórem. Tam wydarzył się bratu jéj, Emilowi, wypadek, cudowny prawie: oto chłopczyna bawiąc się z innemi dziećmi, spadł z wysokiego tarasu w rozpadlinę, najeżoną stromemi skałami, zdawało się, że musi być zabity lub straszliwie pokaleczony, a jednak wyszedł cało z téj przygody i przybiegł sam do siostry. Wypadek ten uważała Olimpia za cudowne zrządzenie Opatrzności i gorącemi słowy wyrażała wdzięczność swą Bogu.

Wkrótce potém Grunthler otrzymał od rodaków ze Schweinfurthu wezwanie do zajęcia posady lekarza wojsk hiszpańskich w mieście zakwaterowanych (gdy cesarz zimował w Insbruku). I tak, w pięć miesięcy po opuszczeniu Ferrary (październik 1551) osiedlili się małżonkowie w skromnéj mieścinie bawarskiéj, gdzie przynajmniéj Gruntblera wiązały wspomnienia rodzinne; ale dla Olympii, jakże odmienny był ten pobyt od miejsc, w których pierwszą młodość swą spędziła.

Jeżeli podziwiano Olimpię wówczas, gdy błyszczała dowcipem i wymową śród grona książąt i uczonych, to zaprawdę, stokroć godniejszą hołdów wydaje się ona teraz, kiedy zagrzebana w cichéj mieścinie, w surowym klimacie, śród ludzi obcych mową i pochodzeniem, promienieje blaskiem cnót domowych, pracowitości i pobożności gorącéj, umacniającéj ją na próby życia i ciężkie przejścia, jakich się spodziewać mogła w tych czasach burzliwych.

Wkrótce po przybyciu do Schweinfurthu, otrzymał Grunthler propozycyę zajęcia katedry profesorskiéj w Lincu. Posada była nader korzystna, ale warunkiem do jéj objęcia było wyznanie katolickie, co się sprzeciwiało zasadom obojga małżonków; totéż dowiedziawszy się od radcy Hermanna, za pośrednictwem którego przesłana była zaszczytna propozycya, że warunek ten był nieunikniony, odmówili przyjęcia ofiarowanéj posady.

Tymczasem dochodziły ich wieści o wzrastającém ciągle prześladowaniu nowego wyznania we Włoszech, a niebawem ogłoszono wyrok skazujący na śmierć Fannia z Faenzy. Ku wielkiemu żalowi spółwyznawców i przyjaciół, został spalony po dwuletniém więzieniu.

Niespokojna o krewnych, Olimpia zrzadka tylko odbierała od nich wiadomości, a sama wystrzegać się musiała pisząc, by na nich nie ściągnąć podejrzenia i prześladowania. W owym czasie matka jéj osamotnioną została w Ferrarze, gdyż wszystkie trzy córki wyjechały ze znakomitemi domami, które się niemi opiekowały; najmłodsza, Vittoria, towarzyszyła Lavinii di Rovere do Rzymu. Wkrótce jedna z nich poszła za mąż za bogatego i zacnego młodzieńca w Medyolanie, a młoda para zamieszkała z matką, ku wielkiéj radości Olimpii, która zdaleka

tylko mogła się odzywać do niéj, przesyłając zaoszczędzone pieniądze i serdeczne wyrazy.

Piękne są listy Olimpii do Lawinii, która trosk doznawała rozmaitych: bezdzietna, bolesną dotknięta chorobą, tęskniła jeszcze za ukochanym mężem, zajętym wojnami we Francyi, gdzie służył królowi Henrykowi II. Oprócz listów, w których starała się pocieszać przyjaciółkę, nmacniać ją w wierze i rezygnacyi, ułożyła w owym czasie Olimpia piękny dyalog o szczęściu prawdziwém, łączący wykwintność klasycznego stylu z głębokiemi natchnieniami ducha chrześciańskiego. W dyalogu tym Teofila, przemawiając do przyjaciółki swéj Filotimy o znikomości dóbr ziemskich, przypomina jéj, ile miały do zniesienia niewiasty biblijne, chociaż w małżeństwie nie szukały ziszczenia swych marzeń, ale raczéj spełnienia obowiązków względem męża i dzieci swoich. Potępiwszy upodobanie w zbytkach i rozrywkach, dodaje: „Szukamy stołu zastawionego wybornemi potrawami, a nie spieszymy się do biesiady duchowéj, gdziebyśmy mogli się nakarmić słowem Bożém". Przyjaciółka uskarża się na swe zmartwienia, przypomina, że i między biblijnemi niewiastami znajdowały się takie, które żyjąc śród zbytków i świetności, jak Ester lub Abigail, umiały spełniać swe obowiązki; ale Teofila zbija wszystkie jéj argumenta wymownemi słowy i nakłania ją wreszcie do poświęcenia Bogu wszelkich uczuć, myśli i pragnień.

Dyalog ten wraz z kilku innemi utworami, które się dochowały (bo większa ich część zatraconą została), świadczą o zamiłowaniu, z jakiém Olimpia każdą wolniejszą chwilę poświęcała pracom literackim. Sprowadziła ona do Schweinfurthu bibliotekę ojcowską i ztamtąd czerpała skarby myśli i natchnień wzniosłych. A życie jéj było pracowitém: oprócz starań gospodarskich, odwiedzania chorych i ubogich, zajmowała się kształceniem braciszka oraz córki Sinapiusa, Teodory, która przebywając w domu Grunthlerów, pod kierunkiem Olimpii szybkie czyniła postępy w języku łacińskim i greckim. Smutne wydarzenie przerwało te nauki, matka bowiem Teodory, owa ukochana żona Sinapiusa, Franciszka Bucyronia, zachorowała ciężko i, zaledwie się doczekawszy powrotu córki, umarła.

Opłakawszy stratę przyjaciółki, Olimpia wraca do zwykłych zatrudnień, a wieczorami gromadzi się w jéj domu wybrane grono spółwyznawców na wspólne czytanie i śpiewy. W tym celu przełożyła na język grecki kilka psalmów, do których Grunthler dorobił muzykę. I tak płynęło życie w tym zakątku cicho i spokojnie, jak gdyby wokoło nie gromadziły się czarne chmury, grożące straszliwą burzą. Miała ona nadciągnąć niebawem i porwać z sobą winnych i niewinnych, zostawiając tylko krew, łzy i ruiny.

Na dwóch przeciwległych krańcach kraju walka już się rozpoczęła: król francuski, niby ujmując się za protestantami, zagarniał trzy biskupstwa, a jednocześnie Turcy zajmowali Węgry; książęta protestanccy zaś, chwilowo ukorzeni, gotowali się do wojny przeciw cesarzowi. Wtedy właśnie Olimpia tłómaczy psalmy do nastroju chwili stosowne, np.:

„Czemuż to narody podnoszą się tłumnie, a ludzie spierają się o rzeczy próżne? Królowie i książęta świata zmawiają się przeciwko Przedwiecznemu i pomazańcowi Jego.—Zerwijmy, mówią. okowy nasze i jarzmo nam narzucone. Ale ten, który w Niebiosach panuje, szydzi ze swych nieprzyjaciół. On przemówi w gniewie Swym i grozą ich napełni...”

Czasami tok poważny wiersza zmienia się w rytmy z Safony naśladowane, a pełne energii, jak w tym przekładzie z psalmu Lutra (udającego się do Wormacyi).

„Bóg jest schronieniem i szańcem nieprzepartym, Bóg ostoją i oswobodzeniem tych, co w niewoli pogrążeni. Nie bój się więc, duszo moja, nie lękaj się, choćbyś widziała góry z posad swych wstrząśnione i staczające się do morza,.... ....Bóg mocny i potężny; Wódz Przedwieczny z zastępy swojemi idzie za nami....”

Psalmy te przesyłała Olimpia przyjaciołom swym, mianowicie Celiowi Curione, który nie szczędzi jéj zachęty i pochwał. Na jeden z listów jego odpowiada Olympia: „Szczęśliwa jestem, że ani czas, ani oddalenie nie zmieniło uczuć waszych dla mnie.... Sąd wasz pochlebny o moich wierszach najpiękniejszą jest dla mnie nagrodą. Gdyby nie to, przestałabym pisać, ale kiedy ludzie tak wielkiéj pobożności udzielają mi zachęty, będę się starała zasłużyć choć w części na ich pochwały”. Innym razem przesyłając kilka ustępów poetycznych i dyalog swój do Curione, dodaje: „Przyjmijcie, proszę, te kilka wierszy; jedyne to moje potomstwo i zapewne nie zostawię innego.”

VI.

Wkrótce po śmierci Lutra (w lutym 1546 roku), rozpoczęły się w Niemczech wojny religijne, które przez wiek cały z małemi przerwami zakrwawiać miały tę krainę. Pierwsza walka zbrojna, zwana wojną Szmalkaldzką, zaczęła się od porażki elektora saskiego pod Mühlbergiem i upokorzenia książąt protestanckich. Wkrótce jednak (kwiecień 1552) cesarz napadnięty w Insbruku a chory na pedogrę, zaledwie uchodzi nocą po ścieżkach górskich. W kilka miesięcy późniéj podpisano

ugodę Passawską, potwierdzoną znów pokojem Augsburskim, ale pokój to był pozorny tylko i właśnie podczas tego zawieszenia broni jeden z wodzów cesarskich, Albrecht Brandeburski, wojak śmiały, zuchwały, bez czci i wiary, rzec można, obrawszy sobie za punkt oparcia miasteczko Schweinfurth, wypadał ztamtąd co chwila, aby niszczyć i rabować okolice nad Menem. Zniecierpliwieni temi napadami zbójeckiemi, biskupi Würzburski i Bamberski, połączywszy się z elektorem Maurycym i Norymbergą, wystąpili zbrojnie i oblegli margrabiego Albrechta w legowisku jego.

Teraz okropne nastały czasy dla nieszczęsnego miasta: przez czternaście miesięcy oblężenia (od kwietnia 1553), mieszkańcy Schweinfurthu znosili wszelkie możebne plagi; oprócz klęsk wojennych bowiem i rabunku ze strony tych, co się ich obrońcami mienili, dotknięci byli dżumą straszliwą, głodem i chorobami, spowodowanemi przez wielkie nagromadzenie ludności w ciasnéj przestrzeni. Okropne te chwile opisuje Olimpia w listach do Lawinii i Cherubiny (innéj znów przyjaciółki z Ferrary); mężna niewiasta nie straciła odwagi, a śród największych niebezpieczeństw, pod gradem kul spieszyła z pomocą uboższym i nieszczęśliwszym od siebie. Najgorszym jednak ciosem dla niéj była choroba męża: ratując dotkniętych zarazą, sam uległ jéj i to w chwili, gdy już brakło lekarstw nawet. Wszystko zdawało się straconém, ratunek ludzki był niemożliwy, a Olimpia dnie i noce trawiła na gorącéj modlitwie u łoża ukochanego męża, który téż cudem prawie ocalał. Wkrótce potém znalazłszy zręczność przesłania listu, pisze Olimpia do przyjaciółki: „Płacz nad nami, Lawinio ukochana, ale i ciesz się zarazem: oblężeni przez dwa wielkie wojska, żyjemy w ciężkiéj niedoli, a jednak Bóg nas nie opuścił, śród głodu żywił nas i pozwalał dzielić się z biedniejszemi jeszcze, co mówię! większy cud uczynił, zachowując mi męża, który zstępował prawie do grobu, straszną dotknięty zarazą. Ulitował się Bóg nademną, oszczędzając mi boleści, któréj nie byłabym w stanie przenieść, zaprawdę!...” List ten kończy czułemi słowy: „Żegnam cię, słodka Lawinio moja, ciebie, któréj do ostatniego tchnienia kochać nie przestanę, żegnam cię raz jeszcze!..”

Po dziewięciu miesiącach oblężenia, kiedy już załoga upadała pod brzemieniem klęsk najrozmaitszych, oblegający świeże sprowadzili posiłki i rozpoczęli tak straszne bombardowanie, jakiego nie pamiętano w owych nawet burzliwych czasach: dniem i nocą padały pociski na nieszczęsne miasto, a mieszkańcy całemi tygodniami siedzieć musieli w podziemiach i piwnicach; tak też ukryli się Grunthlerowie wraz z małym Emilém. Wreszcie, ku wielkiéj radości pozostałéj garstki mieszkańców, margrabia Brandeburski postanowił wyjść z miasta, prze-

bijając się przez oblężnicze szeregi; zaledwie jednak opuścił Schweinfurth, kiedy część wojsk oblegujących, wtargnąwszy do nieszczęsnego miasta, rozpoczęła rzeź i rabunek, wzniecając pożar. Śród zamieszania okropnego, jęków i mordu, Grunthlerowie, porwani z tłumem, mieli już za innymi schronić się do kościoła, gdy nagle w ciemnościach żołnierz jakiś nieznajomy zbliżył się i uprowadził ich z sobą poza mury miasta. Zaledwie, przemykając się krętemi zaułkami, wyszli za bramy, gdy buchnął pożar ze wszystkich stron, wzbijając się olbrzymim słupem w niebiosa, a tysiące nieszczęśliwych znalazło grób straszny pod zgliszczami walących się domów i kościołów. Przerażeni, nawpół przytomni, biegli bez pamięci przed siebie, gdy ich nagle otoczyła gromada zbrojnych i obdarłszy ze wszystkiego, uprowadziła z sobą Grunthlera. Rozpacz natchnęła Olimpię nadludzką siłą i wymową, dość że potrafiła zmiękczyć serca tych dzikich żołdaków i poraz drugi wyrwała męża z objęć śmierci. Oto, jak sama przejście to opisuje: „W niewypowiedzianéj żałości serca mego, jęczałam, błagałam Boga, żebrałam litości, dopóki mi męża nie oddano. A gdybyście widzieli, jak wyglądałam! bosa, w jednéj koszuli, pokaleczona, z włosem rozpuszczonym! I tak iść musiałam długie godziny, biegnąc po kamieniach i ostrym zwirze, gdzieśmy ślady nasze krwią znaczyli. Co chwila zdawało mi się, że upadnę, aby już nie powstać, i wołałam tylko: Boże! ześlij Aniołów swoich, by nas na skrzydłach przenieśli, bo już nie wytrzymamy!...“ Téj nocy przebyli dziesięć mil z górą i schronili się w Hamelburgu, gdzie przynajmniéj litościwa jakaś kobiéta przykryła własnemi gałganami wychudłe i poranione członki biednéj Olimpii. Niedługo jednak pozwolono im spocząć w mieścinie téj, obawiając się zemsty wojsk biskupich; po trzech dniach iść musieli daléj, a Olimpia zaledwie się wlokła, wsparta na ramieniu męża, wychudła, trawiona gorączką. W innéj mieścinie zatrzymano ich i uwięziono, grożąc śmiercią, ale wreszcie wypuszczeni, dostali od nieznanego dobroczyńcy piętnaście talarów w złocie, co im pozwoliło przebyć resztę drogi i schronić się w zacnym domu hrabiów Erbach.

Panowie ci, z których najstarszy, Eberhard, poślubił siostrę palatyna Fryderyka II, odznaczali się mądrością i cnotą, a chociaż sprzyjali wyraźnie reformacyi, otoczeni byli szacunkiem wszystkich stronnictw. W domu tym przyjęto z otwartemi rękami Olimpię, któréj sława doszła była od dawna do rodziny Erbachów; hrabina, chociaż sama cierpiąca, gdyż od lat dziewiętnastu już ciężką była dotknięta niemocą, zapragnęła osobiście pielęgnować znużoną niewypowiedzianie wygnankę; otaczała ją troskliwością najczulszą, obsypywała podarkami. Śród takich starań, Olimpia zwolna przychodziła do siebie, a pę-

dząc godziny całe w rozkosznym ogrodzie pałacowym, nad brzegiem wody, zabawiała się budującą rozmową z córkami hrabiny, albo téż uczyła braciszka swego, dojrzewającego umysłowo w szkole nieszczęścia. W listach Olimpii znajdujemy szczegóły o zacnych jéj gospodarzach i dowiadujemy się, że najstarszy z hrabiów Erbach codziennie przed śniadaniem wobec rodziny i służby całéj odczytywał wyjątki z Ewangelii, a potém klękał do wspólnéj modlitwy i udzielał im pobożnych nauk; w mieście zaś sąsiedniém, także Erbach zwaném, utrzymywał kaznodziejów protestanckich. Żona hrabiego, trapiona długą chorobą, myślami odrywała się od ziemi, zajęta przeważnie modlitwą i dobremi uczynkami. W takiém to otoczeniu przebywała, odpoczywając po strasznych przejściach, rodzina Grunthlerów, a tymczasem czyniono starania o uzyskanie stosownéj dla zdolnego lekarza posady. Wreszcie za wdaniem się palatyna, wezwanym został Grunthler na katedrę medycyny w uniwersytecie heidelberskim. Już w początkach lipca 1554 roku opuścili małżonkowie gościnny zamek Erbach, aby przebyć dziesięciomilową odległość, dzielącą ich od nowéj siedziby. Podróż ta, niedługa wprawdzie, utrudniona była gęstym lasem i górami (Odenwald), które podróżni zwolna przebywali z pomocą przewodników; w puszczy téj jednak, zatrzymawszy się w gospodzie jakiéjś, zastali grono uczniów z nauczycielem wiejskim, urządzające chóralne śpiewy. Młodzi śpiewacy rozminęli się z taktem i nie wiedzieli, co daléj robić, gdy Olimpia z uśmiechem i wdziękiem sobie właściwym przyszła im w pomoc i wprawnym głosem naprowadziła ich na właściwą drogę. Zdziwiony bakałarz (Jerzy Treuthuger), dowiedziawszy się o nazwisku podróżnych, powitał ich z wielkiém uszanowaniem i pośpieszył przynieść z domu pieśni pobożne z muzyką Grunthlera, znane sobie od dawna. Po tak przyjemnym epizodzie podróży, nazajutrz Grunthlerowie przybyli do Heidelberga.

Niektórzy autorowie twierdzą, że i Olimpii ofiarowano tam katedrę literatury greckiéj, ale w listach jéj, dość zresztą obfitych i szczegółowych, żadnéj o tém nie znajdujemy wzmianki; to pewna, że ofiarowanego sobie stanowiska damy dworu przy księżnie elektorowéj nie przyjęła, lękając się wiru świata wielkiego i bolesném nauczona doświadczeniem.

Miasto Heidelberg, zbudowane w rozkosznéj dolinie Nekary, było siedzibą świetnego i uczonego dworu; wszechnica zaś, założona w XIV jeszcze wieku i bogatą uposażona biblioteką, liczy wiele znakomitości w rzędzie swych uczni i profesorów, począwszy od Agricoli, miłośnika klasycyzmu odrodzonego. Hieronim z Pragi, Luter, Reuchlin wsławili się wykładami i rozprawami swemi w Heidelbergu.

Przybycie Olimpii z rodziną do miasta tego zdawało się rozpoczynać pogodny i spokojny okres jéj życia; totéż odbiera listy od przyjaciół swych, pełne życzliwości i rozradowania. Stracili, prawda, biedni wygnańcy całe mienie swoje w spalonym Schweinfurcie: biblioteka z takim trudem sprowadzona, rękopisma Olimpii, skromny fundusz Grunthlera, wszystko zgorzało, ale przynajmniéj uszli z życiem oboje z dzieckiem opiece swéj powierzoném. Totéż pisze do nich Jan Sinapius:" Nic z sobą nie przynieśliśmy na świat ten przychodząc, czemuż się dziwić, że Bóg odbiera to, co nam pożyczył na dni kilka. Niech jęczą i skarżą się ci, których cała nadzieja w dobrach znikomych; wasz skarb jest w niebiosach, zkąd go złodzieje nie porwą, ani płomienie nie pochłoną. Czyż wy, jak ów mędrzec, nie macie zawsze przy sobie najcenniejszych dóbr swoich, to jest wiary, pobożności, nauki i cnót chrześciańskich? Choćby świat cały zwalił się na głowy nasze, my upadać nie powinniśmy." Do listu tego dołączony był egzemplarz „Żywotów" Plutarcha z biblioteki Olimpii, odnaleziony pod zgliszczami Schweinfurthu, a przyjęty z radością i rozrzewnieniem, jako jedyna pozostała pamiątka.

Curione znów, nie szczędząc wyrazów pociechy i pokrzepienia, śle dawnéj uczennicy dzieła Homera, skargi Jeremiasza i niektóre z własnych pism oraz zachęca, by pracowała daléj na niwie umysłowéj. Najsławniejsi drukarze z Bazylei pośpieszyli z darami dla utworzenia nowéj biblioteki cenionéj poetce.

Oprócz książek, brakło jednak jeszcze wielu innych rzeczy na nowém gospodarstwie Grunthlerów: Olimpia pomimo osłabienia, którego się pozbyć nie mogła, krząta się dniami całemi około urządzenia domu; z trudem wynajduje służącą i to bardzo niedogodną, pożyczać musi pieniędzy na opędzenie niezbędnych wydatków. W liście swym z owego czasu do Sinapiusa, który jéj znów chce przysłać córkę swą. Teodorę, pisze: „Powitam ją chętnie, jeśli przyjmie pobyt w skromnym domku naszym, ale niech z sobą łóżko zabierze, bo sprzęty tu są bardzo drogie". A jednak i teraz nie zapomina o biednych; sercem litościwém wyszukuje rodziny nieszczęśliwe, na których nędzę patrzała w Schweinfurcie i śle na ręce zaufane wsparcie dla nich. Ubolewała także mocno nad roztérkami szerzącemi się między rozmaitemi sektami nowéj wiary; intercsowała się różnowiercami we wszystkich krajach, szczególniéj zaś troszczyła o swą ojczyznę. Na wieść o prześladowaniu protestantów w Ferrarze, pisze do sióstr, zagrzewając do męstwa i wytrwania w raz obranéj wierze, prosi matkę, by do niéj przybyła, chroniąc się przed uciskiem; wreszcie na wiadomość o porzuceniu nowéj wiary przez księżnę Renatę, wyraża głęboki żal i ubolewanie nad tym brakiem stałości.

Olimpia trzymała się całą duszą reformacyi i w imieniu wiary swéj pełniąc wszelkie cnoty chrześcijańskie, nie widziała gdzieindziéj doskonałości, nie pojmowała innéj służby Bożéj. Totéż pisze piękny list do dawnéj towarzyszki Anny, obecnie małżonki potężnego Gwizyusza, polecając jéj opiece protestantów francuskich. „Pamiętaj o Pani", pisze między innemi rzeczami, „pamiętaj że obowiązkiem twoim jest wstawiać się za tych ludzi, których niewinność znasz dobrze. Gdybyś milczała, a pozwoliła im cierpiéć i ginąć bez obrony żadnéj, stałabyś się wspólniczką ich prześladowców. Wiém, że ujmując się za potępionych, możesz ściągnąć na siebie gniew króla, księcia, małżonka twego i wielu innych, ale czyż nie lepiéj narazić się na zawziętość ludzką, niż na gniew Boży... Gdy Bóg z nami, któż przeciwko nam?..." Rzeczywiście, gdy w lat kilka późniéj, po odkryciu spisku w Amboise, nastąpiła straszliwa rzeź Hugonotów, jeden głos tylko wzniósł się potępiający czyn ten, przeklinający przelew krwi, a był to głos Anny księżny Guise (jak pisze De Thou).

Olimpia tymczasem pędziła w cichości dni swoje, pracowita, zajęta jak zwykle, ale teraz nie oddaje się już pracom literackim. Jeden tylko wiersz jéj z owych czasów nam pozostał, t. j. nagrobek pastora Lindemanna, po grecku: „Tu spoczywa wierny pasterz, który strzegł długo owieczek Chrystusowych. Dla nich to znosił srogie napaści i staczał walki przeciwko wilkom okrutnym. Teraz spoczął — praca jego skończona. Pan tak chciał, aby on już nie patrzał na klęski i niedolę ludzką, aby sam nie cierpiał. On śpi, ale dzień zmartwychwstania bliski. Wierny pasterz powstanie i wyjdzie z grobu na głos Chrystusa Pana." — Z téjże epoki zapewne pochodzą myśli, jak te np.: 1) „Bóg tak ukochał świat, że oddał dlań Syna jedynego swego na śmierć; Syn ukochał ludzkość tak, że dla niéj chętnie ducha oddał na krzyżu. Ten, który ufa Chrystusowi, książęciu pokoju, żyć będzie wiecznie." 2) „Pragnę umrzéć, bo znam tajemnicę śmierci. Pragnę umrzéć, aby być z Chrystusem i w Nim życie wieczne znaléść." 3) „Cenę życiu nadają nie umiejętności, ale walka i próby przebyte. Przecież i na igrzyskach olimpijskich wieńczono nie najpiękniejszego z atletów, ale tego, który walczył i zwyciężył."

Oprócz tego Olimpia tylko listy pisuje; zresztą czyta i rozpamiętywa Biblię, a wznosząc coraz bardziéj duszę ku niebu, zastanawiając się nad znikomością świata, pełni z pogodą i słodyczą obowiązki domowe i uczy brata. Teraz już czytują razem Homera, Cycerona, Wergilego i Horacyusza. Mąż, straciwszy ją, pisał: „Nie widziałem nigdy duszy czystszéj i świętszéj! Nigdy tyle czystości, prostoty i wdzięku nie zabłysło na świecie". Ale i obcy cenić ją umieli, otaczając uwielbie-

niem i czcią nieledwie; z grona otaczającego Grunthlerów w Heidelbergu poeta Mycillus poświęca jéj wiersze rozmaite, sławi ją burmistrz Harmann (przyjaciel Sinapiusa), radca Hubert Thomas i inni.

VII.

Smutnie chociaż pogodnie płynęły ostatnie miesiące życia Olimpii, siły jéj bowiem, nadwątlone już dawniéj pobytem w ostrym dla Włoszki klimacie Niemiec, stargane okropnemi przejściami w czasie oblężenia Schweinfurthu i ucieczki z miasta tego, nie dawały się już pokrzepić; mężna ta a słodka niewiasta, owiana podwójnym urokiem poezyi i bogobojności, niknęła w oczach. A znała stan swój i z rezygnacyą gotowała się do śmierci. Serce jéj jednak zawsze równie żywo biło dla przyjaciół i bliskich swoich. Około tego czasu pisze do Lawinii di Rovere: „Wierzaj mi, droga Lawinio, że kto tylko żyć chce pobożnie, narażony jest na tysiące utrapień. Pielgrzymami jesteśmy na téj ziemi, ale wszędzie pod stopami naszemi rozciągnięte sidła złego ducha... Modlić się trzeba bez przerwy, aby nie upaść. Niechże więc słowo Boże będzie lampą, oświetlającą ścieżki twoje. Bój się Boga tylko, a nie obawiaj się tych istot znikomych, które przejdą jako cień, jak trawka zwiędła, jak lekki dymek. Wojna szaleje wszędzie i sprawiedliwi są narażeni na ciężkie utrapienia — ale nic to nie szkodzi! Im więcéj boleści, tém bliższy dzień chwały, kiedy wszyscy połączą się w niebie. Tu, na świecie tym znikomym, rozpływającym się jako mgła, dość nam pozdrawiać się zdaleka, witać się w duchu tylko!...”

I rzeczywiście, nikogo z oddalonych a ukochanych nie miała już ujrzéć Olimpia. W lipcu 1555 r. osłabła tak, że zdawało się, iż dusza jéj uleci lada chwila, a tu mąż ciężko stroskany nie mógł nawet czuwać przy niéj nieodstępnie, odwoływany ciągle do chorych i umiérających. Od czerwca srożyła się dżuma okropna w Heidelbergu, a biegły lekarz musiał śpieszyć na wszystkie strony z radą i pomocą; sama Olimpia namawiała go do tego, a pokrzepiona chwilowo, kréśliła słabnącą już ręką serdeczne wyrazy do oddalonych przyjaciół. I tak, odzywa się ze współczuciem do Celia Curione, który ciężko zaniemógł, drżąc zarazem o życie córki swéj niebezpiecznie choréj, prosi go o wiadomości i dodaje: „Co do mnie, słabnę codziennie; gorączka mnie już nie opuszcza ani na godzinę. Tak to ręka Boża nas zabiéra, abyśmy nie ginęli ze światem razem...“

Przyjaciele Curiona w Bazylei przyjęli z silném wzruszeniem wieść o chorobie Olimpii (np. Sulcer teolog, prawnik Amerbach, Ochi-

no i t. d.), która się doczekała jeszcze pomyślnéj odpowiedzi na list swój i własną ręką znów odpisała: „Możesz osądzić, najukochańszy Celio, jak serdecznemi są uczucia tych, którzy się miłują nawzajem w Chrystusie, gdy ci powiemy, żem wylewała łzy radości nad pismem twojém. Bogu niech będą dzięki, że cię wyrwał z grobu niejako! Obyś żył długo na pociechę kościoła! Co do mnie, niewiele mi już czasu pozostało; niknę z każdą godziną: nie mam apetytu, kaszel okropny dusi mnie dniem i nocą, trawi gorączka, a bóle dotkliwe w całém ciele sen mi odbiérają. Ale do ostatniego tchnienia pamiętać będę o tych, których kocham. Nie martwcie się wiadomością o mojéj śmierci; pragnę jéj nawet, gdyż mam nadzieję połączyć się z Chrystusem w przybytku wiecznéj szczęśliwości." Dołączyła do listu tego kilka poezyi odtworzonych z pamięci, bo oryginał zaginął był w Schweinfurcie, i dopisała w parę dni późniéj słów kilka pożegnania. Ostatnie to były wyrazy, które jéj ręka kréśliła. Przyszła śmierć, ale tak lekka i piękna, że nawet mąż niepocieszony z rozrzewnieniem to opisuje:

„Na kilka godzin przed zgonem obudziła się ze snu słodko uśmiechnięta. Gdym ją spytał o przyczynę tego rozradowania, odrzekła cicho: „Widziałam we śnie miejsce napełnione światłością prześliczną..." Odwagi, ukochana moja, znajdziesz się niebawem śród téj światłości. Uśmiechnęła się znowu i rzekła po chwili: „Jestem szczęśliwa, bardzo szczęśliwa." Potém zamilkła, ale gdy wzrok jéj już się zaćmił, mówiła: „Nie widzę was już prawie, ukochani, ale zdaje mi się, że wszystko wkoło mnie ozdobione cudnemi kwiatami..." To były jéj ostatnie słowa; po chwili zdawało się, że usypia, i tak wydała ostatnie tchnienie." Było to o czwartéj popołudniu d. 26 października 1555 r. Olimpia nie miała jeszcze dwudziestu dziewięciu lat.

Śmierć jéj żywe wywarła wrażenie w świecie uczonych, literatów oraz różnowierców w całéj Europie; posypały się wspomnienia wierszem i prozą, a sędziwy Sinapius pisze o tém do Kalwina: „Chwała, młodość, piękność, siła, wszystko to sny, jak cień, znikające... Co do mnie, straciwszy wszystko, co mi było drogie, przeżywam smutny i samotny dni moje, jak pustelnik śród piasków, jak wróbel na dachu..."

Na prośbę Grunthlera Curione pisze do wdowy Morato, oznajmiając jéj śmierć córki, a małżonek nieszczęśliwy w tych słowach żałość swą wyraża: „Ileż doświadczeń Pan na mnie zsyła! Patrzyłem na ruiny miasta rodzinnego, na zatratę majątku mego, na śmierć przyjaciół, a teraz tracę małżonkę najdroższą, któréj obecność wszystko mi zastąpić mogła. To nieszczęście, największe ze wszystkich, jak ta fala co okręt zaléwa, — pogrąża mnie w przepaści i goryczy niewysłowio-

néj. Niedola moja jest tak ciężką, że nawet płakać nie mogę, a dusza, w niemém osłupieniu pogrążona, nie czuje już nowych ciosów nawet..."

Niedługo też miał dźwigać ciężar swéj boleści. W drugim miesiącu po zgonie Olimpii, dotknięty znów zarazą, od któréj dniem i nocą ratował innych, zgasł zacny Grunthler, szepcąc wiersze z psalmu: „Jak jeleń spragniony ryczy za wód strumieniem, tak dusza moja wzdycha do Ciebie, o Boże... Kiedyż, ach kiedy! stanę przed oblicznością Twoją?..." Niebawem pośpieszył za nimi młodziuchny Emilio, tak że wszystko troje w jednym grobie spocząć mogli. W jednéj z kaplic kościoła ś. Piotra w Heidelbergu dotąd czytać można nagrobek Olimpii:

W Imię Boga Przedwiecznego
i ku pamięci
OLIMPII MORATY,
córki Peregrina Morato z Mantui, znakomitego profesora w Ferrarze; ukochanéj małżonki lekarza Andrzeja Grunthlera. Rozum jéj i wyborna znajomość obu języków, nieporównana czystość obyczajów i pobożność wzniosły ją wysoko nad płeć jéj. Świadectwo, jakie złożyła życiem, przewyższyła śmierć jéj spokojna, szczęśliwa, święta.
Zmarła roku Pańskiego MDLV, w wieku lat XXIX, na ziemi obcéj.
Tu spoczywa z mężem i bratem Emilem.

Hymn żałobny na cześć Olimpii Moraty
przez C. Curione.

Czy wiész, czemu to miejsce kwieciem zasypane, wydaje woń fiołków i lilii? Słuchaj a powiem ci. Znasz trzy Gracye i dziewięć Muz, słynnych w starożytności. Uposażeniem tych dziewic nieśmiertelnych było wszystko to, co natura i sztuka w połączeniu z blaskiem nauki wydać może najpiękniejszego, gdy ją ożywi natchnienie z nieba. Ta, która zdaje się być uśpioną w tym grobie, jest dziesiątą muzą, a czwartą z Gracyi. Córa nieba, przez poezyę duszy swéj, otrzymała imię *Olimpii*. — *Fulwia* drugiém jéj było imieniem, dlatego że wypróbowana w ogniu doświadczeń srogich, znaleziona była czystszą niż złoto,—albo dlatego, że, za przykładem orła szybującego w krainach światłości, uleciała wcześnie od ziemi téj. Wreszcie szlachetność umysłu jéj, połączona z czystością obyczajów i życia świątobliwością, pozyskała jéj przydomek *Moraty*. Chrystus, boski Mistrz jéj, pożyczył ją świa-

tu na krótką chwilę, a widząc ją cierpiącą na tém wygnaniu, przywołał do siebie napowrót i połączył się z nią na wieki węzłami najczystszéj miłości. Teraz spoczywa i kosztuje uciech wiekuistych, niebiańskiéj szczęśliwości. Przechodniu, ktokolwiek jesteś, obyś żył dłużéj na téj ziemi, pełniąc cnoty, które cię zaprowadzą do wiecznego przybytku.

Pierwsze wydanie dzieł Olimpii ukazało się także za staraniem Curiona w Bazylei 1558 r., poprzedzone przedmową zwróconą do Izabelli Manricha de Bresegua, jednéj z najznakomitszych członków gminy ewangielickiéj, założonéj w Neapolu przez Piotra, Martyr zwanego. Wydanie to zawiéra małą cząstkę tego, co napisała Olimpia, reszta bowiem została pogrzebana pod zwaliskami Schweinfurthu, na zawsze. — W téj saméj przedmowie czytamy: „Morata pisała krytyczne uwagi nad Homerem oraz liczne poezye religijne, wzniosłe duchem a wykwintne formą. Układała także wyborne dyalogi po grecku i po łacinie, naśladowane z Platona i Cycerona, ale wszystko prawie zostało zatracone...”

Edycya ta, jakkolwiek niezupełna, obudziła jednak takie zainteresowanie, że wyczerpano ją w ciągu roku; pojawiła się więc druga już w r. 1562, dedykowana Elżbiecie, królowéj angielskiéj, ze stosowną przedmową i dodaniem utworów, poświęconych uczczeniu lub pamięci Moraty. Po wyczerpaniu i téj edycyi, pojawia się nowa w r. 1570, pod okiem umierającego już C. Curione, a w końcu czwarta w r. 1580-ym, równie szybko wyczerpana, jak i poprzednie; — a jednak dzisiaj zaledwie małemu gronu badaczy i literatów znane są utwory Olimpii Moraty.

Wyrosła u proga dwóch światów różnych, doskonale wyobraża to przejście z pogańskich przybytków klasycyzmu do wzniosłych świątyń chrześciaństwa. W duszach tych, wykarmionych świetnemi tradycyami piękna, kołysanych wspaniałym korowodem muz i piewców greckich, budzi się nagle pragnienie prawdy, a w poszukiwaniu namiętném tego skarbu rzucają się na rozmaite drogi; nie bacząc na przeszkody, idą daléj, choćby przez męki, wygnanie, śmierć na stosie. Taką téż była Morata.

Zaczerpnąwszy na gruncie klasycznym siły z wdziękiem połączonéj, wytworności z prostotą szlachetną, rozwijała skrzydła do spokojnego, szerokiego lotu, gdy nagle uderzył ją wir zaburzeń religijnych, téj walki umysłów niespokojnie szukających dróg nowych, bo im nie wystarczały już dawne, bo wszystko wstrząsnąć i przekształcić pragnęły. I uczuła, że sama nauka jéj nie wystarczy, że serce jéj rwie się

wyżéj, do Boga, któremu zapragnęła poświęcić całą duszę swą, myśli i życie, a obrała do tego drogę, która jéj się najlepszą wydawała. Co w niéj uczcić musimy, to wierność przekonaniom, które uważała za zbawienne, a służyła im z zaparciem się spokoju, dostatków, życia nieledwie własnego i ukochanych swoich. A cnoty chrześciańskie, niezależne od jéj wyznania kościelnego, słodycz niewieścia, miłosierdzie, stokroć silniéj zdobywają naszą dla niéj sympatyę, niż ta wielka uczoność, która olśniła świat literacki.

Żałować należy, że władając tak pięknie łaciną i greką, Morata zaniedbała język ojczysty, a przecież posługiwali się nim dawniéj już Dante i Petrarka, naginając go do najsubtelniejszych odcieni myśli.

Pamięć Olimpii zatarła się razem z reformacyą, wytępioną we Włoszech, a któréj tak gorącą była zwolenniczką; temu w znacznéj części przypisać należy zaniedbanie, jakie się stało jéj udziałem; a jednak i katoliccy historycy literatury odzywają się o niéj z wielkiém uznaniem, ubolewając tylko nad błędami religijnemi, którym uległa.

Rzadkie połączenie talentów literackich z cichemi cnotami domowemi poczestne w dziejach cywilizacyi zapewnia miejsce téj zacnéj niewieście, która, zasłynąwszy w rodzinnéj Ferrarze, jakby jedna z dawnych dziewic greckich, późniéj na wygnaniu, śród klęsk i utrapień rozlicznych, staje się podobną świątobliwym matronom chrześciańskim.

M. Korczak.



Jadwiga Tarłówna.

DRAMAT DZIEJOWY

w 5-ciu aktach *).



AKT IV.

Komnata w zamku Sieniawskiego w Brzeżanach, — na prawo stoi Krypski. — Zgłębi wchodzi Płaza.

Płaza. Ha, jest choć jeden!... Czy was nawiedziło
Powietrze? Pusto wszędzie, aż niemiło!
Co się tu dzieje?
Krypski. Cóżby się dziać miało?
Płaza. Przybywam — w drodze byłem przez noc całą.
Spoczynku trzeba panu i koniowi.
Myślałem, że mnie ujrzą wnet domowi,
A tu nikogo z dworzan, ni z czeladzi.
Krypski. Znać jawnie dają, jak gościowi radzi.
Płaza. Nieradzi? Czemu? Co też waszmość plecie?
Pan rad mi zawsze bywa, a to przecie
Rzecz najprzedniejsza .. Wołaj waść czeladzi!
Do stajni konia niech kto zaprowadzi.

*) Patrz „Ateneum“, lipiec r. b., str. 26.

Cóż waść utknąłeś by wrona na żerdzi?
Idź, wołaj ludzi!
Krypski. Czego się pan sierdzi?
Płaza. Czyś waspan szlachcic?
Krypski. Taki jak wy, panie...
Ni kęs nie gorszy.
Płaza. A to nadspodzianie
Służebny szlachcic pełen animuszu!
A nużbym waści świsnął koło uszu
Dobytym kordem.
Krypski. Proszę, jeśli łaska.
Płaza. Zachciałeś... ruszaj sobie gdzie do dyaska!
Waść radbyś, bym cię udarował raną,
Byś miał ją zatém w grodzie zapisaną,
A jabym za nią płacił złotych dwieście.
Co to za czasy! Nie wierz tu niewieście,
A chłopu niemniéj, bo i ten oszwabi.

(Za sceną wołania i głośna rozmowa).

A tam, u licha, co to za wrzask żabi?
Krypski. Niewieście głosy.
Płaza. Pewnieć białogłowy
Ze sobą wiodą nadobne rozmowy.
Ilekroć gdzie się zejdą te szczebiotki,
Nie poznasz, azaż kłótnia, czy téż słodki
Rozhowor. (Z prawéj wchodzi Hanna).
Hanna. Kto tu? Aha, mości Płaza.
Płaza. Panienko, witaj!
Hanna. Witam.
Płaza.. Czyż uraza,
Że was pozdrawiam.
Hanna. Może.
Płaza. Ślicznie, cudnie!
To mnie witają!
Hanna. Szczerze, nieobłudnie!
Płaza. Jechałem tutaj nie z taką nadzieją.
Hanna. Eh, waść tam wzrasta, gdzie go nie posieją.
(Do Krypskiego) Iść proszę z księgą tą do pani mojéj.
Płaza (odbiéra książkę). To późniéj — koń mój na podwórcu stoi.

Co to za księga? Rymy, jak Bóg miły.
Hanna. To nasze panny sobie pożyczyły
Od pani... (odbiéra książkę).
Płaza. Biedać z temi niewiastami,
Bo czyliż można, powiedźcie to sami,
Nad rymem w księgach siedzą przez dzień cały.
Stąd na koszule płótna tak zdrożały,
Iż przyjdzie człeku od bab wiejskich zgrzebne
Gzło nosić, bo nam lnu panny służebne
Prząść nie chcą dzisiaj!... Niech je porwą kaci!
Hanna. A niech waszmości z piekła czart zapłaci
Za to gadanie.
Płaza. Prawdęć mówię szczerą.
(Do Krypskiego) Waść idź do konia, aż mnie dyabli bierą,
Że na podwórzu bez obroku stoi.
A wam ja mówię — kto się Boga boi,
Niech ksiąg nie daje pani, lecz jéj wzbrania.
Toć ciągły smętek ma z tego czytania.
Hanna. Skąd waść chce wszystko rządzić po swéj woli?
Płaza. Bo z tego, co tu widzę, serce boli.
Ożenek pański zmianę niespodzianą
Do Brzeżan przyniósł. Dawniéj ucztowano,
Jedzono, pito w każdéj roku porze.
A dzisiaj smętek, cisza by w klasztorze,
Acz młodéj pani wcaleby się zdały
Uciechy różne. W Czapli przez rok cały
Wciąż się bawiono.
Hanna. A kto winien temu?
Płaza. Wy, co rządzicie tutaj po swojemu.
O te niewieście rządy!
Hanna. Znów waćpana
Ukąsił jakiś giez... Będzieć do rana
Wywodził skargi na nas, białegłowy.
Płaza. Oh, kto cię poznał, rodzie ty wężowy,
Czyż milczéć będzie na to wszelkie licho?
Ogłosi trąbą, jako pod Jerycho,
Co wy robicie jawnie i kryjomo.
Co umié biała płeć, toć to wiadomo.
Historyę znacie trefną — daj to katu!
Jak białegłowy poszły do senatu

Uprosić sobie, by im wolno było
Po dwu małżonków pojmować, boć miło
Aż dwu na dudków wystrychnąć.
Hanna. Eh, baśnie!
To wyście chcieli, jak czytałam właśnie,
Mieć każdy żony dwie... Lecz i bez prawa
Z was każdy sobie pozwoleństwo dawa
Po kilka niewiast pojmować, choć śluby
Połączą z jedną... Boże, któż do zguby
Niewiastę ciągnie, gdy nie chłop?... Cóż chcecie?
Toć wasz jest statut, że wara kobiecie
Od tego, co wam wolno...
Płaza. I to zmierza
Do onéj prawdy, że wszystkie halerza
Nie warte!
Hanna. Hola! A cóż nasza pani!
Płaza. A któż przymawia jéj, lub kto ją gani?
Acz to chowane w wielkim domu, w rodzie
Szlachetnym, aleć ni w mowie, ni w chodzie
Hardości nie znać. Choć to jeszcze młode,
Bogate w mienie, ludzką cześć, urodę,
Stateczna jednak, by jaka matrona,
A czegoś smutna, jakby przygnębiona
Brzemieniem ciężkiém, aż tu przykro siedziéć
Gościowi.
Hanna. Snadź ma powód.
Płaza. Radbym wiedziéć,
Jakowy powód.
Hanna. Waszmość zbyt ciekawy,
To rzecz nie nasza badać pańskie sprawy.
(Z prawéj wchodzi Sieniawski, opiérając się na kiju).
Sieniawski. Mówiono, że ktoś do zamku zawitał.
Kto taki, pytam... ledwiem się dopytał,
Że to wy, Płazo.
Płaza. Pokornie się chylę
Do stópek pańskich.
Sieniawski. Witam, witam mile.
Płaza (do Hanny i Krypskiego). A co? słyszycie?
Hanna (szyderczo). Dziwy!
Sieniawski. Ileż razy
Myślałem sobie: niéma mego Płazy.

W Brzeżanach zawżdy jednym z milszych gości
Bywałeś.
Płaza. Sługam ja Waszéj Miłości.
Sieniawski (do Hanny i Krypskiego). Odejdźcie, każde do roboty swojéj.
Płaza (do Krypskiego). Waść pomnij, że mój koń na dworze stoi.
(Hanna i Krypski odchodzą na lewo).
Jak zdrowie pańskie?
Sieniawski. Nogi włóczę słabo.
Przeklęta niemoc! Ona męża babą
Uczyni. Przytém gniéwa mnie to srodze,
Że cały muszę ulegać złéj nodze.
Co słychać?
Płaza. Dobrze wszędzie... czas spokojny.
Sieniawski. A mnieby trzeba jakiéj wielkiéj wojny,
Bym znowu konia dosiadł, buzdyganem
Wywijał, wtedy znowu będę panem
Samego siebie. W polu przez dzień cały
Uporne nogi znówby mnie słuchały.
Płaza. Stargałeś, panie, dość na wojnie siły.
Sieniawski. Nie prawda — one lata mnie zniszczyły,
Co w domu siedzę.
Płaza. W szczęściu i spokoju?
Sieniawski. Ach, ty nic nie wiész o zaciętym boju...
Płaza. O jakim, panie?
Sieniawski. Który toczę w domu.
Dotyczas o nim nie rzekłem nikomu,
Pierwszemu tobie.
Płaza. Za to zaufanie
Pokorne dzięki, miłościwy panie.
Sieniawski. O, bój to straszny za domowym progiem
Z jakowymś tajnym, niewidzialnym wrogiem,
Którego nigdzie dosięgnąć nie mogę,
Stąd ból wszedł w serce większy niźli w nogę
I snadź do zgonu dręczyć nie przestanie.
Płaza. Trza dom wyświęcić... snadź to jest nasłanie
Piekielne...
Sieniawski. Darmo, mara to obrzydła,
Co się nie zlęknie księżego kropidła.
Płaza. W dostatkach, szczęściu i przy młodéj żonie!
To dziwna, panie!

Sieniawski. To mi właśnie w łonie
Niepokój budzi.
Płaza. Mogą być i czary.
Sieniawski. Największy czar w tém, że ja jestem stary,
A ona młoda...
Płaza. Jeszczeć nie te lata,
By zwać starością.
Sieniawski. Wiem... wiem to, u kata,
Żem niezbyt stary... nie sędziwy jeszcze!
Żem osłabł w nogach?... Boć ja się nie pieszczę,
I nogi w życiu dość się spracowały.
Lecz jam nie starzec... jeszcze się włos biały
Na głowę nie wkradł...
Płaza. Panie miłościwy,
Kto na cię spojrzy, sądzi, że to dziwy,
Tak świéża z twarzy bije ci uroda.
Sieniawski. Tak sądzisz?
Płaza. Sądzą wszyscy.
Sieniawski. Przeto szkoda
Byłaby, gdyby ona nie sądziła,
Och, gdybyś wiedział, jak mi ona miła!
Gdym ją raz pierwszy ujrzał, mnie się zdało,
Że to Cypryda, jako wyszła białą
Z pian morskich! Boże! Że mi się dostanie,
Czym marzył kiedy? Ach, jak niespodzianie
W objęcie moje padła!... Boże, Boże!
Czy ona jeszcze miłować mnie może?
Azali wiecznie będzie jako skała?
Płaza. Miłować musi... wżdyć nie miłowała
Nikogo dotąd...
Sieniawski. Cieszysz myślą błogą,
Że w sercu u niéj nie było nikogo.
Bo czémże Bogdan był z obcém obliczem?
Nadzieją tronu... a krom tego... niczem.
A na tron nawet nie szła z własnéj chęci,
Z namowy matki, stryjów... Ach, przeklęci!
Byliby młodą dziewkę zaprzedali
Na zgubę pewną, bo któż się utrwali
W tym strasznym kraju, gdzie władcy nie strzegą
Poddanych serca?
Płaza. Bóg ją strzegł od tego.

Sieniawski. Więc choćbym na to miał nałożyć duszę,
Ja to dziewicze serce zyskać muszę,
Otworzyć muszę serce to zamknione.
Ach, chciano kupić je aż za koronę!
Posłuchaj, Płazo... twą przebiegłą swadą
Dobadaj tego, czemu wżdy jest bladą,
Dlaczego chmura gładkie czoło mroczy,
A kiedy spojrzy na mnie, to jéj oczy
Jak gdyby gorzkie sypały wyrzuty.
Płaza. Azaliż zdołam?
Sieniawski. Dar otrzymasz suty...
Ty wiész, że darów nie skąpię nikomu.
Zasługę będziesz miał... bo w moim domu
Przywrócisz spokój, szczęście.
Płaza. Jasny panie,
Gotowy jestem na twe rozkazanie.
Sieniawski. Wybadaj... pomnij... nie będziesz żałował...
(Odchodzi na prawo).
Płaza (sam). Azaliż chce on, bym matactwa knował?
Skąd ja mam wiedziéć, co się tam w niéj kryje,
Czy miłość dawna, czy téż zgryzot żmije
Jéj serce toczą? Mędrzec to nie lada,
Kto białą głowę do dna duszy zbada.
(Z lewéj wchodzi Jadwiga, za nią Służebna).
Jadwiga. Mówiłaś przecie, że tu ma być Hanna.
Służebna. Przed chwilą była. (Płaza kłania się nisko).
Jadwiga. Ach, zorza poranna
Waćpana widać z domu wywabiła,
Żeś się tak wcześnie zjawił. (Do służebnéj) Moja miła,
Idź, szukaj Hanny. (Służebna odchodzi na lewo).
Płaza. Noc jechałem całą,
Bo serce moje wielce pożądało
Oglądać Waszych Miłości oblicze.
Jadwiga. Dziękuję. Za to ja waćpanu życzę
Wszéj pomyślności. (Z lewéj wchodzi Hanna).
Ktoś jeździł do Lwowa.
Czy przywiózł książki?
Hanna. Gdzie tam chłopska głowa
O księgach myśli.
Jadwiga. Wszakżem to zleciła.
Hanna. Powiada, że miał spraw na głowie siła.

Jadwiga. Spraw? jakich?
Hanna. Miał snadź kupić z wierzby gruszek.
Ot, wprost zaniechał pamięć u pań duszek,
Lub też ją sobie zalał gdzie pod wiechą.
A skąd chłop taki wié, że nam uciechą
Są księgi mądre?
Płaza. Miłościwa pani,
Że rada czytasz, tego nikt nie zgani...
Nikt... ja atoli...
Hanna. Z waści mąż uczony,
Lecz ksiąg nie lubisz jakoś...
Płaza. Na przegony
Z waćpanną nie chcę szermować językiem.
Hanna. Mąż śmiały gardzi słabym przeciwnikiem.
Jadwiga. Ach, pozwól, Hanno, niech pan Płaza powie,
Skąd się na księgi zawziął.
Płaza. Bo z nich w głowie
I w sercu jeno próżny żal osiada,
A kogo chwyci melancholia, biada!
Jadwiga. Rzecz niesłychana — dziwięć się nowinie,
Że z ksiąg do duszy melancholia płynie...
A gdybym panu Płazie powiedziała,
Że w onych leży ma pociecha cała,
Co w moim smętku duszę uwesela?
Płaza. A skąd on smętek?
Jadwiga. Waść się więc ośmiela
Mnie badać!... Czemu?
Płaza. Zuchwalstwo nielada!
Mój afekt na mnie tę powinność wkłada,
Boć wojewody serce to przenika.
Jadwiga. Azaliż w waści sobie powiernika
On obrał?
Płaza. Tak jest... muszę wyznać szczerze.
Hanna. No patrzcie!
Jadwiga. Waść więc dlatego się bierze
Do wybadania, co się we mnie skrywa.
A cóż odsłonić mogę nieszczęśliwa?
Płaza. O chciéj mi ufać, miłościwa pani!
Hanna. Mospanie Płazo, wstać trza było raniéj,
By to podpatrzéć, co się dobrze chowa.
Na takie rzeczy nie waścina głowa.

Jadwiga. Co tu podpatrzéć? Azaż ja co kryję?
Czy tajemnego coś dopatrzą czyje,
Chociażby nawet najostrzejsze oczy?
Płaza. Ukryty robak serce wasze toczy.
Hanna. Daremnie kusisz waść wymową słodką.
Nic się nie dowiész i nie będziesz plotką
Zabawiał ludzi, by tych skarbić sobie,
Co łatwo wierzą.
Płaza. Azaż plotki robię?
(Z lewéj wchodzi Pokojowiec).
Pokojowiec. Pan Sęp przyjechał.
Jadwiga. Bogu w niebie chwała!
No, teraz, Hanno, księgi będę miała.
Gdzie on?
Pokojowiec. W téj chwili poszedł tam... do pana.
Jadwiga. Gdy wyjdzie, powiédz mu, Hanno kochana,
By przyszedł do mnie i przyniósł swe księgi.
(Odchodzi na lewo, Hanna odchodzi na prawo).
Płaza. Hm, to coś znaczy. (do pokojowca) Z ciebie młokos tęgi.
No, powiédz, kto ten pan Sęp?
Pokojowiec. Szlachcic młody,
Wioseczkę blisko pana wojewody
W dzierżawie trzyma...
Płaza. Częstoż u was bywa?
Pokojowiec. Dość... księgi pani wozi.
Płaza (do siebie). To odkrywa
Zasłony rąbek... Świta mi coś w głowie.
Posłuchaj, chłopcze! Jak ten pan się zowie?
Pokojowiec. Ten, co przyjechał?
Płaza. Tak, on.
Pokojowiec. Sęp Szarzyński.
(Odchodzi na lewo).
Płaza (sam). Ha, teraz jakby mi kto kamień młyński
Odwalił z ziemi... wszystko się odkryło.
Rozumiem... choć to będzie im niemiło.
Prawiła do mnie: nie waścina głowa,
A ja już wszystko wiem... on żak z Krakowa,
Tam w Czapli bawił... ludzie coś szeptali
O pannie, o nim... wiem... wiem... i tak daléj.
(Z prawéj wchodzi Sieniawski).

Sieniawski. Czy z nią mówiłeś?
Płaza. Mówiłem.
Sieniawski. Cóż z tego?
Płaza. Niewiasty dobrze tajemnicy strzegą,
Gdy ich się tyczy... Zdały się urazą
Pytania moje.
Sieniawski. Cóż więc myślisz, Płazo?
Płaza. Tajnego smętku zwykle dwie przyczyny
Bywają... jedna brzemię skrytéj winy...
Sieniawski. Szalony!... pomnij, że to było przecie,
Gdy do ołtarza szło, nieomal dziecię...
Niewinne... w zacnym domu wychowane...
Nie... nie... ja na to nigdy nie przystanę!
Przyczyna druga?
Płaza. Może w głębi łona
Jakowaś miłość silna a tajona.
Sieniawski. O Boże! tego lękałem się słowa.
Atoli wszak to twoja była mowa...
Niedawno... dzisiaj... prawiłeś tak śmiało,
Że dotąd serce jéj nie miłowało
Nikogo... Prawda?
Płaza. Któż zaręczyć może?
Sieniawski. Więc kogo?... W pierś mi wpychasz ostre noże.
Bogdana? W to ja uwierzyć nie mogę,
Toć poszła za mnie, by mu zamknąć drogę
Na zawsze...
Płaza. Wszakże w Czapli onéj chwili
Młodzieńcy różni na dworze bawili.
Sieniawski. Ruszylić w pole... wojna ich zabrała...
Płaza. Atoli była gromadka niemała
Tych, co zostali... U pani Reginy
Bywały wonczas maszkary, festyny...
Sieniawski. Wżdyć pani matka dawała baczenie...
Płaza. A któż ustrzeże, gdy niepostrzeżenie
W serduszko wpadnie wąsik, włos trefiony?
Naonczas był tam młodzian, wieszcz natchniony,
Układał rymy... Coś szeptano zcicha,
Że w wierszach swoich wieszcz do panny wzdycha...
Wtém nagle zniknął... rzecz się dziwną zdała...
Podobno matka drzwi mu ukazała.

Sieniawski. Poeta mówisz? Takić u nas bywa.
Płaza. Azali rymów twórca?
Sieniawski. Lecz uczciwa
Imienia sława od podejrzeń chroni.
Płaza. Toć pewno nie ten... Tam mówili oni,
Że swemi rymy on foremny gaszek
Serduszka wzruszał rusinek i laszek,
I że Jagwiga...
Sieniawski. Toć nowiny piękne!
Ty wiész, żem mężny, że się nie przelęknę,
Chociażbyś doniósł, że blisko Tatary,
Lecz na wieść taką... albo... nie dam wiary,
Lub téż... (siada) Myśl w głowie jedna drugą ściga.
Więc cóż? Mówiono w Czapli, że... Jadwiga...
No, mów!...
Płaza. Że panna młodzianowi sprzyja.
Sieniawski. Więc mu sprzyjała, i on dziś jak żmija
Pod moją strzechę wpełzł!...
Płaza. Toć nie on może.
Sieniawski. On, on, zaiste! Jak się zwał?
Płaza. O Boże!
Ach, jak go zwano?... Mam języka blisko
Sieniawski. Szarzyński!
Płaza. Zda się tak... Sęp na przezwisko,
Sieniawski (zrywa się). To on!
Płaza. O panie, noga chora...
Sieniawski. Zdrowa!
Nie noga!... Boli... pęka z bólu głowa.
To on!... Tak, Płazo, on tu u nas bywa!
Przywozi książki... Ona go przyzywa,
By rymy czytał jéj... Z rąk moich kruki
Nierzadko pastwę miały, lecz téj sztuki
Nie umiem, on ją umié... Sam układa
Foremne rymy... Biadaż mi, ach, biada!
Już nie pozyskam serca jéj... nie... wcale...
Bo on je zabrał!
Płaza. Smutna to rzecz... ale,
O panie, pociesz się...
Sieniawski. Ach, skąd pociechy
Zaczerpnąć? Chyba w tém, że to za grzechy

Dotkliwa kara?... Coś się w głowie miga...
Pamiętasz, Płazo... wtedy, gdy Jadwiga
Raz pierwszy oczom mym się ukazała?

Płaza. Pamiętam... wonczas dziwna rzecz się stała —
Hospodar Bogdan składał hołd w Krakowie...

Sieniawski. Spłoszone konie biegły...

Płaza. I żakowie
Na pomoc biednym paniom się rzucili...
Ich było czterech...

Sieniawski. Tak... tak... onéj chwili
Pomiędzy nimi był on... wstrzymał konie...
Na ręku niósł zemdlałą... W jego łonie
Zażegła miłość wonczas...

Płaza. Był rażony
Jéj cudną krasą.

Sieniawski. Tak... tak... ja szalony
Straciłem rozum... Jam mu radził wtedy,
By precz uchodził od serdecznéj biedy
Na krańce świata... przed jéj wdzięków siłą
Nieprzemożoną... Mnie to raczéj było
Swéj własnéj rady słuchać. Słowa twoje
Tak mi okropnie brzmią, że aż się boję
Samego siebie... Okropności tyle!

Płaza. Spokoju, panie!

Sieniawski. Zyszczę go w mogile!

(Sieniawski i Płaza odchodzą na prawo,—z lewéj wchodzą Sęp i Hanna).

Sęp. Oznajmić pani raczcie, że dziś nowe
Przywiozłem księgi...

Hanna. Pono mącą głowę...
Tak nam przynajmniéj prawił dziś pan Płaza.

Sęp. Ach, jednym mądrość przymiot, drugim skaza,
Jak czyja głowa. (Z lewéj wchodzi Jagwiga).

Jadwiga. Witam! Sąsiad wierny
Pamięta o nas w łasce swéj niezmiernéj,
Bo widzę jakieś książki w jego ręce.

Sęp. Dla pani niosę.

Jadwiga. Chciałabym w podzięce
Tak się wysłowić, jak to waćpan umie...
Acz w białogłowskim nie jest to rozumie.
(Do Hanny). Te książki, Hanno, nieś do méj komnaty.

(Hanna zabiera książki i odchodzi na lewo).

Pan Sęp, co w rozum i dowcip bogaty,
W zaciszy wiejskiéj nowe rymy składa
Niechybnie...
Sęp. Czasem...
Jadwiga. Ach, jakżebym rada
Przeczytać... Wszak mi wiersze obiecane
Przywiozłeś waćpan?... Że je dziś dostanę,
Już mi od rana przeczucie mówiło.

Sęp. Przywiozłem, co się naprędce skleciło,
Lecz czy to waszéj uwagi jest warte?

Jadwiga. Nadmierna skromność! Proszę dać mi kartę.

Sęp, Ach, nic w niéj niema!
Jadwiga. Jakowaś zaleta
Snadź się tam najdzie! O szczęsny poeta!
Toć on obleka w rymów szatę cudną,
Co i my czujem... aleć nam zbyt trudno
Wyrazić myśli słowy właściwemi.
W tych rymach dziwna moc, która nas z ziemi
Wynosi w górę, niby skrzydła ptaka.
Powszednia życia treść wciąż tak jednaka,
Więc pocóż sobie lotów tych żałować?
(Czyta) „I nie miłować ciężko i miłować
Nędzna pociecha..." Jak to? Miłość nędza?
Toć najcudniejsza jest żywota przędza.
Pociecha nędzna?... Azaż to poeta
Powiada?... Toć to rozkosz i podnieta
Do wielkich czynów!... Gdy jesteśmy młodzi,
Skarb cenny... chocia z wiekiem precz uchodzi,
Lecz pozostawia słodką rzecz... wspomnienie.

Sęp. Rozedrzyj, pani, kartę... W jakiéjż cenie
Po twoich słowach będą moje wiersze?

Jadwiga. Jeślibyś miłość szczerzéj czuł, to szczersze
Byłoby onych myśli wysłowienie.
Przez serce gdy myśl przejdzie, już i brzmienie
Do serca trafia... jak słowo w kościele.

Sęp. O pani, mówisz tak, iż się ośmielę
Zapytać, czyżeś kiedy miłość czuła.

Jadwiga. Ciekawie waćpan badasz. Nim mi stuła
Kapłańska wolność i świat zawiązała,
W żywocie moim była krótkotrwała,
Przelotna miłość... lecz to już stracone...

Sęp. Ach, mów, mów, pani.
Jadwiga. Czyż długo tajone
Mam wykryć teraz?
Sęp. Błagam...
Jadwiga. Była chwila
Z tych jedna, w których Niebo nam przychyla
Fortuny szalę... Brakło jeno słowa
Jednego, ja zaś byłabym gotowa
Na krańce świata ujść, choć w jednéj szacie,
Zamieszkać w nędznéj i ubogiéj chacie,
Wieść służebnicy żywot pełen trudu...
Jednego słowa trza było, jak cudu,
Lecz los zawistny rozrządził inaczéj.
Sęp (do siebie). O Boże wielki, chroń mię od rozpaczy.
Jadwiga. Ach, gdyby wonczas mocą mnie porwano,
Gwałtowi szczęścia nadałabym miano.
Sęp. I tyś, o pani, nic nie rzekła?
Jadwiga. Pono
Innego męża w niebie mi sądzono!
Już z tém wstawałam co każdego ranka
I szłam pokorna, jakby w jasyr branka,
Co już nadzieję wyzwolenia zbyła.
Sęp. O Boże, jakaż straszna losów siła!
A on?...
Jadwiga. Odjechał daleko... daleko!
Sęp. Wspomnienia pędzą rozhukaną rzeką,
Więc on?...
Jadwiga. Stój, grzechem jest samo wspomnienie.
Ach, gdzież zawiodło mnie to uniesienie,
Gdym one wiersze niebaczna czytała!
Tę kartę daj mi! Miłość rzecz nietrwała!
Pociecha nędzna! (czyta) „Gdy żądzą zwiedzone
Myśli cukrują nazbyt rzeczy one,
Które i mienić i muszą się psować."
Atoli jakże ciężko nie miłować!
Sęp. O pani!
Jadwiga. Cicho! Marzymy jak dzieci
O dziwie, który tak wysoko leci,
Że go nie chwycisz, choćbyś się pod chmury
Potrafił wzbijać... Co w czasu pazury
Już wpadło, jeno w myślach się nie starło...

Sęp. Ach, gdyby przeszłość ożywić zamarłą!
Jadwiga. Przestańmy marzyć... marzyć się nie godzi.
Zapóżno!... Słyszysz kroki?... Mąż nadchodzi.
(Z prawéj wchodzi Sieniawski).
Sieniawski. Ach, gość mój z panią... w rymy zaczytani...
Nawiedził pana... i zaszedł do pani...
No, dzięki za to... Ona niech dziękuje,
Bo ja... wdzięczności w sercu mém nie czuję...
Jadwiga. Zaiste, wdzięcznam jest panu Sępowi,
Bo piękne rymy przywiózł mi...
Sieniawski. Tém łowi
Przychylność twoją... Waszmość rymy składa.
Za dni młodości méj nie rym i swada,
Lecz huk wystrzałów i szczęk broni brzmiały
W młodzieńczych uszach... zbrojną ręką chwały
W potyczkach z wrogiem dobijał się młodzian.
Dziś inną sławą pragnie być przyodzian.
Sęp. Azali Wasza Miłość onę gani?
Sieniawski. Ach, mniejsza o mnie! Pytaj o to pani.
(Do Jadwigi) Ty lubisz pieśni. Często się to zdarza,
Że kto miłuje pieśni, i pieśniarza
Pokochać zdolen...
Sęp. Panie miłościwy,
Azaliż jaki piekieł duch kłamliwy
Zaślepił oczy wasze?
Sieniawski. Z tego szydzę!
Nie ślepym... wiem... wiem, że serce w Jadwidze
Nie spało, kiedy była narzeczoną...
I dzisiaj nie śpi, acz jest... moją żoną.
Jadwiga. Ach, czemu Wasza Miłość mnie spotwarza?
Sieniawski. A gdybym ciebie zawlókł do ołtarza,
Byś tam przysięgła — ach, przysięgą srogą,
Że w twojém sercu, nikogo... nikogo...
Nie było... że tam niema nic?
Jadwiga. Ach, panie,
Czém zasłużyłam na to pokaranie?
Sieniawski. Ty nie wiész?
Jadwiga. Nie wiem...
Sieniawski. Och, tak... dobrze widzę.
Idź precz, bo kłamiesz! Ja się kłamstwem brzydzę.
Idź precz! Oblicze w cieniach skryj komnaty.

Jadwiga. O Boże, Boże! (Odchodzi na lewo).
Sieniawski. No, przed ilu laty
To było?... Powiédz!
Sęp. Gniéw wasz, wojewodo,
Powstrzymaj... pomnij, że wam grozi szkodą
Nienagrodzoną nigdy, waszéj żonie
Niesprawiedliwą krzywdą.
Sieniawski. Już w mém łonie
Ucichła burza... Powiédz, jak to było
Naonczas... Pomnisz... Wielu was bawiło
Na dworze w Czapli... a tyś w kole oném
Serduszka mamił słowem okraszoném
W nadobne rymy... aż ci drzwi wskazano.
Sęp. To fałsz!
Sieniawski. To prawda! Cała rzecz mi znaną!
Sęp. To fałsz!... Acz prawda, że pod wpływem czaru
Jéj krasy czułem afekt, lecz pożaru
Ma dusza zlękła się i opuściłem
Sam dobrowolnie zamek.
Sieniawski. Tak ci miłém
Zbawienie duszy, iż kłamiesz tak śmiele?
Sęp. Przysięgnąć mógłbym...
Sieniawski. O... tak... choć w kościele,
Że nie wiész, dokąd czyny twe przywiodły.
Tyś stamtąd uciekł, jak podpalacz podły,
Co precz umyka, rzuciwszy zarzewie,
A potém przysiądz gotów, żeć on nie wie
Nic o pożarze...
Sęp. I ja w głębi duszy
Przeniosłem wiele męczarń i katuszy.
Nie prędkom w sobie zapał swój ukrócił
W dalekich stronach.
Sieniawski. Więc po coś tu wrócił?
Azali było to jak siewcy praca,
Co rzuca ziarno, a potém powraca
Oglądać posiew i pilnować plonu?
Ach, tobie trzeba było aż do zgonu
W dalekich ziemiach błąkać się... na krańce
Uciekać świata, boć tu żadne szańce
Od zguby zakryć waszych serc nie mogą.

Sęp. Azalim myślał?...

Sieniawski. Idź... idź swoją drogą,
Acz twoja droga z moją wciąż się plącze.
Posłuchaj jeszcze... prędko to zakończę.
Gdy wonczas niebios wola niezbadana
Zesłała rychły kres sprawie Bogdana,
Tam w Czapli w onym dniu zgryzot i troski,
Gdy ją poganił srodze pies wołoski,
Jam rękę moją złożył jéj w ofierze.
Dlaczego? spytasz. — Bo myślałem szczerze
Dziewicy sławę zasłonić przed światem.
Ja byłem dla niéj więcéj niżli bratem,
Acz nie kochankiem jeszcze... Byłem pewny,
Iż zyszczę serce uśpionéj królewny,
Bom sądził, że w niéj śpi. Snadźby i było
Za szczerą miłość ku mnie się skłoniło,
Lecz ty wróciłeś. Sumienie twe nie wie,
Że po to, aby przygasłe zarzewie
Rozdmuchać znowu sztuką twą przeklętą.

Sęp. Wolałbym, żeby głowę mi ucięto.
Miast tych wyrzutów każ mnie zabić raczéj.

Sieniawski. Tak mówić łatwo... Zabić!... Cóż to znaczy?
Azali nie wiész, że zbój swéj ofierze
Męczeński daje wieniec, sam zaś bierze
Okropne brzemię na sumienie swoje?...
Ty żyw być musisz! Śmierci twéj się boję,
By nie stawała mara twa obrzydła
Przed okiem mojém w postawie straszydła,
By płoszyć chwile szczęścia i rozkoszy.
Nie... nie... to moja mara tobie spłoszy
Wszyściutką radość młodego żywota,
Boć ona całe wnętrze twe obmota
Zgryzotą... Ja to umrę... ale żmiję
Zostawię, co się w serce tobie wpije
I truć cię będzie takim strasznym jadem,
Iż wsze trucizny włoskie przy nim bladém
Odbiciem jeno... Zgryzie cię powoli
Wspomnienie ciągłe mojéj strasznéj doli,
Żem dożyć musiał przeklętego plonu.
Wyklinam w tobie spokój aż do zgonu.
Idź... idź... wlecz życia jałowego brzemię.

Sęp. O panie, wstrzymaj się! (Sieniawski chwieje się na nogach). Padnie na ziemię.
Przez Boga, panie! (Podtrzymuje Sieniawskiego).

Sieniawski. Nie tykaj mnie!

Sęp. Panie!

(Prowadzi Sieniawskiego do krzesła i sadza na niém).

Sieniawski, Rzuć mnie na ziemię lepiéj! Niech się stanie,
Co stać się winno! Niech umiéram w pyle
Sponiewierany... Boże, czyżem tyle
Lat przeżył na to, aby mrącą siłą
Nie pomścić hańby?

Sęp. Hańby tu nie było.

Sieniawski. Więc cóż to było? Mów, mów, w czém rzecz cała.
Tyś ją miłował tam, téż miłowała
I ona ciebie...

Sęp. Toć już dawno było!

Sieniawski. Tak, było... dawno... i jest... Pod mogiłą
Ta miłość wasza ledwie się zakończy.
Posłuchaj, nie chciéj, żebym jak pies gończy
Za wami śledził... Tego ja nie zrobię.
Wiem, co winienem własnéj czci i sobie.

Sęp. Uchodzę, już mnie nigdy nie ujrzycie.

Sieniawski. Uchodzisz, lecz to zaniechasz, co skrycie
Me piersi będzie żarło... to wspomnienie!
Azaliż spokój obcy w takiéj cenie
U ciebie?... Czemu życzysz mi rozpaczy?

Sęp. Jeżeli Wasza Miłość znów obaczy
Mą postać...

Sieniawski. Będzie ciągle ją widziało
Me oko... Już mnie nie odejdzie... trwałą
Mych snów i czuwań towarzyszką będzie.
Zgryzotą ona duszę mi oprzędzie...
Wolałbym umrzéć... Umrę bez pochyby.
Zawołaj żony!

Sęp (otwiéra drzwi na lewo). Pani, przyjdź!

Seiniawski. Ach, gdyby
Nadzieja błysła, że się wszystko zmieni,

To żyćby warto... Lecz srodze zwiedzeni
Nie wierzą w cudów potęgę tajemną.

(Z lewéj wchodzi Jadwiga).

Jadwigo! Kres mój bliski! W oczach ciemno!
Gdy Bóg to na mnie spuścił, więc w pokorze
Przyjmuję... każcie złożyć mnie na łoże...
Wołajcie dworzan, sług wołajcie... ale...
Niech zcichnie wszystko, co się tutaj w szale
Prawiło... usta niechaj będą skałą,
By nikt nie zgadnął, co się tutaj stało.
Mnie w życiu nigdy nie straszył trud krwawy...
Lecz jednéj rzeczy lękam się... niesławy,
Mnie jedno straszy... ludzkie pośmiewisko.
Idź! (Jadwiga chce iść na lewo).
Stój, Jadwigo! Widzisz, śmierć ma blisko.

Jadwiga. Żyć będziesz!

Sieniawski. Słuchaj! Gdy mnie już nie będzie,
Za niego nie chodź, bo cię ścigać wszędzie
Mój cień z przekleństwem będzie bez ustanku...
Obaczysz postać mą w marzeniach ranku
I we snach nocnych... Niech przyjdą dworzanie!

Sęp (otwiéra drzwi na lewo i woła). Do pana tutaj!

(Z lewéj wbiegają Dworzanie).

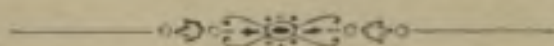
Dworzanie. Co się stało, panie?

Sieniawski. Nic, zachorzałem... Złóżcie mnie na łoże!
Niech lekarz przyjdzie... Lek mi nie pomoże.
Wołajcie księdza... niech wyprawi duszę
W tę drogę, którą niebawem iść muszę...
W mogile wkrótce złożycie me ciało.

(Dworzanie wynoszą Sieniawskiego na prawo).

Sęp. O Boże wielki!

Jadwiga. Tak się stać musiało!



AKT V.

Górska okolica w Karpatach. — Z prawéj mury klasztoru, z po za których widać wieżę kościoła. — Zgłębi wchodzą Młodecki z kilku dworzanami i Góral.

Góral. To jest on klasztor... Czerwony ma miano.
Młodecki. Eh, orlém gniazdem słuszniéj by go zwano.
A droga!... Piąć się pieszo... niech to kaci!
Góral. Niespieszno komu... niech kęs czasu traci,
Tamtędy konno objedzie dokoła.
Lecz siła czasu zejdzie, nim podoła
Dojechać... Stąd zaś idzie droga daléj.
Młodecki. Powracaj do tych, co z końmi zostali.
Niech mnie czekają, choćby do wieczora.
W sam czas stanąłem... południowa pora.

(Góral odchodzi — z za węgła murów klasztornych występuje Starzechowski w masce).

Starzechowski. Hej! witaj, druhu!
Młodecki. Kto to? Czego?
Starzechowski. *Bene*!
W sam czas stawiłeś się.
Młodecki. Ha! Stach! Twą wenę
Odrazu poznać! Cóż to? Czy maszkary?
Czy téż zbójecka napaść? Nie do wiary!
Starzechowski. Potroszę jedno i drugie potroszę.
Młodecki. Na karku głowę nie od kształtu noszę,
A nie rozumiem.
Starzechowski. Bardzo temu wierzę.
Młodecki. Pisałeś: jeśli nas miłujesz szczerze,
To w górach stawisz się wraz z dworzanami
W południe samo... Wszak mnie wzrok nie mami,
Wysoko słońce...
Starzechowski. Jesteś, to rzecz główna!
Wszak znaną ci jest przecudna Tarłówna?
Młodecki. Jadwiga? Wżdyć ją dziś Sieniawską zową.
O, znam ją dobrze! Mało dla niéj głową
Nie nałożyłem tam w Wołoszy. Dobrze
Pamiętam. Nasi bili się tam chrobrze,

A na mnie Turczyn, strojny w strusie pióra,
Lamparcia plecy okrywała skóra,
By strzała wypadł. Jak chwycę rusznicę
I palnę prosto w błyszczącą przyłbicę,
Aż Turczyn z konia! Mówię: leż tam sobie,
Ty mięsopustna maszkaro!
Starzechowski. W téj dobie
Nam także trzeba dzielnéj twéj pomocy.
Młodecki. Dlategom właśnie przyleciał by z procy.
No cóż?
Starzechowski. Sieniawska, jak wiész, owdowiała.
Młodecki. Eh, nie baj — o tém wié już Polska cała.
Zaprawdę bardzo żal nam wojewody,
Lecz pozostała wdowa cna, urody
Takowéj, jakiéj szukać po wszém świecie.
Zalotnik nowy pewno już w powiecie,
Lub daléj nalazł się.
Starzechowski.. Było niemało,
Lecz Tarłom w głowie coś się pomieszało,
Że w Polsce dla nich niema parenteli.
Choć kto przyjechał, wszyscy zgodnie wzięli
Odprawę.
Młodecki. Czemu? Może hospodara
Czekają znowu?
Starzechowski. O grafa się stara
Stryjaszek luby gdzieś w dalekim świecie.
Młodecki. Na Węgrzech pełno grafów, co na grzbiecie
Łachmany noszą z herbem ku ozdobie.
Starzechowski. To téż na Węgrzech wynaleźli sobie
Grafiątko jakieś... jemu rają wdowę.
Młodecki. Cóż ludzie na to?
Starzechowski. Że szaleństwo nowe,
Krzyknęli wszyscy. Znasz, co krew szlachecka!
My drwić ze siebie nie damy, by z dziecka.
Więc wszyscy w koło słowem się związali,
Że wdowa za mąż może iść... najdaléj
W Koronie, Litwie, albo gdzieś na Rusi,
Lecz obcy od niéj z kwitkiem wracać musi,
Bo nie dopuścim!

Młodecki.. Z nami nie przelewki.
Starzechowski. U czarta, azaż nasze wdowy, dziewki
Co najcudniejsze są dla zagranicy?
Czyż my, Polacy, jacyś nikczemnicy,
Iż z nas już żaden nie wart pięknéj żony?
Młodecki. Przyjedzie z Węgier jaśnie oświecony
I wdówkę chwytnie jak swą...
Starzechowski. Jeszcze czego!
Toż nasi wkoło dróg węgierskich strzegą,
I jeśli grafek pojawi się w drodze,
Tak go przyjmiemy, iż o jednéj nodze
Do domu zemknie.
Młodecki. Słusznie! Życzę szczęścia!
Lecz przytém biednéj wdowie téj zamęźcia
Snadź nie życzycie.
Starzechowski. Ja sam do niéj w swaty
Jeździłem...
Młodecki. Kto cię posłał?
Starzechowski. Nie bogaty,
Lecz zacny człowiek ze krwi starodawnéj...
Nasz druh Szarzyński...
Młodecki. On poeta sławny?
Starzechowski. Ten sam.
Młodecki. Że sławny, w swatach rzecz to mała!
Starzechowski. Lecz większa, iż go sercem miłowała,
Dziewicą jeszcze będąc.

(Zgłębi wchodzi Sęp zamaskowany).

Sęp. Hej, hej, Stachu!
Starzechowski. A, jestem... strzegę, by żóraw na dachu...
Dokoła patrzę .. widać stąd daleko.
Mym oczom nawet ptacy nie ucieką.
Jest i Młodecki.
Sęp. Czołem, panie bracie!
Młodecki. Witajcie, Sępie, mówcie, co tam macie.
Sęp. Mam wieści z Czapli.
Starzechowski. Masz je nieustannie.
Podziękuj za nie kiedyś pięknéj Hannie.
No, cóż ci pisze?
Sęp. Że zamysł zmieniony.

Starzechowski. Odprawęż weźmie Węgrzyn?
Sęp. W tamte strony
Wyjechać mają oni sami...
Starzechowski. Hola!
Azali puścić będzie nasza wola?
A wiesz... to dobrze! Chwycim ich po drodze.
Sęp. Chwycimy? po co?
Starzechowski. Jadwidze niebodze
Na Węgrzech widać wesele sądzone,
Więc ją na Węgrzech... pojmiesz ty za żonę.
Młodecki. Fortelny pomysł!
Sęp. Jak to?
Starzechowski. Za garść złota
Każdego księdza zdejmie tam ochota,
Że was w kościele ślubami połączy,
I tak się wszystko, jak należy, skończy.
Sęp. O daj to, Boże!
Starzechowski. Hola! Co się dzieje?
Czy widzisz?... Coś tam w oddali czernieje.
Młodecki. Coś jak kolasa i cztery rumaki.
Sęp. To oni jadą!
Starzechowski. Ho, ho, lecą ptaki
Do sieci same... Patrzcie, przystanęli...
Młodecki. Wychodzą ..
Starzechowski. Co to? Coś do głowy wzięli!
Fortelik jakiś! Z tego znan chorąży...
Młodecki. Gromadka cała pieszo w górę dąży...
Dwie białegłowy... kilku mężczyzn...
Starzechowski. Nuże!
Za węgieł! Oni staną wnet na górze.
(Stają za murem tak, iż ten nie zasłania ich od strony widzów).
Larwami wasze zasłońcie oblicze.
(Młodecki i jego dworzanie kładą maski).
Sęp. Przeczucie jakieś dziwne... tajemnicze
Me wnętrze szarpie... Boże! Bywa chwila
Tak szczęsna, iż w niéj niebo nam przychyla
Fortuny szalę... Azaż mi błysnęła
Raz pierwszy w życiu?
Starzechowski. Tak jest... więc do dzieła!

Sęp. Do dzieła! Jedną w mym żywocie chwilę
Już postradałem głupio... Bóg wie, ile
Serdecznych bólów i ciężkiéj katuszy
Méj utrapionéj oszczędziłbym duszy,
Jeślibym wonczas chwycił ją, jak trzeba.

Starzechowski. Więc chwyć ją teraz, bo snadź z łaski Nieba
Ku tobie toczy się fortuny koło.
Szablicę w rękę! Śmiało! W górę czoło!
Odważnie! Śmiałkom fortuna w sojuszu!

Młodecki. Rymopis z ciebie, lecz ci animuszu
Nie braknie, pewny jestem.

Sęp. Bracia moi,
O jakże żywo w méj pamięci stoi,
Gdy ją raz pierwszy oko me ujrzało!
Na ręku wonczas niosłem ją zemdlałą,
Jak lilia białą... cudną, jakby słońca
Promyczek złoty.

Starzechowski. Zbawca i obrońca
Był wonczas z ciebie. Pomnę... tak... w Krakowie,
Jak gdyby wczora było to... W méj głowie
Zostało wszystko... każdy z nas pamięta.
Byliśmy wtedy płoche pacholęta,
Aż nazbyt skorzy by się nurzać w błocie.
Tyś wiersz przeczytał o szlacheckiéj cnocie
I dusze nasze uniósł w lepsze sfery.

Młodecki. Stąd nas na żywot afekt złączył szczery
I za tę chwilę dzisiaj ci odpłatę
Oddamy.

Sęp. Wdzięczne usta nie bogate
Są w słowa... więc wam wdzięczny nic nie powie.

Starzechowski. Hej... już są blisko! Baczność więc, panowie!

(Zgłębi wchodzą Mikołaj Tarło, Płaza, Regina, Jadwiga, kilku dworzan i góral przewodnik).

Mikołaj. A ja powiadam waści, iż mam w myśli
Foremny fortel... Jeno rozważ ściśléj...
Zasadzka jeśli gdzieśtam w drodze czycha,
By nas pochwycić, zje tęgiego licha.
Karocę próżną chwyci, my tymczasem
Będziemy sobie dobrze już za lasem,
A las on pono na węgierskiéj stronie...

Płaza. Że dobrą głowę macie, to w Koronie,
Na Rusi, Litwie wiedzą wszyscy, ale...

Mikołaj. Eh, waszmość znowu w zwykłym swym zapale
Przygania wszemu...

Płaza. Radzę nie ku zgubie.

Mikołaj. Wiész waszmość, że się chwalić zbyt nie lubię,
Lecz, com zamyślił, wszystko szło jak z płatka...
Do wielkich celów droga nie wżdy gładka,
I piąć się w górę nieraz trza piechotą.

Regina. Rzeczpospolitą oraz wolność złotą
Wszak mamy u nas — przy nich taka dola,
Że nawet wydać nie możem jak wola
Swéj własnéj córki.

Mikołaj. Spoczniem tutaj radzi.

(Siadają na kamieniach pod skałą).

Jadwiga. Niedarmo, matko, droga ta prowadzi
Tuż pod klasztorem... Mnie wyroki boże
Snadź przeznaczyły szukać tu w klasztorze
W strapioném życiu mojém odpocznienia.
Ah, pozwól, matko!

Mikołaj. Nigdy się nie zmienia
Postanowienie nasze, choćby złotem
Nas kto osypał... Wszak wiész dobrze o tém.

Jadwiga. Ach, dość mam wszego.

Regina. Czego, moje dziecię?

Jadwiga. Żałości, smętku już użyłam przecie
Nad wszelką miarę... Boże, ileż razy
Oblałam łzami te wasze nakazy!
I gdyby nie los, jakiż kresby wzięło
To, z taką pieczą budowane dzieło,
By na Wołoszy mnie hospodarową
Uczynić?... Dzisiaj płaciłabym głową
To wywyższenie marne i zwodnicze.

Mikołaj. Imprezy onéj za halerz nie liczę,
Boć nie udana... co się dobrze stało...
Lecz późniéj miałaś dolę okazałą.

Jadwiga. I cóż z niéj miałam?

Mikołaj. Że insze pominę,
To, że świat w tobie czcił wojewodzinę,
A imię twoje przejdzie w późne dzieje...

Jadwiga. Na przypomnienie serce aż truchleje.
Ach, czegóż jeszcze nie doznałam w życiu!
Tłumione żale, one łzy w ukryciu
Przelane!... Boże!... Cóż mnie jeszcze czeka?

Mikołaj. Za dostojnego wyjdziesz znów człowieka.

Jadwiga. Którego nie znam, i znów się powtórzy
To wszystko, czego nie mogę znieść dłużéj.
Ach, dajcież chociaż w téj chwili swobodę!
Zmarnowaliście moje lata młode,
Nie skąpcie przecie jednéj mi pociechy,
Bym tu w klasztorze swe i wasze grzechy
Opłakać mogła...

Mikołaj. Dość już próżnéj mowy!
No, w drogę daléj! Pomysł mojéj głowy
Obaczysz, Płazo, nie tak zły zakaty,

(Chcą iść na prawo — z za muru występują z dobytemi szablami Starzechowski, Młodecki, Sęp i dworzanie).

Starzechowski. Hej, stójcie!

Sęp, Młodecki. Stójcie!

Mikołaj. Kto to?

Starzechowski. Nic... to swaty!

Mikołaj. Do domu zjeżdża swat... nie zastępuje
Po drodze ludziom... Wyście chyba zbóje...
Przyjezdnym w górach po worki sięgacie!

Starzechowski. Milcz, nie urągaj, ty krwi własnéj kacie!

Mikołaj. Co? Kacie?

Starzechowski. Azaż własnéj bratanicy
Nie wiedziesz teraz na targ zagranicy,
By ją zaprzedać komuś za dukaty?

Mikołaj. Ha! tchórze! w larwach! bo się kondemnaty
Za gwałt publiczny boją... Czego chcecie?

Młodecki. By raz ustała hańba ta po świecie,
Że Bóg nam cudne białegłowy daje
Dlatego, by je gdzieś w dalekie kraje
Przedawał własny ród.

Mikołaj. Precz! lub z oblicza
Zdejmijcie larwy! Niechaj tajemnicza
Rzecz się wyjaśni!
Sęp (zrzucając maskę). Zdejmcie, bracia moi!
(Młodecki i Starzechowski zrzucają maski).
Starzechowski. No, spojrzyj, panie!... Tu przed wami stoi
W postaci własnéj każdy, niezakryty.
Młodecki. Nas znasz, bronimy Rzeczypospolitéj
I czci szlacheckiéj...
Regina. Czego żądasz, chwacie?
Starzechowski. Zapytać jeno, azali nie dacie
Téj cudnéj pani za naszego brata.
Młodecki. Bo azaż można, aby na kraj świata
Wywozić taką, która ku ozdobie
Polskiego domu winna być?
Mikołaj. Cóż zrobię,
Gdy nas tak proszą... z gołemi szablami?
Regina. Gdzież ten zalotnik?... Któryż między wami?
Starzechowski. Toć on!... Szarzyński... Znana wam rzecz cała,
On ją miłuje, onać miłowała
Jednego jego... Niech powié!
Jadwiga. Przed Bogiem
I przed sumieniem, co jest nad wsze drogiém,
Wyznaję, że tak jest...
Regina. Córko!
Mikołaj. Gołyszu!
Coś się nam zakradł w domowém zaciszu
Jak gad!...
Jadwiga. Stój, stryju!
Mikołaj. Milcz!
Regina. Niech odpowiada
Za oną napaść!
Mikołaj (dobywa szabli i rzuca się na Sępa). Biada tobie, biada!
Niebaczny człeku, broń się!
Sęp. Broń mnie, Boże! (biją się)
Jadwiga (do Płazy, który niechętnie dobywa szabli).
O, panie, litość miéj... błagam w pokorze...
Ach, rozwiedź... rozwiedź ich... Niech i kropelki
Krwi już nie będzie więcéj! Boże wielki!

Ty stoisz, tchórzu!.. Daj mi szablę twoję!
(wyrywa z rąk Płazy szablę i wpada między walczących).
Ach, stójcie, stójcie! (Szablą chce odbić szable Mikołaja i Sępa, wtém Mikołaj razi Sępa w głowę).

Mikołaj. Dostał! Ha, już stoję!

Sęp (padając na ziemię). Ratujcie, bracia!

(Starzechowski, Młodecki tamują krew Sępowi).

Jadwiga. Znowu więc ofiara
Przeklętéj krasy mojéj!

Sęp (słabym głosem). Niegdyś stara
Wróżbiarka rychły koniec mi wróżyła.
O pani, bądź mi zdrowa. Ach, nosiła
Ma pierś twój obraz długie... długie lata.
Idź... bądź szczęśliwa... choć na krańcu świata.
Zapomnij o mnie... przy innego boku.

Jadwiga. Nie... gdy cię tracę z niebiosów wyroku,
Precz uszło szczęście moje! Niech ma krasa
W klasztornéj ciszy powoli przygasa...

(Dzwoni do furty klasztornéj, drzwi otwiéra zakonnica).

Zakonnica. Kto tam i czego?

Jadwiga. Schronienia u Boga
Pokorna błaga dusza, którą sroga
Niebiosów ręka dotknęła...

Regina. Stój, dziecię!

Jadwiga. Jam już umarła dla świata... na świecie
Już żyć nie będę... nie chcę... W mojém łonie
Utopię ostrze to, gdy czyje dłonie
Oderwać zechcą mnie od bramy świętéj.
Ja nie chcę wpływem urody przeklętéj
Nieszczęścia ludziom siać... Bywajcie zdrowi!

(Rzuca szablę i wchodzi do klasztoru. Drzwi z trzaskiem zamykają się za nią Dzwony drzwonią).

Regina (padając na ziemię). Straciłam córkę!

Starzechowski (obwiązując głowę Sępowi). Ranę lekarzowi
Zwierzymy... Pewnym bądź, że się zagoi...

Sęp. O, ta się zgoi... ale w piersi mojéj
Zostanie inna rana, ból serdeczny,
I ten w ciemności mnie pogrąży wiecznéj.
Żałości onéj już nie przeboleję.

Mikołaj. Panowie, błagam.... to, co się tu dzieje,
Zamilczcie ludziom. Niech się świat nie dowie,
Że w oném miejscu szlachetni Tarłowie
I insza szlachta z nazwiskiem podniosłém
Splamili cześć swą zbójeckiém rzemiosłem.

Wszyscy (wznosząc szable do góry). Będziemy milczéć... przysięgamy [Niebu!

Młodecki. Wrócimy smutni w duszach, by z pogrzebu.

Starzechowski. Wspomnienie jeno będziem w duszy chować.

Sęp (prowadzony przez dworzan). I nie miłować ciężko i miłować!

ZASŁONA SPADA.

Bronisław Grabowski.



O ŻYCIU BEZ POWIETRZA

Wewnętrzny mechanizm organicznego utleniania nie jest nam dokładnie znany. Gorzenie (Lavoisier), podrażnienie (Kl. Bernard), fermentacya (ferment utleniający Jaqueta) są to trzy główne teorye usiłujące wyjaśnić znaczenie tlenu w zjawiskach życiowych.

„Wiemy od czasów Lavoisiera, wyraża się w téj kwestyi Klaudyusz Bernard [1]), iż rozkład międzycząsteczkowy, czyli przemiana materyi towarzysząca wszelkim objawom życiowym, polega na zjawisku utleniania materyi żyjącéj, jest równoznaczną z gorzeniem. Lecz Lavoisier i jego następcy, którzy zapoznali nas z tém ważném zjawiskiem, wpadli w błąd nieunikniony prawie w ich epoce, co do mechanizmu tych procesów. Utożsamili chemiczne procesy, odbywające się w organiźmie, z bezpośredniém gorzeniem, t. j. z połączeniem tlenu z węglem tkanek. Słowem mniemali, iż gorzenie organiczne jest równoznaczne z paleniem, odbywającém się po za istotami żyjącemi, w naszych laboratoryach lub piecach. Przeciwnie, niema w naszym organiźmie ani jednego zjawiska gorzenia, odbywającego się przez bezpośrednie połączenie tlenu z węglem. Wchodzi tu w grę działanie specyalnych czynników, prawdopodobnie fermentacyi". Kl. Bernard liczne przytacza dowody na poparcie swego twierdzenia; wewnętrzny mecha-

---

[1]) Cl. Bernard: *Leçons sur les phénomènes de la vie*, tom I. Paryż, 1885.

nizm utleniania organicznego jest dotychczas nieznany, pisze on daléj, wiemy jednak z całą pewnością, iż gaz ten jest wprowadzany do tkanek i staje się składową cząstką żyjącéj materyi. Teorya bezpośredniego gorzenia, która w swoim czasie robiła przewrót w nauce, nie została potwierdzoną przez następne poszukiwania fizyologiczne. Gorzenie nie jest bezpośredniém w organizmie, a wydzielanie kwasu węglanego, będąc zjawiskiem wielce rozpowszechnioném w naturze, jest wynikiem organicznego rozkładu, rozdwojenia, podobnego do procesów fermentacyjnych. Owe fermentacye są przytém dynamicznemi równoważnikami gorzenia; odpowiadają temu samemu celowi, gdyż wydzielają ciepło i stają się skutkiem tego niezbędném źródłem energii dla podtrzymania życia.

Uniesiony genialną intuicyą, Kl. Bernard dopatruje się zjawisk fermentacyi nawet w utlenianiu tkanek; nie mogło być jednak mowy o stworzeniu nowéj teoryi w tych czasach, brakło całkiem dowodów, stwierdzających istnienie owego fermentu utleniającego. Więc téż znakomity fizyolog francuski uważa raczéj wydzielanie kwasu węglanego za zjawisko fermentacyi, na tlen zapatruje się zaś jako na jeden z bodźców, narówni z bodźcami świata zewnętrznego, dzięki któremu żyjąca materya nabiera więcéj pobudliwości do wykonywania ruchów. W twierdzeniu tém opiera się on głównie na ciekawém doświadczeniu Engelmanna, który spostrzegł, że ruchy migawkowe, tak energiczne w atmosferze tlenu lub powietrza, ustają w wodorze w przeciągu 20 minut. Jeśli wprowadzić cokolwiek tlenu pod klosz, wówczas ponownie rozpoczynają się ruchy komórek migawkowych. Tlen działa zatém jako bodziec dla ruchów migawkowych, wnioskuje Kl. Bernard, i zdawałoby się, że potęga jego działania przechowuje się przez pewien przeciąg czasu.

Zaliczenie tlenu do rzędu bodźców spotkało się z silnym protestem ze strony współczesnych nam fizyologów; przeciwnie, szereg licznych doświadczeń wykazał z całą ścisłością, iż nie tlen, lecz kwas węglany odgrywa w organiźmie rolę bodźca; nie tlen, jak dawniéj sądzono, działając na ośrodki oddychania, pobudza je do czynności, lecz krew obficie uposażona w kwas węglany wywiera wpływ drażniący na rdzeń przedłużony. A nawet doświadczenie Engelmanna, tak jasne na pierwszy rzut oka, zdające się istotnie stwierdzać drażniący wpływ tlenu na pobudliwość materyi żyjącéj, otrzymało dziś zgoła inne objaśnienie. Tlen istotnie jest sprawcą ruchów żyjącéj materyi, lecz nie działa on jako bodziec; ruchy protoplazmy wywołane są jéj chemotropizmem do tlenu środowiska (Kühne, Verworn). Ameby, pogrążone w atmosferze wodoru tracą rzeczywiście ruchy, lecz jedynie ruchy samoistne,—podra-

żnione elektrycznością, zdolne kurczyć się. Natomiast kwas węglany działa na nie jako bodziec, gdyż pogrążone w tym gazie, zachowują ruchy przez jakiś czas, wreszcie wyczerpane, przybierają kształt kulisty i żadne inne podniety nie wywierają już na nie najmniejszego wpływu.

Tlen przeto nie jest bodźcem dla ruchów żywéj materyi, jego wpływ nie może być porównany do działania elektryczności, ciepła, światła, podrażnień mechanicznych.

Przyznać musimy, iż wewnętrzny mechanizm utleniania organicznego pozostaje dotychczas okryty mgłą nieprzeniknionéj zagadki, odkąd teorya organicznego gorzenia głęboko zachwianą została.

Prace lat ostatnich wzbogaciły się jednak nowym faktem, który rzuca pewne światło na zagadkowe procesy utleniania. Jest to odkrycie fermentu utleniającego. Sposób działania tego fermentu nie zarysował się jeszcze z zupełną jasnością, nie został on dotychczas oddzielony w stanie czystości w świecie zwierzęcym, lecz obecność jego, nie pozostawiająca cienia wątpliwości, posiada niezmierne teoretyczne znaczenie w nauce, gdyż służyć będzie jako punkt wyjścia dla nowych prac w tym kierunku.

Dawne doświadczenia Hoppe-Seylera wykazują, iż substancye tak łatwo utleniające się jak cukier, kwas mlekowy i t. d., wprowadzone do krwi przy temperaturze ustroju, nie ulegają utlenieniu; natomiast krew, przepływająca przez żywe tkanki, nabiera własności utleniających. Doświadczenia te dowodzą, iż w żywym organiźmie zjawiska utleniania odbywają się nie we krwi, lecz w samych tkankach, nic wszakże objaśnić nas nie mogą co do obecności fermentu utleniającego. Dopiero Jaquet'owi [1]) zawdzięczamy istotne odkrycie tego fermentu. Autor ten potwierdził doświadczenia Hoppe-Seylera co do braku utleniających własności krwi tętniczéj w zetknięciu będącéj z powietrzem, wykazał nadto, iż jeśli do krwi téj domieszać cokolwiek wyciągu z tkanki płucnéj, wątrobowéj lub nerkowéj, wówczas nabiera ona własności utleniających i przeistacza wyskok benzylowy na kwas bendźwinowy. Widzimy przeto, iż maceracya świeżych organów zawiera w sobie jakąś substancyę, która domieszana do krwi, nadaje jéj własność utleniania innych ciał. Dzięki jéj, tlen znajdujący się we krwi tętniczéj służyć może do utleniania, bez niéj zachowuje się biernie. Substancyą tą jest ferment rozpuszczalny czyli enzyma. Tkanki użyte do eksperymentów nie tracą swych własności nawet wtedy, gdy poddamy je działaniu wysokiéj temperatury lub antyseptyków, lecz wpływ utleniający znika,

---

[1]) Jaquet. *Societé de Biologie*, 1892.

jeśli temperaturę podniesiemy aż do 80^0. Wiemy nadto, iż ferment utleniający rozpuszczalnym jest w wodzie, prawie nierozpuszczalnym w alkoholu. Są to wszystko własności ciał, należących do grupy fermentów rozpuszczalnych czyli enzym, które, jak wiadomo z chemii fizyologicznéj, zachowują swe własności nawet wówczas, gdy tkanki zwierzęce zniszczone zostały przez działanie niskiéj lub wysokiéj temperatury, lub pod wpływem alkoholu albo kwasu karbolowego.

Doświadczenia Jaqueta posiadają wysokie znaczenie naukowe, gdyż potwierdziły prace dawniejszych fizyologów, którzy wbrew mniemaniu Lavoisiera umieszczali zjawiska utleniania w protoplaźmie tkaninowéj; powtóre wykryły obecność fermentu utleniającego, zawartego również w tkankach, dzięki któremu komórki organizmu wchodzą w połączenie z tlenem hemoglobiny lub rozpuszczonym w surowicy.

Dalsze poszukiwania zapoznały nas bliżéj z fermentem utleniającym; nie wszystkie organy posiadają go w jednakowéj ilości (Abelous i Biarnès); najobficiéj znajduje się on w tkankach zwierząt młodych, zwłaszcza zaś w płucach, nerkach, wątrobie, gruczołach nadnerwowych. W świecie roślinnym odkryto również obecność podobnych fermentów, a Bertrand nazwał *lakazą* ferment utleniający, znajdujący się w drzewie lakowém, ogólną zaś nazwę *oksydaz* nadał wszystkim tym substancyom, znajdującym się obficie w świecie zwierzęcym i roślinnym.

Przedstawiliśmy w krótkości trzy główne teorye, usiłujące wyjaśnić wewnętrzny mechanizm utleniania organicznego. Z nich teorya fermentacyi jest dziś na dobie, daleka jest jednak od zupełnego rozwiązania tych zawiłych procesów.

Natomiast wiadomo z całą pewnością, iż przeniknięcie tlenu do organizmu jest źródłem energii, ciepła i pracy mechanicznéj. Wszystkie istoty bez wyjątku potrzebują tlenu do życia. Co prawda, nie wszystkie czerpią go z jednego źródła: jedne biorą go z powietrza, drugie z wody (tlen rozpuszczony w wodzie), komórki wyższych ustrojów biorą go z hemoglobiny krwi, z którą tlen słabo jest połączony. Rzecz godna uwagi, organizmy posiadają zdolność wchłaniania tylko ściśle określonéj ilości tlenu, nawet gdyby go dostarczyć im podostatkiem; pogrążone w atmosferze czystego tlenu, nie wchłaniają go więcéj, niż gdyby znajdowały się w powietrzu. A nawet tlen pod ciśnieniem zabójczo działa na organizmy; ciśnienie dwóch atmosfer czystego tlenu śmiertelném jest dla roślin, ciśnienie 3 atmosfer wpływa w podobny sposób na zwierzęta (W. Müller i P. Bert).

Pflüger wykazał analogię, jaka istnieje w tym względzie między organizmem a fosforem, który utlenia się w powietrzu atmosferyczném i wydziela parę kwasu fosforowego, lecz przestaje się utleniać w atmosferze czystego tlenu.

Nie wszystkie komórki w jednakowy zachowują się sposób, gdy pozbawić je tlenu, a choć wszystkie giną, gdy brak im tego podtrzymującego życie gazu, lecz śmierć nie nadchodzi w jednakowym czasie; podobnie zwierzęta zagłodzone nie giną wszystkie jednocześnie. Komórki systemu nerwowego odznaczają się niezmierną wrażliwością na brak tlenu, i dlatego zwierzęta wyżéj uorganizowane, których krążenie i oddychanie pozostają w zależności od ośrodków nerwowych, giną bardzo szybko bez tlenu. Inne komórki o wiele są wytrzymalsze. W poszukiwaniach tego rodzaju łatwo jest zastąpić powietrze przez wodór w zamkniętém naczyniu (np. pod kloszem), albowiem gaz ten sam przez się nie wywiera żadnego zgubnego wpływu na życie organizmu. Kühne spostrzegł, iż ameby pogrążone w atmosferze wodoru, tracą ruchy protoplazmicze w przeciągu 24 minut. Po tym czasie mogą być jeszcze przywołane do życia, jeśli wprowadzimy powietrze atmosferyczne pod klosz. Śmierć staje się jednak nieodwołalną, gdy pozostają dłużéj w wodorze. Plazmodye miksomicetów tracą swe protoplazmiczne ruchy dopiero po trzech godzinach pobytu w atmosferze czystego wodoru, a giną nawet znacznie późniéj. O innych organizmach i tkankach pomówimy niżéj.

Na pierwszy rzut oka zdawaćby się mogło, iż istnieją niektóre wyjątki, co do tego ogólnego prawa niezbędnéj konieczności tlenu do życia. Niektóre istoty niższego rzędu, należące do rodziny bakteryi i przezwane „anaërobami" (anaërobitami), mogą żyć bez powietrza, a nawet znajdują się między niemi takie, które giną, jeśli wystawimy je na działanie otaczającéj atmosfery. Różnica ta jest bardziéj pozorną niż rzeczywistą. Anaerobity, podobnie jak i wszelkie inne organizmy, potrzebują tlenu do życia, lecz zamiast czerpać gaz ten z powietrza lub wody, zabierają go rozmaitym utlenionym połączeniom chemicznym, z któremi znajdują się w zetknięciu. Jednocześnie wywołują rozkład chemiczny tych połączeń.

W r. 1861 Pasteur dokonał pamiętnego odkrycia mikroorganizmu, wywołującego je fermentacyę masłową: owa istota jednokomórkowa żyje, rozwija się i rozmnaża bez dostępu tlenu atmosferycznego, a nawet wszelkie zetknięcie się z powietrzem jest dla niéj zgubne. Owo odkrycie organizmu żyjącego bez tlenu, ginącego przy zetknięciu się z tlenem, stanowi ważną datę w dziejach nauki. Wkrótce potém Pasteur dowiódł licznemi poszukiwaniami, iż zjawisko to nie jest wyłącznym przywilejem wyżéj wzmiankowanego organizmu, lecz że istnieje niezliczona ilość drożdży i pleśni, które żyją w podobnych warunkach. Wreszcie niektóre istoty mogą żyć kolejno istnieniem aerobicznem i anaerobicznem.

Geniuszowi Pasteura zawdzięczamy również wyświetlenie tego ważnego faktu, iż istoty anaerobiczne nie pozostają bynajmniéj w sprzeczności z wielkiém fizyologiczném prawem konieczności tlenu do życia. Choć mogą obejść się bez powietrza (jak wskazuje ich nazwa), nie mogą obéjść się bez tlenu, lecz zamiast czerpać go z powietrza, biorą go z ciał fermentujących (np. cukier gronowy).

Według Pawła Bert'a [1]) nasze tkanki możnaby również nazwać anaerobicznemi, ponieważ czerpią tlen z hemoglobiny nie zaś bezpośrednio z powietrza, a nawet nazwę tę możnaby nadać czerwonym ciałkom krwi; w istocie, wszystkie komórki są anaerobiczne, pisze P. Bert, z tą różnicą, iż jedne, jak nasze tkanki, jak wibriony, jak komórki drożdżowe, odtleniają obcą im substancyę organiczną (oksyhemoglobinę, kwas mlekowy, cukier), inne, jak czerwone ciałka krwi, żyją kosztem substancyi utlenionéj, wchodzącéj do ich składu.

Jednakże utrwaliło się w nauce inne cokolwiek pojęcie o życiu anaerobiczném; według Armanda Gautier, życie anaerobiczne, to spożywanie wewnętrznych zasobów bez współudziału otaczającego powietrza. Innemi słowy życie anaerobiczne scharakteryzowane jest przez niekompletne utlenienie.

Warunki życia anaerobicznego, będące zwyczajnym trybem istnienia dla niektórych niższych ustrojów, możemy wytworzyć w sztuczny sposób dla zwierząt wyższych, lub ich tkanek wyciętych z ciała, stosownie do tego, czy dostarczymy im większéj lub mniejszéj ilości tlenu do życia. Można przeto odróżnić kilka stopni w życiu bez powietrza. Najprostszy sposób polega na wstrzymaniu krążenia krwi, bądź przez podwiązanie lub wyjęcie serca, bądź przez wycięcie tkanek; w warunkach tych życie anaerobiczne nie jest zupełne, bo choć właściwe oddychanie jest wstrzymane w braku krwi i oksyhemoglobiny, jednakże pewna ilość tlenu znajduje się rozpuszczona w płynach organicznych oraz zalega w naczyniach krwionośnych; ilość ta jest wszakże nader drobna i wkrótce znika skutkiem życia samychże tkanek; należałoby raczéj brać w rachubę oddychanie pierwiastkowe tkanek, które choć w słabym stopniu u istot wyżéj uorganizowanych, posiadają jednakże zdolność wchłaniania pewnéj ilości tlenu bezpośrednio z powietrza, a owa wymiana gazowa może w pewnym stopniu wpłynąć na otrzymane rezultaty.

Powszechnie wiadomo, iż zjawiska życiowe nie ustają nagle w tkankach, odciętych od żyjącéj istoty, chociaż nie otrzymują one ani

---

[1]) Paul Bert. *De l'action de l'oxygène sur les eléments anatomiques. (Academie de Sciences 1878).*

podrażnienia nerwów, ani krwi przynoszącéj im w naturalnych warunkach materyały pożywne. Krew nie jest niezbędna do podtrzymania życia, tkanki posiadają własne istnienie, niezależne od krążenia krwi i działalności nerwowéj. Serce żaby wyjęte z klatki piersiowéj przez długi czas bić nie przestaje, wycięte mięśnie kurczą się, jeśli podrażniemy je elektrycznością, gruczoły wydzielają po dawnemu i t. d., istnienie zaś téj pracy z konieczności rzeczy jest następstwem przemiany materyi, będącéj energetycznym zbiornikiem siły. Nie ulega jednak wątpliwości, iż w tych warunkach pierwotny chemizm głębokim musiał uledz zmianom, a uderzający przykład tego faktu znajdujemy w tak zwanéj komórce drożdżowéj. Jeśli dostarczyć jéj tlenu podostatkiem, wówczas spala ona $^3/_4$ cukru i rozporządza w pełni wielką ilością wynikłéj stąd energii, a jednocześnie wytwarza takie produkty jak CO^2, H_2O. W braku powietrza komórka drożdżowa rozkłada cząsteczki cukru, zagarnia tlen międzycząsteczkowy i wytwarza substancye zdolne do gorzenia, wodniki węgla, wyskok, glicerynę, a nawet silne leukomaiy.

Na wzór komórki drożdżowéj, mówi Gautier [1]), mogą funkcyonować tkanki wysoko uorganizowanych zwierząt wobec obfitéj lub niedostatecznéj ilości tlenu a następstwa tych dwóch sposobów istnienia są równoległe do tych, jakie spostrzegamy dla komórki drożdżowéj żyjącéj w analogicznych warunkach.

Podobne zjawisko wykazaném zostało przez Slosse'a, odnośnie do wątroby, pozbawionéj krążenia i bez dostępu powietrza; w warunkach tych komórki wątroby żyją istnieniem niekompletném, a cukier jaki mają w swém rozporządzeniu przekształcają na substancye ubogie w tlen, lecz obfitujące w węgiel i wodór (kwasy seryi tłustéj).

Obok anemii (czyli wstrzymania krążenia) istnieją inne jeszcze sposoby doświadczalne dla wytworzenia sztucznych warunków życia anaerobicznego, mianowicie zaś wpływ atmosferycznéj depresyi, będącéj równoznaczną ze zmniejszeniem utleniania organicznego, wreszcie całkowity brak tlenu atmosferycznego, czyli uduszenie zwierząt lub ich tkanek.

Przejdziemy w krótkości główne zmiany dostrzeżone w funkcyonowaniu tkanki mięśniowéj, żyjącéj istnieniem anaerobiczném pod wpływem anemii, rozrzedzonego powietrza i uduszenia, lub pod wpływem połączonych tych czynników. Mówiąc jednak o życiu anaerobiczném, nie możemy zamilczéć o niektórych objawach życia aerobicznego czyli normalnego, inaczéj niepodobieństwem byłoby zdać sobie dokładnie sprawę z różnicy dzielącéj te dwa rodzaje istnienia. Wybieramy system mięśniowy dlatego, iż nad tkanką tą czyniono najwię-

---

[1]) Gautier. *Chimie de la cellule vivante*. Paryż, 1894.

kszą liczbę doświadczeń, a jéj ważność w ustroju, jéj znaczenie, jako siedliska energicznych przemian chemicznych, czynią z niéj wielce dogodny i wysoce interesujący przedmiot do badań. Ujrzymy, jak doniosłém w swych następstwach okazało się badanie anaerobicznego życia systemu mięśniowego i jak ciekawe padło stąd światło na jego życie normalne czyli aerobiczne.

Wpływ anemii. Od czasów dawnego doświadczenia Stenona wiadomo, iż podwiązanie aorty brzusznéj u psa, czyli wstrzymanie krążenia krwi w dolnéj części ciała, wywołuje po kilku minutach porażenie tylnych kończyn. Zjawisko to było z początku błędnie wyjaśniane, mniemano, iż porażenie było wynikiem anemii mięśni. W gruncie rzeczy jest ono wywołane anemią rdzenia kręgowego, który z niesłychaną szybkością traci pobudliwość, gdy pozbawimy go dopływu krwi i dostępu tlenu, mięśnie zaś przez długi czas zachowują kurczliwość. Ruchy dowolne są przeto wstrzymane, zwierzę nie jest w stanie wykonać dowolnie najlżejszego ruchu, lecz mięsień, podrażniony elektrycznością, kurczy się jeszcze przez kilka godzin. W tym względzie istnieje wybtina hierarchia między rozmaitemi tkankami: anemia wywiera najpierw wpływ paraliżujący na ośrodki nerwowe, następnie na zakończenia nerwów, późniéj na mięsień, a na samym końcu na sznurek nerwowy. Mięsień jest zatém narządem wysoce wytrzymałym na wływ anemii, podobnie jak i na wpływ trucizn i wszelkich innych niszczących czynników. U zwierząt zimnokrwistych pobudliwość mięśnia bez dostępu krwi przechowuje się znacznie dłużéj niż u ciepłokrwistych, co bezwątpienia związane jest z różnicą temperatury, zjawiska chemiczne organizmu są bowiem o wiele czynniejsze przy temperaturze wysokiéj niż przy niskiéj. Zwierzęta ciepłokrwiste, jako posiadające wymiany chemiczne o wiele szybsze, w krótkim czasie wyczerpują rozporządzalny zasób tlenu, a w braku tego gazu pobudliwość znika. U żaby pobudliwość mięśni trwa bez zmiany przez kilka godzin po śmierci zwierzęcia (wyjąwszy lekkie powiększenie pobudliwości zaraz po wstrzymaniu krążenia, będące ogólném prawidłem), a 36 lub 48 godzin upływa zanim zniknie w zupełności. U ciepłokrwistych pobudliwość znika w kilka godzin po śmierci.

Widzimy przeto, iż anemia nie wywołuje natychmiastowéj zagłady tkanki mięśniowéj; zdawałoby się, iż krew nie jest niezbędna dla podtrzymania pobudliwości. Oddawna jest wszakże rzeczą znaną, iż zdolność do pracy mięśnia otrzymującego krew jest znacznie większa od podobnéj zdolności mięśnia bez krążenia; nietylko wysokość skurczów jest znacznie zmniejszoną w ostatnim wypadku, gdy drażnimy go prądem elektrycznym, lecz nadto mięsień bez krążenia nuży się daleko prędzéj.

Jestto różnica, któréj przypisujemy ważne znaczenie. Stopniowe zanikanie pobudliwości mięśnia bez obiegu krwi jest następstwem jego powolnego obumierania, lecz praca wykonywana w tych warunkach przyśpiesza śmierć. Wszędzie odnajdziemy to samo zjawisko: mięsień żyjący istnieniem anaerobiczném, zupełném lub częściowém, skazany jest wcześniéj lub późniéj na zagładę, jeśli nie zmienią się warunki jego bytu; skazany jest na groźne zaburzenia, jeśli życie bez powietrza jest tylko chwilowém; wszystkie te objawy potężnieją, gdy mięsień wykonywa pracę.

Śmierć przez anemię nie jest wywołana wyczerpaniem zasobów odżywczych mięśnia; w braku krwi i węglowodanów pozostają mu jeszcze ciała białkowe, które, jak zobaczymy późniéj, dezasymilują się bez tlenu. Śmierć przez anemię jest wynikiem samootrucia mięśnia przez substancye szkodliwe, które wytwarza on podczas swego funkcyonowania; nagromadzają się one w tkankach, gdyż nie mogą być uniesione z biegiem krwi, ani zniszczone przez tlen.

Ciekawy fakt do zaznaczenia, który wyróżnionym zostanie w dalszym ciągu téj pracy, to możność wypoczynku znużonego mięśnia odciętego od ciała. Chociaż skurcze jego znacznie są osłabione, a znużenie występuje o wiele szybciéj niż w zwyczajnych warunkach, pomimo to mięsień wycięty i znużony licznemi podrażnieniami elektrycznemi, zdolny jest wypocząć, jeśli pozostawimy go w spokoju przez pewien przeciąg czasu, a potém może jeszcze dostarczyć pewnéj sumy pracy.

Wpływ obniżonego ciśnienia atmosferycznego (depresya). Wiemy od czasu doświadczeń Pawła Berta, iż zmiany ciśnienia barometrycznego nie wywierają wpływu mechanicznego na organizmy, lecz działają jedynie przez zmianę chemicznych warunków oddychania. Tlen pod silném ciśnieniem nie łączy się w większéj ilości z hemeglobiną, lecz powyżéj 5 atmosfer zaczyna rozpuszczać się w surowicy krwi, wywołując groźne a nieraz śmiertelne zaburzenia. Jednakże do 2 atmosfer ciśnienia atmosferycznego, zjawiska chemiczne organizmu zwiększają się w pewnéj mierze, czemu przypisać należy większą pobudliwość mięśnia kurczącego się w czystym tlenie, niż w powietrzu, zjawisko wywołane większém parcyalném ciśnieniem tlenu. Dla mięśnia wyciętego owa zwiększona pobudliwość daje się jedynie wytłómaczyć silniejszém oddychaniem pierwiastkowém.

Co się tyczy ciśnienia obniżonego, spostrzegane zaburzenia są również wynikiem zmian chemicznych, jakie sprowadza oddychanie powietrzem, w którém ciśnienie tlenu uległo zmianie. Gdy ciśnienie się zmniejsza, tlen zatraca swe własności fizyologiczne, w braku od-

powiedniego ciśnienia hemoglobina nie może się nim dostatecznie nasycić.

Istnieje uderzające podobieństwo między zaburzeniami spostrzeganemi na zwierzętach żyjących w rozrzedzoném powietrzu pod kloszem, a specyalnemi stanami, zwanemi „chorobą alpinistów" i „chorobą aeronautów".

Nadzwyczajne znużenie, przyśpieszone oddychanie, zawroty głowy, halucynacye, ból głowy i t. d. są głównemi symptomatami obserwowanemi przy oddychaniu powietrzem rozrzedzoném. Wszystkie te objawy wzmagają się jednak w niebywały sposób, jeśli zwierzęta podlegające doświadczeniu lub alpiniści wykonywają ruchy. Fakt ten stwierdzonym został przez Regnarda dla świnek morskich, które giną nader szybko w powietrzu rozrzedzoném, gdy zmuszone są do poruszania się; inne osobniki, w tych samych warunkach będące, lecz pozostające w spoczynku, zachowują się przy życiu lub giną przy ciśnieniu znacznie niższém. Podobnie alpiniści, jeśli odbywają podróż na osłach lub przenoszeni są przez górali, nie doświadczają prawie żadnych chorobliwych objawów. Znużenie odgrywa zatém bardzo ważną rolę w etyologii zaburzeń. Znużenie powiększa ilość mięśniowych toksyn, które nie mogą być rozłożone przez tlen będący pod słabém ciśnieniem.

Obniżenie ciśnienia atmosferycznego wywiera zatém podobny wpływ do anemii, nie biorąc w rachubę różnicy w stopniu. W obu wypadkach jestto zwolnienie lub wstrzymanie utleniania organicznego, bądź przez brak krwi (anemia), bądź przez oddychanie powietrzem rozrzedzoném, w którém tlen pod słabém ciśnieniem się znajdujący zatracił w zupełności lub w części swe własności fizyologiczne. I w obu wypadkach, praca, znużenie powiększają w znacznéj mierze spostrzegane zaburzenia i przyśpieszają ostateczny przebieg wypadków.

W p ł y w u d u s z e n i a. Uduszenie, czyli brak zupełny tlenu, może być dokonane kilku sposobami. Karol Richet i A. Broca [1]) nadali nazwę „skurczu mięśniowego anaerobicznego" tym skurczom, jakie otrzymali doświadczalnie u psa po chwilowém zatkaniu tchawicy. W chwili gdy wskutek uduszenia ruchy oddechowe zaczęły się zwalniać, skurcze mięśniowe otrzymane za pośrednictwem elektryczności zaczynały znacznie słabnąć, i wkrótce pobudliwość całkiem znikała. Skoro krew zaczynała krążyć, pobudliwość wracała, lecz nigdy nie wracała do pierwotnego stanu; mięsień, który dostarczył seryi skurczów anaerobicznych, wyczerpany był na długi czas. Nieraz należało czekać trzy

---

[1]) Broia et Richet. *De la Contraction musculaire anaérobie* („*Archives de Physiologie*", 1896).

godziny, zanim mięsień mógł wypocząć. Skurcz odbyty w warunkach anaerobicznych w wysokim stopniu nużący jest dla mięśnia; uduszenie samo przez się nie wystarcza dla wyczerpania, ponieważ inne mięśnie, które nie pracowały, nie straciły pobudliwości, jedynie mięsień łydkowy, który dostarczał pewnéj sumy pracy, stracił kurczliwość. Prawdopodobnie przy kurczeniu się mięśnia wytwarzają się substancye trujące, lecz w normalnych warunkach życia zostają one natychmiast rozłożone przez tlen, podczas zaś uduszenia nie zostają zniszczone i zatruwają włókna mięśniowe.

Trujące własności krwi zwierząt uduszonych zostały bezpośrednio wykazane przez kilku fizyologów, ostatniemi zaś czasy przez Ottolenghi'ego [1]. Kiedy wstrzyknięcie krwi normalnéj u królika nie wywołało najlżejszego objawu chorobliwego, wstrzyknięcie krwi zwierząt uduszonych okazało się śmiertelném w tychże samych dozach, a w mniejszych wywołało objawy porażenia i osłupienia. Otrucie w tym wypadku jest następstwem działania toksyn, nagromadzonych we krwi i pochodzących z tkanek zwierząt uduszonych.

Karolowi Richetowi zawdzięczamy również nader ciekawe doświadczenia co do asfiksyi serca. Gdy zwierzę się dusi, następuje faza, w któréj serce zaczyna bić powolniéj, a owo zwolnienie uderzeń, będące wynikiem działalności nerwów błędnych, wywiera wpływ ochronny. Jeśli przeciąć oba nerwy błędne, serce zaczyna w téj chwili bić szybciéj, a wówczas śmierć przez uduszenie jest znacznie przyśpieszoną. Gdy ilość rozporządzalnego tlenu jest nieznaczna, jak się to dzieje przy uduszeniu [2], wówczas dla przedłużenia życia należy zredukować jego zapotrzebowanie przez organizm do *minimum*; w tym właśnie celu serce zwalnia swe uderzenia. Jeśli serce nie zwalnia swego bicia, jak się to dzieje po przecięciu nerwów błędnych, które wywierają wpływ hamujący na serce, wówczas śmierć tego organu następuje nader szybko, skurcz mięśnia sercowego wytwarza bowiem trucizny, które rozłożone być mogą tylko przez tlen. Słowem, serce zamiera przez asfiksyę w krótszym czasie, jeśli bije szybko, żyje znacznie dłużéj, jeśli zwalnia bicie.

Przechodzimy obecnie do zjawisk uduszenia, wywołanych przez zamknięcie zwierząt lub ich tkanek w kloszu napełnionym gazem obojętnym, wodorem lub azotem, niezdolnym do podtrzymania utleniania.

---

[1] Ottolegnhi. *De la toxicité du sang asphyxique.* („*Archives italiennes de Biologie*", 1895.

[2] Richet. *Asphyxie* („*Dictionnaire de Physiologie*", tom I, 1895, Paryż).

Obok uduszenia organizmów, badać zatém można uduszenie tkanek. Początek téj metody sięga wielce odległych czasów, ponieważ Humboldt zwrócił był uwagę na ten fakt, iż mięsień zachowuje dłużej pobudliwość w tlenie niż w powietrzu, w powietrzu zaś dłużéj niż w wodorze [1]). Rezultaty te potwierdzone zostały nader ścisłemi doświadczeniami Hermanna [2]), autor wprowadził mięsień łydkowy żaby do walca napełnionego czystym wodorem, drugi mięsień łydkowy téjże saméj żaby do walca napełnionego powietrzem; oba mięśnie podrażnione były jednocześnie tymże samym prądem elektrycznym. Mięsień w wodorze żył zaledwo kilka godzin, gdy drugi zachował pobudliwość znacznie dłużéj. Prócz tego Hermann skonstatował, iż mięsień wykonywający pracę w wodorze wydziela w dalszym ciągu pewną ilość kwasu węglanego, oraz że miesień wycięty nie zawiéra wcale tlenu, nawet przez pompę rtęciową niepodobna z niego wydobyć ani odrobiny tego gazu. Wywnioskowano stąd, pisze Verworn, profesor z Jeny [3]), iż w tych warunkach mięsień żyje całkiem bez tlenu; nie należy jednak sądzić, iż jest go zupełnie pozbawiony. Prawdopodobnie tlen znajduje się w połączeniu z sarkoplazmą mięśnia i może być użyty do utlenienia włókien w chwili ich kurczenia się; wiemy, iż komórki wyższych organizmów czerpią tlen z hemoglobiny, z którą jest on słabo połączony; w sarkoplazmie istnieje również podobne połączenie z tą różnicą, że tlen nie może być z niego wypompowany, jak się to dzieje z hemoglobiną. Można tym sposobem zrozumiéć, jak niektóre komórki, pozbawione dostępu powietrza, mogą być siedliskiem utleniania organicznego, dopóki ich zapas tlenu wyczerpanym nie zostanie.

Ciekawą w tym względzie jest teorya Pflügera [4]). Według znakomitego fizyologa niemieckiego, własności chemiczne ciał białkowych są ściśle związane ze zjawiskami życiowemi. Niestałość żywéj materyi białkowéj jest wywołana obecnością tlenu międzycząsteczkowego, czyli zawartego w cząsteczkach materyi białkowéj. Inaczéj niepodobnaby zrozumiéć, jakim sposobem niektóre zwierzęta, zwłaszcza zaś żaby, jak to Pflüger wykazał, mogą żyć przez 24 godziny a nawet dłużéj w atmosferze czystego wodoru i wydzielać w dalszym ciągu pewną ilość kwasu węglanego. Wydzielony kwas węglany nie jest wszakże

---

1) Humboldt. „*Versuche über die gereizte Muskel- und Nervenfasser.*“ Berlin, 1797 roku.

2) Hermann. „*Untersuchungen zur Physiologie der Muskeln und Nerven.*“ Berlin, 1868 r.

3) Verworn. „*Allgemeine Physiologie.*“ Jena, 1895 r.

4) Pflüger. „*Ueber die physiologische Verbrennung in den lebendigen Organismen*“ (Pflüger's „*Archiv*“, 1875).

wynikiem bezpośredniego utlenienia ciał białkowych, lecz powstaje skutkiem dysocyacyi wewnętrznéj grup atomowych. Gdy cząsteczki ciał białkowych zawiérają dużo tlenu, znajdują się one wówczas w wielce chwiejnéj równowadze chemicznéj, gdyż w tym wypadku istnieje możność utlenienia atomów węgla i wodoru i wytworzenia się kwasu węglanego i wody, na zasadzie silnego powinowactwa tych pierwiastków do tlenu. Powstaje zatém kwas węglany i woda przez dysocyacyę międzycząsteczkową atomów. Słowem, wielka niestałość chemiczna żyjącéj materyi jest proporcyonalną do ilości międzycząsteczkowego tlenu.

Tlen połączony z sarkoplazmą, czy tlen międzycząsteczkowy, obie hypotezy są prawdopodobne; w obu wypadkach mięsień żyje istnieniem anaerobiczném, spożytkowując własne zapasy tlenu, nie zapożyczając go z otaczającéj atmosfery.

Kwas węglany, wydzielany przez mięsień żyjący w wodorze, nie jest zatém bezpośrednim wynikiem utleniania materyi żyjącéj, lecz pochodzi z dysocyacyi jéj cząsteczek. Zjawisko to potwierdzoném jeszcze zostało ostatniemi czasy w doświadczeniach Tissota [1]), który dowiódł wbrew zapatrywaniu Hermanna, iż mięsień wycięty i wystawiony na działanie powietrza wchłania tlen i wydziela kwas węglany, niezależnie od wszelkiego gnicia. Wydzielony kwas węglany pochodzi z dwóch źródeł: 1) wydzielenie CO^2 zawartego poprzednio w mięśniu, 2) wydzielenie CO^2 powstałego skutkiem pierwiastkowego oddychania mięśnia. A zatém całkowita ilość wydzielonego kwasu węglanego nie może służyć za miarę jego życiowéj funkcyi, ponieważ mięsień martwy (zgotowany), lub mięsień żyjący w wodorze wydziela w dalszym ciągu kwas węglany. Mięsień wystawiony na działanie powietrza wydziela jednak więcéj CO^2 niż podobny mięsień żyjący w wodorze, a różnica między liczbami CO^2 w tych dwóch wypadkach daje nam tę ilość gazu, jaka powstaje skutkiem spraw oddechowych.

Opiérając się na fakcie, iż nawet mięsień martwy wydziela jeszcze kwas węglany, mamy prawo twierdzić, iż podobnież mięsień żyjący istnieniem anaerobiczném wydziela CO^2 niezależnie od zjawisk utleniania.

Oddychanie pierwiastkowe mięśnia wyjaśnia nam to ciekawe zjawisko, o którém już poprzednio była wzmianka, możność odzyskania dawnéj energii ruchu przez mięsień wycięty i znużony, jeśli damy mu wypocząć przez kilkanaście minut.

---

[1]) Tissot. „*Etude des phénomènes de survie dans les muscles après la mort générale.*“ Paryż, 1895 r.

Wypoczynek mięśnia w tych warunkach wydaje się w pierwszéj chwili zaprzeczeniem chemicznéj teoryi znużenia, lub przynajmniéj pozwala mniemać, iż posiada on we własnéj substancyi niezbędne czynniki do odzyskania utraconéj energii ruchu. Jeżeli przypuszczamy, że znużenie wywołane jest nagromadzeniem trujących substancyi w mięśniu, jak wytłómaczyć możność wypoczynku mięśnia pozbawionego krążenia krwi i nie mogącego pozbyć się tych trucizn przez jéj obieg?

Odzyskanie utraconéj energii ruchu dla mięśnia wyciętego jest następstwem pierwiastkowego oddychania, jak to wykazaném zostało w naszych doświadczeniach [1]. Ponieważ w innym artykule pisaliśmy o tém obszerniéj, więc zatrzymywać się dłużéj nad tą kwestyą nie będziemy. Przypomnimy tylko dla ścisłości, iż mięsień bez obiegu krwi, znużony w atmosferze wodoru, nie odzyskuje dawnéj energii ruchu, choćbyśmy mu dali możność długiego wypoczynku. Utrata pobudliwości jest nieodwołalną w tych warunkach. Atoli pobudliwość wraca, jeśli wprowadzimy cokolwiek tlenu pod klosz. Zbytecznėm byłoby nastawać na ten fakt, iż pobudliwość odzyskaną została dzięki wymianom gazowym, odbywającym się między mięśniem a tlenem środowiska.

Możnaby zatém wywnioskować z tych doświadczeń, iż życie ściśle anaerobiczne mięśnia daje mu dostateczną energię do kurczenia się, lecz nie daje mu dostatecznéj energii do odzyskania raz utraconéj pobudliwości. Uczestnictwo tlenu niezbędném jest w tym wypadku. A nawet ustanowićby można rodzaj stopniowania, opartego na szybkości, z jaką następuje znużenie, i na szybkości odzyskania utraconych sił; i tak, mięsień normalny (t. j. u zwierzęcia, u którego odbywa się prawidłowo krążenie i oddychanie), wystawiony na działanie powietrza, nuży się powoli i odzyskuje siły integralnie; następnie wymienić można miesień u zwierzęcia o przeciętém rdzeniu przedłużonym, oddychanie płucne jest wstrzymane, lecz u żaby w części zastąpione jest przez oddychanie skórne; mięsień bez obiegu krwi, lecz na powietrzu i mięsień z obiegiem krwi, lecz w wodorze; we wszystkich tych wypadkach wypoczynek bywa skutecznym; wreszcie mięsień bez obiegu krwi i w wodorze, żyjący życiem ściśle anaerobiczném, nie odzyskuje raz utraconych sił.

Czyż podział ten nie jest w ścisłym związku z ilością rozporządzalnego tlenu?

Wielce groźne dla mięśnia muszą być następstwa pracy dokonanéj bez dostępu powietrza. Jako przykład, przytoczyć możemy przed-

---

[1]) J. Joteyko. „*La fatigue et la respiration elémentaire du muscle.*“ Paryż, 1896 roku.

wczesne stężenie trupie, które skonstatowaliśmy dla mięśnia znużonego działaniem prądów elektrycznych pod kloszem z wodorem; gdy żabę o wyjętém sercu zamkniemy w atmosferze wodoru na godzinę lub dwie, to jedynie mięśnie, które odbyły pracę w tym gazie, dotknięte są przedwczesném stężeniem trupiém, objawiającém się już w 20 godzin po śmierci; przeciwnie, mięśnie, które pozostawały w spoczynku, choć również przez ten sam czas przebywały w wodorze, zachowały pobudliwość przez 48 godzin.

Wszystkie te doświadczenia przekonywują, iż pobudliwość mięśniowa zostaje w wysokim stopniu osłabioną w atmosferze ubogiéj w tlen, lub całkiem pozbawionéj tego gazu. Lecz skurcze anaerobiczne o wiele więcéj nużą mięsień. Wiemy, iż nawet mięsień normalny zawiéra toksyny, wynik jego działalności, leukomainy zanalizowane przez Gautiera; podczas skurczu pomnażają się one znacznie w ilości, jeżeli nie w jakości, lecz w braku tlenu nie mogą być rozłożone, nagromadzają się w mięśniu i wywołują jego porażenie i przedwczesne obumieranie.

C h e m i z m a n a e r o b i c z n y. Za wielce interesujące uważamy bliższe rozpatrzenie procesów chemicznych, odbywających się w mięśniu żyjącym bez powietrza. W tym celu zwrócimy się prawie wyłącznie do prac znakomitego chemika francuskiego, Armanda Gautiera, który w szeregu licznych prac i traktatów zapoznał nas z wynikami swych badań na tém polu. Mięso zabezpieczone od działania fermentów zewnętrznych w zamkniętém naczyniu bez tlenu [1]) nie przestaje żyć i dezasymilować się przez pewien przeciąg czasu, lecz wir życiowy wkrótce ustaje, nietylko z powodu zużycia zasobów odżywczych, lecz głównie skutkiem nagromadzenia się produktów szkodliwych, które nie znajdują dla siebie ujścia. Dostęp tlenu nie jest niezbędny dla przemiany materyi, ponieważ protoplazma posiada zdolność dezasymilowania się anaerobicznego, lecz gaz ten niezbędny jest jako czynnik przeciwtrujący. Produkta dezasymilacyi, dostarczone przez życie anaerobiczne tkanki mięśniowéj, pozostają w ściśléj zależności z temi, jakie wytwarzają się podczas normalnego życia, z tą jednak ważną różnicą, iż u żywego zwierzęcia pojawiają się one chwilowo i w nader małéj liczbie, znikają wnet, uniesione przez krew i zniszczone przez tlen. Skutkiem warunków życia anaerobicznego nagromadzają się one w tkankach; leukomainy pochodzenie swe zawdzięczają dezasymilacyi ciał białkowych bez dostępu tlenu atmosferycznego. Ciała białkowe

---

[1]) Gautier. „*Le fonctionnement anaérobie des tissus animaux*“ („*Archives de Physiologie*“, 1893).

przekształcają się w alkaloidy, odnajdujemy obficie takie leukomainy, jak newryna, cholina, neurydyna, zasady hydropirydyczne. Glikogen znikł całkowicie, zarówno jak i kwas mlekowy. Mocznika niema ani śladu.

Warunki życia anaerobicznego, urzeczywistnione w sztuczny sposób przez Gautiera dla tkanki mięśniowéj, odnajdujemy podczas normalnego życia organizmu. Ilość tlenu, jaką odnajdujemy w całości wydzielin, mówi Gautier [1]), przewyższa o jedną piątą tę ilość, jaką zwierzę czerpie z powietrza przez oddychanie. Wysnuwamy stąd wniosek, iż mniéj więcéj piąta część produktów utlenionych, znajdujących się w wydzielinach, wytworzyła się bez uczestnictwa tlenu wolnego, przez fermentacyjne rozdwojenie. Większa część komórek organizmu, zwłaszcza zaś ich części centralne, gdzie odbywają się zjawiska asymilacyi, posiadają własności redukcyjne. Przeciwnie, ich części obwodowe bezustanku wchłaniają tlen, tutaj odbywają się zjawiska utleniania, skąd wyniknie ostateczna dezasymilacya [2]).

A nawet dezasymilacya nie jest w całości aktem aerobicznym, składa się ona z dwóch faz: pierwsza z nich jest anaerobicznym rozkładem ciał białkowych, z których powstanie cukier, glikogen, tłuszcze, kwas mlekowy, w końcu mocznik, a jako produkty przejściowe—całość leukomaina. Po téj pierwszéj fazie anaerobicznéj następuje druga, w któréj ciała nieazotowe, powstałe z dezasymilacyi ciał białkowych lub pochodzące bezpośrednio z pokarmów, zostają rozłożone dzięki zjawisku utleniania, a ów rozkład aerobiczny jest twórcą energii i ciepła. Jako ostateczne produkty téj fazy, odnajdujemy kwas węglany i wodę.

Życie anaerobiczne tkanek obfituje w ciała azotowe pośrednie, między substancyami białkowemi a mocznikiem istnieje cała kategorya produktów, odznaczających się silnie posuniętemi własnościami trującemi. Tlen występuje czynnie jako niszczyciel tych trucizn i tym sposobem odgrywa ważną przeciwtrującą rolę w organizmie.

Znakomity chemik francuski dowiódł z całą ścisłością, iż niema takiéj tkanki zwierzęcéj, którаby funkcyonując nawet normalnie nie wytwarzała leukomain [3]). „Stosownie do tego, czy tkanki otrzymują i wchłaniają większą lub mniejszą ilość tlenu, stosownie do tego, czy nerki działają mniéj lub więcéj prawidłowo, leukomainy utleniają się, znikają lub nagromadzają w organach i za pośrednictwem systemu

---

[1]) Gautier. „*Les alcaloïdes dérivés des matières proteiques et de la vie de tissus*“ („*Journal de l'anatomie et de la physiologie*“, 1881).

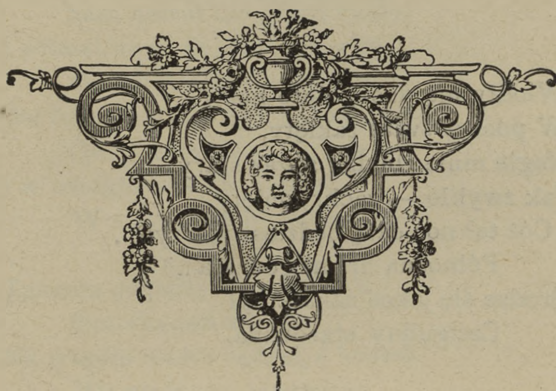
[2]) Gautier. „*La Chimie de la cellule vivante.*“ Paryż, 1894.

[3]) Gautier. „*Les toxines microbiennes et animales.*“ Paryż, 1896.

nerwowego stają się czynnikami zaburzeń, charakteryzujących daną chorobę." Nietylko zaś produkty powstałe z życia tkanek, lecz trucizny pochodzenia bakteryjnego tracą w całości lub w części szkodliwe swe własności dzięki interwencyi tlenu.

Przeciwtrujące działanie tlenu jest przeto zjawiskiem ogólném, jednym z najenergiczniejszych i najważniejszych sposobów obrony. Na tę własność tlenu pragnęliśmy właśnie zwrócić uwagę czytelników w niniejszéj pracy, czerpiąc głównie przykłady z życia tkanki mięśniowéj, która bez dostępu powietrza żyje istnieniem niekompletném, połowiczném, i wkrótce ginie, otruta produktami, wytworzonemi przez życie jéj włókien, nie będąc zdolną pozbyć się ich bez tlenu. A praca w tych warunkach, zwłaszcza praca doprowadzona do znużenia, jako obfitująca w substancye szkodliwe dla mięśnia, jest sygnałem szybkiéj i nieodwołalnéj zagłady.

Dr. Zofia Joteyko.



ZÉGAR.

FANTAZYA.



Wiodły mą duszę złote mary
W poezyi świat zaklęty,
Nagle mnie zbudził zégar stary,
Jak zwykle — zachrypnięty.
„Cóż to? noc całą będziesz marzył?...
　　Północna brzmi godzina..."
Srodze się jakoś zakatarzył
　　Czcigodny starowina.

„Ach, z tą młodzieżą! żyć nie miło!
Oj, jak mnie bolą kości!
A wolno spytać, co się śniło?
O kwiatkach? o miłości?
Co? muzy pewnie? Co? królewny?
　　Śliczny sen! cha! cha! śliczny!" —
Tu się zakasłał dziaduś gniewny:
　　Miał atak astmatyczny!

Stetryczał dobry mój staruszek,
Rad gderać, jak niewiasta, —
Dawno młodzieńczy stracił puszek:
Pamięta wiosen dwa sta!
Niegdyś wskazówki z gładkiém licem
Złocone miał po pańsku, —
Angielski mistrz mu był rodzicem,
A na świat przyszedł — w Gdańsku!

Widząc, że dziaduś nie w humorze,
Na przekór wszcząłem kłótnię:
Ja chwalę sławę — pieśni — zorzę,
On spluwa, zły okrutnie!
Kazał mi w końcu dać tabaki,
Przeprosił za ambaras:
„Poczekaj, smyku, kiedyś taki,
Pokażę ci coś zaraz!"

Drzwi się bez szmeru otworzyły,
Sam nawet nie wiem kiedy,
I wionął na mnie dech mogiły
Od dziwnych mar czeredy.
Ów brząka w szablę z butną pychą,
Ów głaska się po krezie, —
I w wielkiéj sali suną cicho
W straszliwym polonezie.

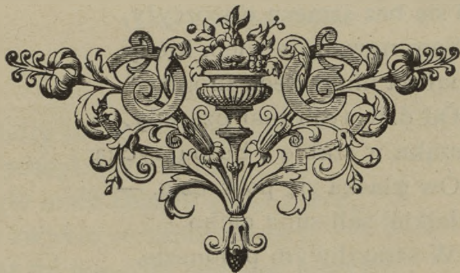
Tancerz ochoczy do miłostek
Oczodołami zerka,
Na trupim nosku rączką z kostek
Wygraża mu tancerka.
Chrapiąc na sofie, tną tercecik
Trzy butwiejące mamy,
A chwacki szkielet dmucha w flecik
Z piszczela pięknéj damy.

Księżyc, by sina płonie świéczka,
Przygląda się i słucha,
Zaś, jako balu kierowniczka,
Zjawiła się kostucha.

Siadła okrakiem na zégarze,
Do taktu kosą macha, —
Do niéj się śmieją trupie twarze
Tancerek — grajków — gacha.

Suną widziadła krok po kroku,
Muzyki cichną echa,
A zégar na mnie patrzy z boku,
Szydersko się uśmiecha.
I budzi w sercu mém zawiłość
Myśl straszna i żałosna:
Na tém się kończy nasza miłość!
Poezya! — sława! — wiosna!

Or-ot.



O niektórych nowszych próbach

KLASYFIKACYI UMIEJĘTNOŚCI.[1]

Próby klasyfikacyi umiejętności ostatniemi czasy stają się coraz częstsze. Zdaje się, że można widziéć w tém dowód potrzeby, któréj jeszcze nie zdołano uczynić zadość. Godném téż jest uwagi, że we wszystkich niemal próbach nowszych przebijają się dwa motywa zasadnicze, wytknięte w dwóch równoczesnych klasyfikacyach dawniejszych: Comte'a i Ampère'a.

Przez czas wszechwładnego panowania pozytywizmu większa część prób grupowała się dokoła zasadniczéj szóstki Comte'a [2]), chociaż sam twórca pozytywizmu zamienił ją niebawem na siódemkę przez dodanie do nauk o świecie widzialnym naukę o niepochwytnych dla

---

[1]) Przedmiotowi temu poświęcił p. S. Dickstein artykuł, umieszczony w „Ateneum", 1889, I. Nie chcąc powtarzać tego, co już było powiedziane, biorę tu pod uwagę tylko systemata nowsze, lub pominięte w wymienionym artykule. Prócz tego, nadmienić należy o „Klasyfikacyi nauki" B. Limanowskiego („Przegl. Tyg."— „Dodatek miesięczny", sierpień, 1888), W. M. Kozłowskiego o „Klasyfikacyi umiejętności" (Warsz., 1896), oraz o „Klasyfikacyi nauk matematycznych" Hoene-Wrońskiego (ob. S. Dicksteina. „Hoene-Wroński, jego życie i prace." Kraków, 1896); H. Struwe we „Wstępie do Filozofii" poświęca temu przedmiotowi osobny rozdział (str. 113 — 119), w którym podaje także własny zarys ogólny klasyfikacyi umiejętności.

[2]) Matematyka, astronomia, fizyka, chemia, biologia, socyologia.

zmysłów stosunkach moralnych, a siódemkę tę ściągnął do piątki, która tak się przedstawia:

I. Nauka o ziemi czyli kosmologia	Abstrakcyjne, czyli nauki o istnieniu powszechném (z początku liczebne, później geometryczne, wreszcie mechaniczne	1. **Matematyka**		
	Konkretne, czyli nauki o porządku materyalnym	2. **Fizyka**	niebieska = *Astronomia*	
			ziemska	ogólna = *Fizyka*
				szczegółowa = *Chemia*
II. Nauka o człowieku czyli socyologia	Wstępna, czyli nauka ogólna o życiu	3. **Biologia**.		
	Ostateczna, czyli nauka właściwa o człowieku	zbiorowym — 4. **Socyologia**		
		pojedyńczym — 5. **Etyka**.		

Pierwszą gromadę nazywa umiejętnością przygotowawczą, czyli filozofią materyalną, drugą — umiejętnością ostateczną, czyli filozofią moralną [1]).

Ta ostateczna forma klasyfikacyi Comte'a, podpisana przez niego według kalendarza pozytywnego 10 Dantego roku 64 (sobota, 24 lipca 1852 r.), a którą pozwoliliśmy sobie przytoczyć ze względu, iż jest u nas mniéj znaną, nie wpłynęła prawie nic a nic na późniejsze klasyfikacye pozytywistyczne, które za punkt wyjścia obiérały sobie zwykle umieszczoną na początku „Kursu" szóstkę. Nie da się wszakże zaprzeczyć, iż ta klasyfikacya ostateczna przewyższa początkową; nietylko bowiem jest kompletniejszą (dodając etykę jako osobną gałąź wiedzy), ale i lepiéj określa współrzędność i zależność umiejętności (łącząc razem astronomię, fizykę i chemię), wreszcie zaznacza różnorodność stanowisk, z których możemy się na nie zapatrywać: ze stanowiska podziału dogmatycznego mamy tu kosmologię i socyologię; ze stanowiska historycznego (t. j. porządku, w którym nauki rozwijają się po sobie), który jest zarazem i pedagogicznym, t. j. porządkiem w jakim należy je studyować — filozofię materyalną i moralną (czyli o porządku zewnętrznym i o porządku ludzkim).

Prawie jednocześnie z pierwszemi tomami „Kursu filozofii pozytywnéj" wyszło dzieło znakomitego fizyka i matematyka A. M. Am-

---

1) „*Catéchisme positive*", str. 62.

père'a, którego sława fizyko matematyczna zaćmiła rozgłos jego, jako filozofa, p. t. „*Essai sur la philosophie des sciences ou exposition analitique d'une classification naturelle de toutes les connaissances humaines*" [1]). Autor ten wychodził z przeciwnego niż Comte stanowiska i objął bez porównania głębiéj i wszechstronniéj ogół wiedzy ludzkiéj, któréj ostatecznych gałęzi (nauk szczegółowych) nalicza niemniéj jak 128, grupując je według systematu „naturalnego", t. j. w myśl przyjętego wówczas w historyi naturalnéj podziału Jussieu'a: na królestwa, podkrólestwa, klasy i t. d.

Nie będę zatrzymywał się długo nad tą klasyfikacyą, któréj zarys ogólny podałem w inném miejscu [2]); chcę tu jedynie przypomniéć, w jaki sposób doszedł Ampère do tych czwórek, które stanowią końcowe rozgałęzienia jego drzewa klasyfikacyjnego, albowiem myśl tę odnajdujemy w jednéj z najnowszych prób klasyfikacyi umiejętności.

Kiedy Comte, zapatrując się ze stanowiska najogólniejszego na systemat wiedzy pozytywnéj, jakby na całość, podzielił ją na pewną ilość nauk szczegółowych, stanowiących jakby rozdziały książki, naturalne ugrupowanie w j e d e n s z e r e g materyału, który pomimo to nie przestaje być całością nierozerwalną, za punkt wyjścia dla Ampère'a służył podział jednéj z umiejętności — mianowicie fizyki, od któréj stopniowo, drogą analogii, przechodził do innych, a w ten sposób, wznosząc się od szczegółów do widoków coraz ogólniejszych, ogarnął cały ogrom przedmiotów wiedzy w swoją r o z g a ł ę z i o n ą klasyfikacyę.

W r. 1829 powierzono mu wykład fizyki doświadczalnéj w *Collége de France.* Rozważając wówczas stosunek fizyki doświadczalnéj do matematycznéj, przyszedł do ustanowienia dwojakiego punktu widzenia w każdéj umiejętności.

„Według jednego z tych punktów widzenia przedmioty badane rozważamy same w sobie, według drugiego — w pewnym wzajemnym stosunku, t. j. porównywamy fakta, aby wyciągnąć prawa ogólne, lub też aby jedne wytłómaczyć przez drugie, dopóki nie dojdziemy od skutków do ich przyczyn i nie zdołamy przewidziéć następstwa, skoro znane będą przyczyny."

„Zauważyłem następnie, powiada znakomity fizyk, że każdy z tych punktów widzenia zasadniczych dzieli się na dwa podrzędne. Tak, o ile rozważamy przedmioty same w sobie, możemy bądź studyować tylko to, co daje się bezpośrednio obserwować, bądź też zająć się

---

[1]) Paris, I tom 1834 r., drugi 1843 r.

[2]) „Klasyfikacya umiejętności ze stanowiska potrzeb wykształcenia ogólnego." Warsz., 1896.

badaniem tego, co jest początkowo ukrytém, a co wykryć potrafimy jedynie analizując lub tłómacząc fakta" (*l. c.*, str. VII—VIII).

Stosując ten pogląd do fizyki ogólnéj, dzieli ją początkowo na elementarną, badającą zjawiska same w sobie, i na matematyczną, wznoszącą się do praw i przyczyn. Daléj zaś pierwszą z nich dzieli na fizykę doświadczalną, która studyuje zjawiska dostępne obserwacyi bezpośredniéj, i chemię, wymagającą ściślejszéj analizy.

Drugi dział (fizyka matematyczna) ulega również podziałowi według dwóch stanowisk podrzędnych. „Według jednego, badamy zmiany po sobie następujące przedmiotu, czy to w tém, co możemy w nim wykryć bezpośrednio, czy téż drogą analizy i tłómaczenia faktów, w celu odkrycia praw tych zmian, a gdy to jest możliwe, porównywamy, co spostrzegliśmy w jednym przedmiocie z tém, co daje się widziéć w innych, aby, o ile pozwala natura rzeczy, uogólnić prawa w ten sposób znalezione. Przy zastosowaniu drugiego stanowiska, za punkt wyjścia obieramy wyniki, otrzymane w trzech działach poprzednich, aby wykryć przyczyny faktów znalezionych przy zastosowaniu dwóch pierwszych punktów widzenia podrzędnych i praw zdobytych przy zastosowaniu trzeciego i żeby w końcu przewidziéć skutki, jako następstwa przyczyn znanych" (*l. c.*, str. VIII—IX).

Zastosowanie tych dwóch nowych stanowisk podrzędnych daje podział fizyki matematycznéj na dwie: stereonomię — naukę wyszukującą prawa, które rządzą zmianą własności ciał, zależnie od zmian wpływów zewnętrznych (np. zależność sprężystości pary od temperatury i t. p.), czyli matematyczne stosunki pomiędzy czynnikami fizycznemi; atomologię — naukę o siłach międzycząsteczkowych, jako ostatecznych przyczynach wszystkich zjawisk fizycznych.

W ten sposób podział całkowity fizyki ogólnéj tak się przedstawia:

Fizyka ogólna	elementarna	Fizyka doświadczalna
		Chemia
	matematyczna	Stereonomia
		Atomologia

Czwórka ta odpowiada początkowéj dewizie Comte'a: *savoir pour prévoir*, gdyż 4-ta umiejętność daje teoryę ogólną, na któréj podstawie możliwe jest przewidzenie skutków według przyczyn. Późniéj, mając bardziéj człowieka na celu, a mniéj troszcząc się o czystą wiedzę, dodał Comte do tego—*afin de pourvoir*; ten drugi cel wiedzy—wiedzę stoso-

waną obejmuje u Ampère'a obok stojąca umiejętność ogólna—dla fizyki technologia, która również dzieli się początkowo na elementarną i porównawczą, a każda z tych znowuż na dwie gałęzie końcowe.

Tak samo obok geologii — która dzieli się na elementarną i porównawczą z podpodziałami na geografię fizyczną (opisową), mineralogię (analityczną), geonomię (prawa wzajemnego stosunku skał i minerałów) i teoryę ziemi (ogólne przyczyny tych praw) — znajdujemy oryktotechnikę czyli górnictwo z właściwemi działami i poddziałami, obok botaniki — rolnictwo, obok zoologii zootechnikę i t. d. Umiejętności matematyczne i astronomiczne nie mają oczywiście odpowiednich sobie stosowanych.

Posuwając się coraz dalej w tym kierunku, Ampère ugrupował w czwórki nietylko wszystkie umiejętności kosmologiczne (o świecie), ale i noologiczne (o duchu), nazywając te gałęzie końcowe umiejętnościami trzeciorzędowemi, poprzedzające je działy—drugorzędowemi, pierwszorzędowemi zaś te, które obejmują wszystkie wiadomości, dotyczące pewnego przedmiotu.

Niebawem dostrzegł Ampère związek naturalny swoich czwórek z przebiegiem rozwoju myśli ludzkiéj indywidualnéj i zbiorowéj.

„Jakikolwiek jest przedmiot jego studyów, człowiek zaczyna od tego, że zbiéra fakta, czy to fizyczne czy umysłowe lub moralne, tak jak je bezpośrednio obserwuje; następnie poszukuje tego, co jest niejako ukryte za owemi faktami; dopiéro po tych poszukiwaniach, odpowiadających dwom stanowiskom podrzędnym zawartym w pierwszém głównem, może porównywać wyniki i wyprowadzać prawa; od tych zaś może wznieść się do przyczyn" (*l. c.*, str. XX).

Są to 4 okresy dziejowe, odpowiadające czterem okresom w rozwoju umysłowości jednostkowéj, które był zaznaczył już w obszernéj pracy nad historyą umysłowości ludzkiéj, rozpoczętéj w r. 1804-ym. „Dostrzegłem—powiada on — że istnieje ścisła współrzędność między temi czterema stanowiskami a czterema okresami, które ustanowiłem w dziejach postępu umysłu ludzkiego, zaczynając od pierwszych wrażeń i ruchów, dających dziecku poznać jego istnienie, aż do chwili gdy oświecony przez obcowanie z bliźnimi i przez wpływ kształcący sztuk i umiejętności, wznosi się człowiek na najwyższy szczebel poznania, do jakiego mu dojść przeznaczono."

Tak samo więc, jak u Comte'a, zasada podziału wskazuje zarazem i następstwo historyczne oraz pedagogiczne umiejętności, ale tylko w stosunku do pojedyńczych gałęzi obejmujących ten sam przedmiot

(nauk trzeciego rzędu), co może więcéj zbliża się do rzeczywistości historycznéj, niż hierarchia Comte'a.

Jak pojmował Ampère historyczny rozwój umysłowości ludzkiéj, okaże to następujący urywek z niewydanego szkicu, p. t. „*Plan d'une histoire de l'intelligence humaine*" [1]):

„Ze stanowiska umysłowego człowiek ma zdolność nabywania i zachowywania wiedzy. Pierwsza dzieli się na trzy poddziały zasadnicze: nabywamy wiedzę przez zmysły, przez rozwinięcie czynności (zakresu ruchu), która pozwala nam wykryć przyczyny, wreszcie przez zastanowienie, które można nazwać zdolnością dostrzegania stosunków, a którą stosujemy zarówno do wytworów zmysłowych jakoteż władz czynnych. Stosunki pomiędzy pierwszemi dostrzegamy drogą porównania, pomiędzy drugiemi — przez obserwowanie następstw, jakie wywołują przyczyny. Wszystkie więc zjawiska, które dostrzegamy w świecie intelektualnym, rozdzielić możemy na cztery systemata: systemat spostrzegania, systemat ruchu, systemat porównawczy i systemat przyczynowy."

Widzimy z tego wszystkiego, że systemat umiejętności Ampère'a był i głębiéj pomyślany i bardziéj szczegółowo wypełniony, że wreszcie więcéj odpowiadał rzeczywistéj mnogości gałęzi wiedzy, niż klasyfikacya Comte'a, któréj zaletami niezaprzeczonemi są wszakże wielka jasność myśli zasadniczéj i ogromna ogólność. Dlaczegoż klasyfikacya Comte'a wywarła taki wpływ stanowczy na wszystkie próby późniejsze, stała się tak popularną, kiedy o Amperze zaledwie coś wiedzą?

Prócz większéj przystępności pierwszéj, główną przyczyną, zdaje mi się, była ta, że systemat swój Comte urzeczywistnił, Ampère zaś tylko nakréślił. Każda klasyfikacya pociąga naturalnie za sobą potrzebę stworzenia odpowiedniego systematu ugrupowanych według niéj przedmiotów. Jest ona niejako spisem rzeczy do księgi wiedzy. Systemat taki znajdujemy w kursie Comte'a.

Wiek XVIII ty stworzył „Encyklopedyę" wiadomości nieusystematyzowanych (chociaż z klasyfikacyą na czele); wielkiém zadaniem, którego domaga się natarczywie nasze stulecie, jest systemat umiejętności filozoficznie poczęty, ale niezależny od wszelkich metafizycznych opinii. Potrzebie téj zadość uczynić zapragnęły przedewszystkiém wielkie systemata filozofii idealistycznéj — Fichtego, Hegla, Schellinga, które usiłowały ogarnąć cały świat i wszystkie umiejętno-

---

[1]) Przytoczony u St.-Beuve'a: „*Illustrations scientifiques*" w „*Revue de deux Mondes*", 1837. 15 fevr.

ści [1]) o nim zlać w jeden systemat, ale wszystko widziały przez pryzmat swojéj indywidualnéj metafizyki. Gdy ta metafizyka została zachwianą, a potrzeba ogarnięcia całości wiedzy domagała się swego spełnienia, wynikła z niéj przedewszystkiém potrzeba wytworzenia planu, według którego mógłby być wykonany podobny systemat wiedzy zupełnie niezależny od panujących chwilowo poglądów filozoficznych, które jako związane z uczuciowością i dziedziną wiary, zbyt łatwo ulegają zmianom pod wpływem warunków dziejowych. Z téj potrzeby urosły powstające jednocześnie klasyfikacye Comte'a i Ampère'a z niéj wynika większość prób późniejszych.

Każdą z nich możemy więc uważać niejako za plan tylko większego dzieła—S y s t e m a t u w i e d z y, niejako za spis rzeczy do niego ułożony, a plan chociażby najlepszy mniéj znaczy, niż samo dzieło. „Kurs filozofii pozytywnéj" był takiém dziełem, był próbą ujęcia w jedną całość systematyczną całości wiedzy ludzkiéj, próbą, do któréj wykonania przyczyniły się nietylko ogromna siła woli i wytrwałość autora, ale i względna prostota samego planu.

Jeśli jednak wertując sześć tomów „Kursu", zawierających niejako tylko kwintesencyę wiedzy ówczesnéj, zmuszeni jesteśmy podziwiać ogrom pracy i umiejętności autora, to jakichże niezwykłych zdolności, jak długiego życia wymagałoby podobneż wypełnienie 128 podziałów systematu Ampère'a?

Jednakże myśl ta nie była mu obcą; w liście Ballanche'a pisanym do niego w r. 1806 czytamy [2]):

„Powiedziałem mu [3]), że pan ma plan kursu, który ma wszelkie widoki powodzenia: obejmowałby on wszystkie umiejętności, biorąc z każdéj to, co wystarcza, ażeby dać o nich pojęcie, wysnuwając z nich zjawiska ogólne, wykazując punkta styczności i dając to, coby można nazwać filozofią czyli uogólnieniem całéj wiedzy ludzkiéj."

Łatwo poznajemy w tym planie myśl „Kursu" Comte'a, nakréśloną na dwadzieścia lat przed jéj wykonaniem przez tego ostatniego; bo to, co Comte nazwał filozofią pozytywną, jest tylko takiém uogólnie-

---

[1]) Już sama nazwa systematu Fichtego: „Nauka umiejętności," wskazuje taki zamiar; ujawnia się on i w Heglowskim podziale filozofii, który jest właściwie klasyfikacyą umiejętności, i w Schellingowskiéj „Filozofii przyrody".

[2]) Przytoczonym w wyżéj cytowaném studyum St.-Beuve'a.

[3]) Mowa tu o Kamilu Jordan, który miał zamiar urządzenia w Lyonie szeregu kursów publicznych pod nazwą *Salon des Arts*, nakształt paryskiego *Athénées*. Ta obszerna dążność do popularyzacyi wiedzy w owym czasie wiąże się również z potrzebą jéj usystematyzowania i jest może jéj główną przyczyną.

niem wiedzy, pozbawionéj właśnie wszelkiéj zależności od filozofii, któréj twórca pozytywizmu zaprzeczał prawa do bytu niezależnego.

I Ampère nie porzucał myśli wykonania tego planu, którego szkicem jest jego klasyfikacya umiejętności. W tém samém dziele powiada on:

„Gdyby czas pozwolił mi napisać traktat obszerniejszy, nie ograniczyłbym się do dania ogólnego pojęcia o każdéj z umiéjętności, lecz starałbym się wyłożyć prawdy zasadnicze, na których spoczywa; metody, któremi posługiwać się należy, tak dla jéj poznania, jako też dla dalszego postępu saméj umiejętności; postępy, jakich się należy spodziewać według osiągniętego dotychczas stopnia doskonałości. Zaznaczyłbym nowsze odkrycia, wskazałbym cel i główne wyniki prac znakomitych badaczy, a tam, gdzie uczonych dzieli różnica zdań co do samych podstaw umiejętności, wyłożyłbym i porównał ich systematy, wykazałbym źródło niezgodnych opinii i wskazał jak można połączyć to, co w każdéj jest niezaprzeczalném)" [1]).

W wykonaniu właśnie tego, co Ampère tylko zamierzał, tkwi tajemnica powodzenia Comte'a. Nie mniej jednak dzieło Ampère'a jest czémś więcéj niż te liczne klasyfikacye nowsze, rzucane często na prędce, nad którémi krytyka i historya przechodzą do porządku dziennego, a wpływ jéj dostrzeżemy w późniejszych próbach aż do dni dzisiejszych.

W czterdzieści lat po wyjściu drugiego tomu „Filozofii Nauk" Ampèra, ukazało się dzieło również dwutomowe, p. t.: „*Théorie des Sciences; plan d'une science intégrale*" par L. Bourdeaux (Paryż 1882). Znajdujemy w niém Amperowskie czwórki, zastosowane zresztą w całkiem innym systemacie.

„Umysł ludzki, powiada autor, mając za punkt wyjścia niewiedzę zupełną, szuka naprzód prawdy po omacku, bez planu i metody... Znajduje i zbiera pewną ilość danych, które układa nieściśle w sztuczne ramki."

„Gdy jednak ta pierwsza praca została wykonaną, następuje potrzeba uporządkowania zdobyczy dla utworzenia systematów, w których wiadomości nabyte łączą się i klasyfikują." Wreszcie wyniki takiéj wiedzy systematycznéj znajdują zastosowanie.

Ztąd więc trzy stopnie w rozwoju wiedzy: 1) przygotowanie nieściśle; 2) koordynacya logiczna; 3) zastosowanie płodne.

Drugi stopień stanowi właściwą wiedzę — „*les sciences par excellence*".

---

[1]) „*Essai sur la Philosophie des Sciences*", str. 22.

Wszystkie umiejętności, razem wzięte, stanowią wiedzę całkowitą *(science intégrale)* składającą się z 7 rozmaitych przedmiotów, z których każdy daje początek czterem naukom; gdyż każdy z początku ulega analizie, która może dotyczyć bądź faktów elementarnych czyli stałych, bądź złożonych czyli zmiennych, następnie zaś syntezie, która może dotyczyć szeregów stosunków (częściowych) lub ich ogółu (ogólna).

Przedmiotami są: 1. Ontologia pozytywna czyli logika — nauka jakości (realności); 2. Metrologia czyli matematyka — nauka wielkości; 3. Tezeologia czyli dynamika — nauka położeń. 4. Pojologia czyli fizyka — nauka modalności (stanów). 5. Krazeologia czyli chemia – nauka połączeń. 6. Morfologia—nauka form. 7. Prakseologia — nauka czynności.

Każdemu z tych przedmiotów odpowiada osobna metoda: ontologia posługuje się metodą intuicyi, t. j. bezpośredniego ujęcia czyli stwierdzenia objawiającéj się nam realności przedmiotów. Metodą metrologii jest dedukcya, określająca logiczną miarę wielkości; tezeologia (dynamika) postępuje drogą obserwacyi; pojologia czyli fizyka drogą doświadczenia; metodą chemii jest integracya, morfologii — porównanie, prakseologii — łączność *(connexion)*.

Cały systemat umiejętności, czyli wiedza całkowita *(science integrale)* z jéj podziałami przedstawiony jest na załączonéj tablicy (str. 304)

Nie potrzebujemy wytykać sztuczności tego systematu, który wysnuty z apriorycznych rozumowań, a oparty na dogmatycznym empiryzmie w pojmowaniu świata, nie liczy się z rzeczywiście istniejącemi umiejętnościami, a odrzuca najspokojniéj całe zakresy wiedzy, jak historyę z jéj umiejętnościami pomocniczemi, nauki prawne, społeczne, teoryę sztuki, filozofię, etykę i t. d., pomijając już umiejętności opisowe i wiedzę stosowaną.

Rzut oka na załączoną tu tablicę przekonywa nas, że jest ona połączeniem podziału według przedmiotów nauk Comte'a z czwórkami Ampère'a. Tylko że przedmioty wzięte są inaczéj — może zgodniéj z współczesnym poglądem przyrodniczym: na stopniową komplikacyę zjawisk i na pedagogiczny porządek nauk, ale za to pozbawione podstawy historycznéj — od stosunków jakościowych, przechodzi się do miary; daléj idzie nauka ogólna o ruchu, jako wstęp do fizyki; fizyka stanowi podstawę naukową chemii, a morfologia (anatomia) poprzedza fizyologię.

Przykład ten wykazuje, w jakim stopniu myśl dwóch wielkich myślicieli z początku bieżącego stulecia panuje nad najnowszemi klasyfiakcyami umiejętności.

Wiedza całkowita o rzeczach.

Podział umiejętności.

Przedmiot umiejętności	Fenomenologia czyli analiza faktów:		Cenologia, czyli synteza stosunków:		Metoda nauki
	Elementarnych czyli stałych	Złożonych czyli zmiennych	Szczegółowych cz. rzędowych	Ogólnych cz. całości	
1. **Ontologia** pozytywna, cz. **logika**, nauka o realnościach	Ontologia elementarna: nauka o ideach przedmiotowych	Ontolog. specyalna: nauka o ideach podmiotowych	Ontologia porównawcza: n. o kojarzeniu idei	Ontologia ogólna: nauka o utożsamieniu idei	Intuicya
2. **Metrologia** cz. **matematyka**: nauka o wielkościach	Matematyka elementarna: nauka o liczbach.	Matematyka specyalna: nauka o rozciągłości.	Mat. porównawcza: nauka o stosunku wielkości	Mat. ogólna: nauka o zrównaniach wielkości	Dedukcya
3. **Tezeologia** cz. **dynamika**: nauka o położeniach	Dynamika elementarna: nauka o równowadze	Dyn. specyalna: nauka o ruchu	Dynam. porównawcza: nauka o wypadkowych skutków	Dynam. ogólna: nauka o prawach rozmieszczenia.	Spostrzeżenie
4. **Pojologia** czyli **fizyka**: nauka o stanach	Fizyka elementarna: nauka o stanach stałych	Fizyka specyalna: nauka o stanach zmiennych	Fizyka porównawcza: nauka o stosunku stanów	Fizyka ogólna: nauka o jedności sił fizycznych	Doświadczenie
5. **Krazeologia** cz. **chemia**: nauka o połączeniach	Chemia elementarna: nauka o substancyach stałych	Chemia specyalna: nauka o substancyach zmiennych	Chemia porównawcza: n. o stopniach połączenia	Chemia ogólna: nauka o prawach połączenia	Integracya (całkowanie)
6. **Morfologia**: nauka o formach	Morfologia elementarna nauka o materyałach budowlanych	Morfologia specyalna: nauka o typach (*modes*) budowy	Morfol. porównawcza: n. o stosunkach plastycznych	Morf. ogólna: nauka o prawach ukształtowania	Porównanie
7. **Prakseologia**: nauka o czynnościach	P. elementarna: nauka o czynnościach cielesnych	P. specyalna: nauka o czynnościach duchowych	P. porównawcza: nauka o stosunku czynności	P. ogólna: nauka o prawach czynności	Łączność

Zupełnie odmienny punkt wyjścia ma klasyfikacya twórcy francuskiego fenomenalizmu — Karola Renouvier [1]). Gdy Boutroux jest dogmatykiem empiryzmu przyrodniczego, ograniczającego całą wiedzę do tego, co nazywamy pospolicie „przyrodą”, Renouvier opiéra się na krytycyzmie Kanta. Podział jego polega przedewszystkiém na rozdzieleniu całego obszaru wiedzy na dwie wielkie części: N a u k i obejmujące t. zw. wiedzę ścisłą i umiejętności mniéj doskonałe lub sporne, które obejmuje pod nazwą k r y t y k i.

Nauki znowuż dzielą się na dwie gromady: I L o g i c z n e mają za przedmiot stosunki ogólne i abstrakcyjne umysłu oraz jego formy niezależnie od przedmiotów pojedyńczych i od treści wrażeń. Dział ten obejmuje dwie gałęzie:

Nauki: 1) j a k o ś c i o w e *(Peoïlogie)*— l o g i k a formalna i g r a m a t y k a powszechna; 2) i l o ś c i o w e *(Posologie)* — mające za przedmiot ilość, położenie, następstwo, stawanie się.

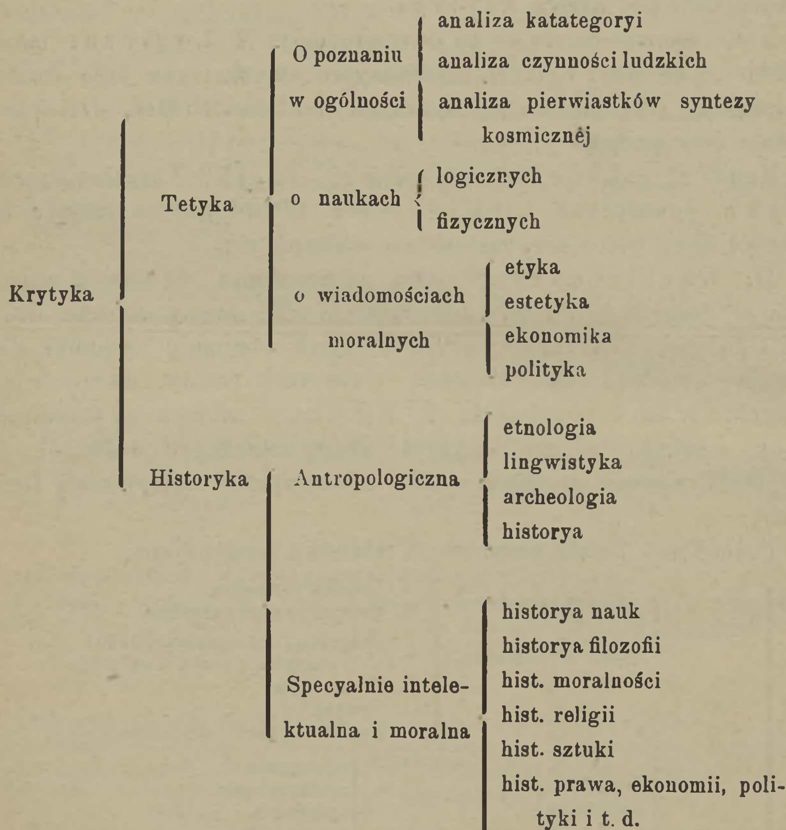
II. N a u k i f i z y c z n e mają za przedmiot téż same stosunki wzięte w porządku wrażeń i doświadczeń. Tu mamy znowuż dwie wielkie gałęzie: 1) H i s t o r y a N a t u r a l n a obejmuje stosunki dostrzegane, opisane i uklasyfikowane w utworach natury, dawnych lub obecnych, i w ich czynnościach; 2. F i z y k a — mająca za przedmiot stosunki abstrakcyjne istot, wykryte drogą sztucznych doświadczeń, a usystematyzowane możliwie przez zastosowanie umiejętności logicznych.

Całość tego działu przedstawia tabliczka następująca:

- Nauki
  - logiczne
    - jakości *(Poïologie)*
      - A. Logika formalna
      - B. Gramatyka powszechna
    - ilości *(Posologie)*
      - A.
        - Algebra (liczba symboliczna)
        - Arytmetyka (liczba konkretna)
      - B. Geometrya
      - C. Dynamika
      - D. Rachunek prawdopodobieństwa
  - fizyczne
    - Historya naturalna
      - A.
        - Kosmologia
        - Geologia
          - geografia
          - mineralogia
          - geologia
          - meteorologia
      - B.
        - Botanika
          - botanika
          - chemia roślinna
        - Zoologia
          - zoologia i antropologia
          - chemia zwierzęca
    - Fizyka
      - A.
        - Astronomia
        - Fizyko-chemia
          - fizyka specyalna
          - chemia
          - analiza matematyczno-fizyczna i chemiczna
      - B. Biologia

[1]) Umieszczona w „*Principes de la Nature*“, 1892, str. LXXVIII.

Dział **krytyki** ma za przedmiot wszystkie stosunki a mianowicie: przyczynowości, celowości i osobowości we wszechświecie i człowieku, jako istocie osobowéj i społecznéj. Dwoma poddziałami są tu: I. *Thétique* — uogólniająca i II. *Historique* — dotycząca przeszłości (opowieściowa), lub teraźniejszości (opisowa) z poddziałami na antropologiczną i czysto umysłową i moralną. Całość **krytyki** tak się przedstawia:



Trzy górne gałęzi tetyki odpowiadają umiejętnościom teoretyczno filozoficznym: teoryi poznania, psychologii i metafizyce (teoryi przyrody); dwie środkowe — teoryum umiejętności, wreszcie etyka i estetyka — filozofii praktycznéj. Wogóle zaś w całym systemacie trafnie wydzielone są główne typy umiejętności: 1) dedukcyjnie formalne (logika i matematyka); 2) opisowo-spostrzegawcze (hist. naturalna); 3) indukcyjne (fizyka), 4) analityczno filozoficzne (tetyka), 5) historyczne.

W oryginalnéj książce, która dziwnie miesza dogmatyzm metafizyki przyrodniczéj ze sceptycyzmem teoretyczno-poznawczym — mam na myśli „Gramatykę wiedzy K. Pearsona [1])—znajdujemy klasyfikacyę umiejętności, którą zaliczyć możemy do pozytywistycznych. Jest to w istocie klasyfikacya Comte'a, skondensowana co do głównych działów (których tu znajdujemy tylko trzy), a rozwinięta w ich gałęziach.

Pearson dzieli przedewszystkiém umiejętności na abstrakcyjne i konkretne, chociaż nadaje tym terminom odmienne niż u Comte'a znaczenie. Biorąc za punkt wyjścia wrażenie jako źródło wszelkiego poznania, otrzymuje on podział zasadniczy na nauki abstrakcyjne, zajmujące się formą wrażeń, i konkretne, których przedmiotem jest treść wrażeń. Przedmiotem więc wiedzy abstrakcyjnéj są ogólne stosunki rozróżnienia, które mogą być ilościowe albo jakościowe. Pierwsze stanowią przedmiot matematyki, drugie logiki; zasadniczą część ostatniéj stanowi ortologia, t.j. nauka o właściwém użyciu języka. Cała ta gromada odpowiada „naukom logicznym" Renouviera. O dalszym ich podziale daje pojęcie następująca tabliczka:

A. Umiejętności abstrakcyjne (Sposoby rozróżnienia).

Ogólne stosunki rozróżnienia			Stosunki właściwe dla czasu i przestrzeni				
Jakościowe	Ilościowe		Przestrzeń: Rozróżnienie przez umiejscowienie		Czas: Rozróżnienie przez następstwo		
	Wielkości dyskretne	Wielkości zmienne	Jakościowe (Położenie)	Ilościowe (Wielkość)	Jakościowe	Ilościowe	
Logika, Orthologia, Metodologia	Arytmetyka, Algebra, Miernictwo, Teorya błędów. Rachunek prawdopodobieństwa, Statystyka i t. d.	Teorya funkcyi, Rachunek różniczkowy, Rachunek całkowy i t. d.	Geometrya opisowa	Geometrya miary, Trygonometrya, Miernictwo i t. d.	Teorya obserwacyi i opisu (połączona z Logiką)	Teorya natężenia (*Strain*) Zmiana wielkości i kształtu	Cynematyka (zmiana położenia)

[1]) „*The Grammar of Science*" *by* Karl Pearson, London 1893.

Umiejętności konkretne dzielą się na dwa wielkie działy: zjawisk nieorganicznych i organicznych.

Naukę o zjawiskach nieorganicznych dzieli na dwie grupy: nauki fizyczne ścisłe, t. j. umiejętności zredukowane do wyobrażalnych ruchów z 4-ma poddziałami: fizyką eteru, atomową, cząsteczkową i fizyką mas, obejmującą także mechanikę i teoryę nieba (astrofizyka i chemia teoretyczna wchodzą do fizyki atomowéj); nauki fizyczne synoptyczne, nie zredukowane jeszcze do idealnych ruchów, obejmują hypotezy rozwoju układu planetarnego, ziemi, geologię, geografię, meteorologię, mineralogię, chemię i t. d.

Trzeci dział — zjawisk organicznych ulega wielokrotnemu podziałowi, jak widzimy z następującéj tablicy:

C. Zjawiska organiczne.

Przestrzeń (Umiejscowienie)					Rozsiedlenie geograficzne istot żyjących (Chorologia) Zależność zwyczajów od otoczenia (Ekologia) Historya naturalna
CZAS. Wzrost i zmiana.	Niepowracające zmiany. Historya	Ogólny rozwój gatunków			Rozwój życia (Filogenia, Paleontologia i t. d.) Pochodzenie gatunków Teorya doboru naturalnego i t. d.
		Specyalny rozwój człowieka	Natura fizyczna		Kraniologia, Antropologia i t. d.
			Władze umysłowe		Historya języków, Filologia, Historya filozofii i wiedzy, Literatura, Sztuka i t. d.
			Instytucye społeczne		Archeologia, Folklorystyka, Historya zwyczajów, religii, państw, praw i t. d.
	Odnawiające się zmiany. Biologia (Zoologia i Botanika)	Forma i budowa			Morfologia, Histologia, Anatomia i t. d.
		Wzrost i rozmnożenie			Embryologia, Teorya płci, Teorya dziedziczności i t. d.
		Funkcye i czynności	Fizyczne		Fizyologia
			Umysłowe. Psychologia	Ogólna	Teorya instynktu, Rozwój świadomości i t. d.
				Specyalnie ludzka. Indywidual.	Psychologia, Fizyologia myśli.
				Specyalnie ludzka. Gromadna. Socyologia	Etyka, Polityka, Ekonomia społeczna, Prawo i t. d.

Łatwo dostrzedz, iż tu trzy działy streszczają w sobie szóstkę Comte'a: 1) matematyka (z dodaniem logiki), 2) fizyka, obejmująca chemię i astronomię i 3) biologia, która wchłonęła w siebie i socyologię. Natomiast każdéj z tych zasadniczych nauk dane są liczne rozgałęzienia. Umiejętności wchodzące w skład „krytyki" u Renouviera („Umiejętności o duchu" Wundta) zostały tylko częściowo uwzględnione i rozrzucone są wśród biologicznych.

W r. 1893 wyszło dzieło Raoula de la Grasserie, p. t. „*De la classification objective et subjective des arts, de la litterature et des sciences*", którego autor starał się uwzględnić wszystkie możliwe stanowiska i podstawy w klasyfikacyi tych trzech dziedzin, opierając się na wyczerpującym materyale historycznym.

Znajdujemy więc tu przyjęty przez Comte'a podział umiejętności na abstrakcyjne i konkretne; przeciwstawności wprowadzone w klasyfikacyi Wundt'a pomiędzy umiejętnościami pojedyńczemi (*Einzelwissenschaften)* i ogólnemi (*Allgemeinen*), również pomiędzy wiedzą o przyrodzie i o duchu (*Natur- und Geisteswissenschaften)*; wraz z Platonem, Arystotelesem, Bakonem, Bentamem i d'Alembertem przyjmuje podział według władz umysłowych na dwa wielkie działy: sztuki i wiedzy. Daléj, stosownie do trzech ideałów: piękna, prawdy i dobra, otrzymuje podział troisty na sztukę i literaturę, odpowiadające dążeniu do piękna, wiedzę pozytywną — wynik dążenia do prawdy, nauki o duchu i umiejętności społeczne, odpowiadające idei dobra. Daléj idzie podział na wiedzę teoretyczną i stosowaną, na podmiotową (logika, estetyka, etyka) i przedmiotową (matematyka w nauce o liczbach), na powszechne (gramatyka) i szczegółowe grupowanie według stopnia prostoty umiejętności i t. d.

Nie możemy tu wchodzić w szczegóły téj pracy, któréj zaletami są usiłowanie uwzględnienia wszystkich możliwych stanowisk, skorzystania z pracy poprzedników i wciągnięcie w zakres swój wszystkich niemal utworów umysłowych (wiedzy czystéj, stosowanéj i sztuki); wadą — eklektyzm. Wogóle autor przychodzi do wniosku, że niedostateczność dotychczasowych prób klasyfikacyi umiejętności polega na tém, iż twórcy ich usiłowali ugrupować nauki w szeregu lub na płaszczyźnie, gdy tymczasem wielokrotne stosunki i związki między niemi mogą być wyrażone tylko w przestrzeni o 3-ch wymiarach.

Najnowszą pracą w tym przedmiocie jest „*Zur Klassification der Wissenschaften*" przez Aug. Stadlera (umieszczona w „*Archiv für systematische Philosophie*", 1896, I). Klasyfikacya ta jest szczęśliwszą od innych w utworzeniu i ugrupowaniu większych gromad, mniéj szczęśliwa w działach szczegółowych, zwłaszcza przyrodoznawstwa.

Za punkt wyjścia służy autorowi określenie pojęcia nauki, przejęte bardzo trafnie od Kirchmanna i nie przesądzające nic zgoła nad to, co niezbędnie w to pojęcie wchodzić powinno, a przez to usuwające dowolność, która cechowała np. próby pozytywistyczne i niektóre inne, przyznając prawo do tytułu nauki jednym z istniejących obecnie gałęzi wiedzy, zaprzeczając je innym.

Rozpowszechniając na wiedzę wogóle to, co Kirchmann zaznaczył w swojém określeniu mechaniki, za zadanie wiedzy uważa Stadler „możliwie dokładne opisanie zjawisk”.

W tém opisaniu można jednak wyróżnić pięć stopni następujących:

1. Najprzód opisujemy zjawiska tak, jak one się nam bezpośrednio przedstawiają, w celu jedynie utrwalenia ich dla pamięci, ułatwienia ujęcia (umiejętności opisowe).

2. Szukając daléj stałości pośród zmienności zjawisk, dochodzimy drogą analizy do ostatecznych składowych ich części, z których drogą syntezy odtwarzamy całość (chemia).

3. Przytém wśród zjawisk życia organicznego znajdujemy jeszcze drugorzędne, że tak powiem, pierwiastki konstrukcyjne (morfologiczne) — tkanki.

4. Daléj staramy się opisać jakości, stawiając sobie za zadanie wykrycie tego, na jakie proste, nie dające się daléj rozłożyć własności można rozkładać dany stan rzeczy i jak go z nich odtworzyć (fizyka).

5. Wreszcie szukamy następstwa po sobie i związku w czasie zjawisk (dzieje).

W ten sposób wymienione pięć punktów zapatrywania się na zjawiska odpowiadają trzem kategoryom: 1) teraz, 2) zawsze, 3) w przeszłości, a łatwo dostrzeżemy, że stanowią one dalszy, nie skrępowany formalizmem architektonicznym rozwój czwórek Ampère'a, przedstawiając do pewnego stopnia naturalne etapy rozwoju umiejętności.

Zjawiska wszakże, wchodzące w zakres naszéj wiadomości, są dwojakie: obok zjawisk zewnętrznego świata mamy zjawiska wewnętrzne (psychiczne), które stanowią gromadę równoległą do pierwszych i ulegającą podobnemuż mniéj więcéj rozczłonkowaniu.

Obie razem tworzą dział, odpowiadający „umiejętnościom konkretnym” poprzedniéj klasyfikacyi, a który autor obejmuje ogólną nazwą „Nauki o przyrodzie”. Równoległym do tego jest drugi dział —

nauk, opisujących możliwe formy zjawisk — nauk matematycznych (tylko część „abstrakcyjnych" poprzedniéj klasyfikacyi).

Oba te działy razem wzięte stanowią nauki o tém co jest, o bycie czyli o zjawisku (gdyż wszelki byt poznajemy tylko w zjawisku); równolegle do nich istnieje szereg nauk o tém co być powinno, czyli nauki o ideach, a te dwie wielkie gałęzi łączą się razem w jeden pień: poznanie czyli wyobrażenie pewnéj określonéj wielorakości; obok niego istnieje drugi równoległy — wyobrażenie możności opisania wogóle, czyli teorya poznania, a te dwa razem składają się na całość wiedzy, czyli „dokładnego opisania całokształtu wyobraźni w naszéj świadomości". Rozgałęzienia więc wiedzy przedstawia następujący zarys:

Wiedza

I. Poznanie (wyobrażenie wielorakości)
- *A.* Tego co jest (Nauka o zjawiskach)
  - *a)* Samego zjawiska (Nauki o przyrodzie)
    - α) Zjawiska zewnętrz. (Nauki o ciałach)
    - β) Zjawiska wewnętrznego (Nauki o duchu).
  - *b)* Formy zjawisk (Matematyka)
- *B.* Tego co być powinno (Nauka o ideach)

II. Teorya poznania (wyobrażenie możliwości opisania).

W tém stopniowém rozgałęzianiu widzimy również podobieństwo do królestw, podkrólestw, klas i rzędów, przyjętych przez Ampère'a, a nikt zapewne nie zaprzeczy, że ten podział jest naturalniejszy od klasyfikacyi badacza francuskiego.

Przystąpmy teraz do wypełnienia pojedyńczych działów.

Teorya poznania składa się z dwóch tylko umiejętności: jedna opisuje możliwość oznaczenia (nazwania)—jest to logika formalna; druga—możliwość porównania—logika materyalna.

Podział nauk o ideach jest następujący:

Nauki o ideach

- *A*. O szczęściu (Teleologia) [1])
  - *a*) idei: czysta teleologia
  - *b*) stosunku zjawiska do ideału (teleolog. stosowana)
    - α) Podmiotu: Pedagogika eudemonistyczna
    - β) Przedmiotu: Nauka o dobrach
      - a) o dobrach materyalnych: Nauka o gospodarstwie.
      - b) o dobrach duchowych (Estetyka).
- *B*. O moralności (Etyka)
  - *a*) o moralności bezwzględnéj: Etyka czysta
  - *b*) stosunek wychowania do etyki bezwzględnéj: Pedagogika etyczna.

Nauka o gospodarstwie jest pojęta bardzo szeroko: obejmuje ona nietylko naukę o konsumpcyi, wykluczaną zwykle dotąd z ekonomii społecznéj, ale i wszystkie gałęzi wiedzy stosowanéj czyli sztuk użytecznych, nie wykluczając i medycyny.

Nauki matematyczne tworzą trzy gromadki: nauki o przestrzeni (geometrya), o liczbach (arytmetyka), o ruchu (cynematyka).

Wreszcie w naukach o przyrodzie (o materyi i duchu) spotykamy się z dwojakim podziałem, odpowiadającym z jednéj strony pięciu wyżéj wymienionym stanowiskom, z drugiéj — rozmaitym przedmiotom umiejętności, które zastosowane są równolegle do obu działów: nauki o ciałach i nauki o duchu.

Otrzymujemy więc następującą tablicę:

(Patrz str. 336).

Widzimy tu niemało błędów i sztuczności: ciekawém jest, że autor wcale nie znalazł miejsca dla fizyki i chemii ogólnéj, które umieścił sztucznie pod rubryką ziemi; natomiast gdzieindziéj widzimy powtórzenie tych samych nauk pod rozmaitemi nazwami (Fizyka kosmiczna—Astrofizyka; Chemia kosmiczna—Astrochemia i t. d.). Niema téż ustosunkowania gałęzi wiedzy według ich doniosłości: tak np. fizyka i chemia występują w pięciu rozmaitych postaciach (łącząc w to i fizyologię), gdy tymczasem całe dzieje z niezliczonemi gałęziami wepchnięte są do „Historyi kultury". Również cała wiedza stosowana zbita jest pod rubrykę ekonomii.

---

[1]) Przypominamy przy téj sposobności, że u nas Trentowski wprowadził umiejętność, dosyć blisko odpowiadającą temu działowi: mianowicie „Socyalistykę", czyli umiejętność o celach społeczeństwa i ludzkości (Por. jego klasyfikacyę w „Panteonie wiedzy ludzkiéj", 1873, str. 61—89).

Opisują:	Zjawiska zewnętrzne. (Nauka o ciałach).					Zjawiska wewnętrzne. (Nauka o duchu).		
	Wszechświata	Nieba	Ziemi	Minerałów	Organizmów	α) O samowiedzy	β) O świadomości innych	γ) O świadomości gatunku
I. Zjawiska i ich zmiany tak jak są dane obserwacyi. (Morfologia).	Kosmologia	Astronomia	Meteorologia Geografia Geologia	Mineralogia	Biologia Botanika Zoologia Autropologia	(Psychologia podmiotowa)	Psychologia przedmiotowa	Psychologia porównawcza
II. Zjawiska jako połączenie pierwiastków. (Chemia): 1. Naturalnych (Chemia analityczna). 2. Sztucznie utworzonych (Chemia syntetyczna.	Chemia kosmiczna	Astrochemia	Chemia ziemi	Chemia minerałów Synteza nieorganiczna	Chemia biologiczna Synteza organiczna			
III. Zjawiska organiczne jako połączenie prostszych organów (Histologia).					Tkanek zwierzęcych Tkanek roślinnych		Anatomia psychologiczna	
IV. Zmiany zjawiskowe jako połączenia prostszych ruchów (Fizyka): 1) sztucznych (syntet.); 2) naturalnych (analityczna).	Fizyka kosmiczna	Astrofizyka	Fizyka (mechaniczna, optycz., akustycz., elektr. i termiczna) Geografia fizyczna	Fizyka minerałów	Fizyologia ogólna Fizyologia szczegółowa		Psychofizyka ogólna i szczegółowa	
V. Zjawiska oraz ich zmiany, jak są dane w pewnym czasie (Dzieje).	Kosmogonia	Astrogenia	Historya ziemi		Rozwój organizmów: Ontogenia i Filogenia	Autobiografia	Historya ogólna świadomości indywidualnéj Biografia speoyalna	Historya kultury ogólna i specyalna

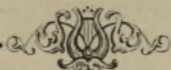
Wogóle źle świadczy o konsekwencyi układu obecność licznych pustych przedziałek, przytém takich, które nie mogą być według saméj istoty rzeczy zapełnione (co wynikło po części stąd, że specyalne własności pewnéj gromady zjawisk umieszczone zostały jako rubryka ogólna). Z umiejętności filozoficznych teoretycznych tylko teorya poznania znalazła miejsce w klasyfikacyi.

Do szczęśliwszych pomysłów należą podziały główne, utworzenie gromady nauk ideowych i podział jéj na teleologię i etykę; wprowadzenie biografii jako odrębnéj gałęzi umiejętności i t. d.

Jakkolwiek autorowie nowych prób klasyfikacyi umiejętności zwykle liczą się zbyt mało z poprzednikami swymi, mimo to wpływ ostatnich, a zwłaszcza ważniejszych i więcéj znanych, daje się dostrzedz, jak to widzieliśmy na przykładzie oddziaływania zasadniczych myśli Comte'a i Ampère'a na klasyfikacye późniejsze. Nie da się též zaprzeczyć, że te liczne próby, jakkolwiek dalekie od rozwiązania zagadnienia, nie są wszakże bezużyteczne; przygotowują one materyał wszechstronnie i z najrozmaitszych stanowisk, rozpatrując wzajemny stosunek do siebie umiejętności i związek pomiędzy niemi, dają coraz to nowe punkta widzenia i podstawy klasyfikacyi, słowem—przeprowadzają pracę analityczną, z któréj skorzysta kiedyś umysł syntetyczny, a wielce jest prawdopodobném, że pomyślne rozwiązanie tego zagadnienia — wysuniętego na pierwszy plan przez nasze stulecie, które jednocześnie i uczyniło je bardziéj skomplikowaném, wytwarzając tyle nowych gałęzi wiedzy — że rozwiązanie to nastąpi jednocześnie z innem, ściśle z niém związaném i również natarczywie domagającém się rozwiązania — z wytworzeniem syntetycznego systematu umiejętności, czyli filozofii naukowéj. Umysł, który potrafi ująć rozmaite gałęzi wiedzy w jeden harmonijny układ, odkrywający ich zewnętrzne stosunki, będzie w stanie odkryć i wewnętrzny związek ich treści, a spajając je myślą przewodnią — wytworzyć nietylko klasyfikacyę umiejętności, ale i systemat wiedzy.

W oczekiwaniu, nim przyjdzie taki geniusz, możemy dorzucać po ziarnku piasku do przyszłego gmachu, a nie powinniśmy rozpaczać nad tém, iż bardzo drobna rola w nim przypadnie owym pojedyńczym ziarnom.

W. M. Kozłowski.



TERYTORYUM KSIĘSTWA PIŃSKO-TUROWSKIEGO.

I.

Najnowsze badania heraldyczne wykazały, że mieliśmy niemało potomków książąt Pińsko-Turowskich, którzy z czasem osobne wytworzyli rody kniaziowskie, do nich należą: Czetwertyńscy, Ostrogscy, Dolscy, Hołowniowie-Ostrożeccy, Horodeccy, Kozekowie, Nieświccy, z tymi, którzy od nich pochodzą (Zbarascy, Wiśniowieccy, Poryccy, Woronieccy, Trubeccy etc.), Rożyńscy, Wieliccy i inni.

Otóż powzięliśmy zamiar zbadać trochę bliżéj obszar księstwa Pińsko-Turowskiego, jego terytoryum, nie w tych jednakże granicach, jakie ono miało za prastarych wieków, w epoce mrokiem pokrytéj, lecz w czasach późniejszych stosunkowo, bo sięgających XV i XVI-go stulecia.

Ale nim do tego przystąpimy, wypada słówko powiedzieć o kniaziach na tém terytoryum osiadłych. Tu także wyłączamy pierwszych udzielnych książąt w tych miejscowościach; nie będziemy więc mówili o tém, jak się naprzód z pomroki dziejów wyłania posępny, w błotach leżący Turów; jak potém prędko wychodzi na jaw oblany wodami różnych rzek Pińsk; pomijamy i te dzieje, jak te dwie dzielnice to się łączyły razem, to znowu osobnych władców miały czas jakiś, aby następnie ponownie w jedną połączyć się całość, zanim okoliczności polityczne nie znagliły do prowadzenia odrębnego żywota.

Nie jesteśmy też w stanie wykazać detalicznych filiacyi tych książąt w dalszych, późniejszych potomkach, od których zaczęły się różne linie, a nawet potém samoistne rody kniaziowskie, tak licznie rozgałęzione i rozwielmożnione na Wołyniu, gdzie miały następnie swoje siedziby i od nich osobne nowe nazwy rodowe.

Ograniczymy się przeto na późniejszych czasach, wyliczając tylko ważniejsze, wybitniejsze postaci, o których potém będziemy wspominali, mówiąc o terytoryum księstwa Pińsko-Turowskiego.

Pińszczyzna i Turowszczyzna — to tak zwane Polesie. Już przy schyłku XII-go wieku, jak wiadomo, kraj ten podzielony został na kilka drobnych, udzielnych księstewek, gdzie rządzili potomkowie Świętopełka Izasławowicza. Ogniskami téj połaci kraju były: Turów nad Prypecią, Pińsk nad Piną, Słuck nad Słuczą, lewym Prypeci dopływem, Kleck nad Łanią. Te miejscowości weszły potém w skład województwa Trockiego, a następnie Brzeskiego.

Wiadomą jest rzeczą, że Jur Włodzimierzowicz, kniaź piński z rodu Ruryka, umarł w r. 1292, zostawiając wdowę, synów i brata, dalsze ich jednak losy nie są znane, potomkowie ich wszelako musieli, zapewne, stać się praojcami całéj książąt Pińsko-Turowskich plejady, licznie rozrodzonych, którzy, prawdopodobnie, postradali swoje ojczyste posiadłości, gdy Litwa, szerząc podboje, oparła się aż o Polesie.

Gedymin nadał Pińsk swemu synowi Narymuntowi i ten zaczyna nową dynastyę książąt na Pińsku, już litewską. Narymunt umarł w r. 1348, zostawiwszy syna, mało znanego, Michała, który znowu miał syna Wasyla, fundatora cerkwi w Kurzeńcu w r. 1355, a w lat 31 potém składał w Łucku hołd koronie polskiéj i potém jeszcze go nieraz w dziejach spotykamy, bo umarł dopiéro przy końcu XIV wieku; synowie jego, Fedor, Michał i Semen polegli nad Worskłą, a Jur był kniaziem pińskim (może identyczny z kniaziem Nosem, namiestnikiem Witołda w Pskowie na początku XV stulecia).

Za wielkiego księcia Zygmunta, księstwo Pińskie utraciło samoistność i było rządzone czas jakiś przez namiestników, lecz Kazimierz pozwolił powrócić do Pińska dawnym kniaziom, z których Jur Semenowicz siedział znowu w Pińsku i był ostatnim z tego rodu, ponieważ po jego śmierci Pińsk „spadł” na króla koło 1470 r., a w następnym Kazimierz nadaje Pińsk wdowie Semena Olelkowicza, księcia kijowskiego, księżnie Maryi i jéj potomstwu. Olelkowicze zaś pochodzą od Aleksandra, Olelka, Włodzimierzowicza Olgerdowicza, którego synem był ów Semen, zmarły przy końcu 1470 r., żonaty z Maryą, córką Jana Gasztołda, wojewody wileńskiego, a siostrą Marcina, wojewody trockiego.

Księżna Marya panowała naprzód sama w Pińsku, następnie z synem Wasylem, zmarłym 1495 r., po jego śmierci z córką Aleksandrą do czasu jéj zamążpójścia za Fedora Iwanowicza Jarosławowicza w roku 1498 (Jarosławowicze zaś potomkowie udzielnych książąt na Borowsku w Moskwie), późniéj znowu sama aż do śmierci w roku 1501; potém król nadał Pińsk owéj Aleksandrze i Fedorowi „dożywota" (chociaż oni nie zostawili potomstwa). Aleksandra umarła w r. 1518, a mąż jéj trzy lata późniéj, a po ich śmierci Pińsk dostał się królowéj Bonie, która tu gospodarowała do połowy XVI wieku prawie; następnie znowu tu była królewszczyzna (cfr. Kniaziowie litewsko-ruscy od końca XIV w., p. 366, 367, 151, 327).

II.

Inne były losy starożytnego Turowa. Straciwszy własnych książąt, stał się własnością Litwy i został nadany Świdrygielle, który go trzymał do śmierci w r. 1452, a następnie Turów „spadł" na króla Kazimierza i, jako dobra koronne, przetrwał, jak się zdaje, do zgonu króla w roku 1492; potém znowu znajdujemy go w ręku kniazia Michała Lwowicza Hlińskiego, znanego ulubieńca króla Aleksandra.

Hlińscy są pochodzenia tatarskiego, chan Mamaj ma być ich praojcem; byli oni bardzo licznie rozrodzeni i podzielili się na kilka linii. Michał Lwowicz pochodził z najstarszéj, t. zw. litewskiéj, gałęzi; osobistość to dobrze znana z dziejów, więc szczegóły o nim pomijamy.

Jemu to Aleksander Turowszczyznę nadał. Boniecki, mówiąc o tém nadaniu, powiada, że Michał Lwowicz otrzymał Turów jako ojcowiznę, z tegoby wnioskować można, iż włość Turowska już pierwéj do tego rodu należała. Kniaź Michał zbudował tam zamek obronny i do śmierci króla Aleksandra używał wielkiego wpływu i znaczenia, lecz za Zygmunta I-go wszystko to się zmieniło prędko i w r. 1508-ym Michał Lwowicz był już zbiegiem w Moskwie, wszystkie zaś jego posiadłości przechodzą w inne ręce. Turów dostał się kniaziom na Ostrogu, mianowicie Konstanty Iwanowicz, kasztelan wileński, starosta łucki etc., w roku 1511 pisał się już panem na Turowie; odtąd był ten majątek w posiadaniu owéj rodziny, aż do wygaśnięcia książąt Zasławskich w osobie Władysława-Dominika, wojewody krakowskiego, i jego syna. Z drugiéj żony, Katarzyny Sobieskiéj, miał wojewoda córkę, Teofilę, która wyszła w r. 1683 powtórnie (pierwszym mężem był Dymitr Wiśniowiecki, † 1682) za Józefa Karola Lubomirskiego, marszałka w. k., zmarłego w r. 1702. Ta właśnie Teofila, po śmierci swego

jedynego brata Aleksandra Janusza w r. 1673-im, wniosła ordynacyę Ostrogską w dom Lubomirskich, do niéj téż należał Turów, lecz jako nienależący do dóbr ordynackich został przedany za 602,433 tynfy Giełgudowi, pisarzowi w. l.

Ten Andrzej Kazimierz Giełgud, naprzód sekretarz królewski, potém mianowany pisarzem w r. 1673, chwilowo usunięty w r. 1705-ym, wkrótce powrócony, umarł w r. 1711 („Senat. i Dygnt. W. Ks. Lit.", p. 277).

Nabycie Turowa, jak się zdaje, nastąpiło przy końcu XVII wieku. Pisarz w. l. ożenił się z Antoniną z Waldstejnów, mając z nią jedynego syna Kazimierza, zmarłego bezpotomnie w r. 1719, lecz cały swój majątek zapisał żonie, stała się więc ona dziedziczką Turowa i po śmierci Giełguda poślubiła Kazimierza Sapiehę, wojewodę wileńskiego, podobno już w roku 1711, który w dziewięć lat potém przeniósł się do wieczności. Wojewodzina wileńska, nie mając dzieci, sprowadziła z Czech swoją synowicę, Eleonorę Waldstein i, wydawszy ją za Fryderyka Michała Czartoryskiego, zapisała jéj pomiędzy innemi Turów w r. 1727, a sama przeniosła się do lepszego świata w r. 1738; z tego małżeństwa były tylko trzy córki: dwie z nich z kolei były małżonkami Jerzego Flemminga, wojewody pomorskiego, a trzecia, Aleksandra, dostała Turowszczyznę. Ta pani na Turowie miała dwóch mężów: Michała Antoniego Sapiehę, podkanclerzego w. l., † 1760, i Michała Ogińskiego, hetmana w. l., bezdzietna jednakże z obydwoma, umarła przy końcu wieku zeszłego w r. 1798.

Odtąd rwie się wątek dziedzictwa Turowskiego, które przy końcu XVIII-go wieku było w rękach Sołłohubów, których wyczerpującéj monografii dotąd nie mamy. Aleksandra Czartoryska, właścicielka Turowa, była bezdzietną, jakeśmy to wyżéj widzieli, z obydwoma mężami; mogła więc rodzinie czy jednego, czy drugiego darować, a może i przedać Turowszczyznę (chociaż dokumentalnie o tém nie wiemy). Sołłohubowie przez kądziel byli spokrewnieni i z Sapiehami i Ogińskimi, tym sposobem mogliby przyjść do posiadania tego majątku, ale pewności w tym względzie nie mamy.

Wiemy tylko napewno, że Jan Sołłohub, starosta sannicki, adjutant królewski, a następnie brygadyer wojsk rosyjskich, ożenił się w r. 1777 z Maryanną Katarzynę Sapieżankę, córką Aleksandra, kanclerza i Magdaleny Lubomirskiéj, ale już w roku następnym rozstali się ze sobą i owa Maryanna Katarzyna poślubiła następnie Ignacego Puzynę, podkomorzego królewskiego (syna Krzysztofa, starosty wysztynieckiego), mieszkając w Waszkiewiczach, powiecie lidzkim, któremi ona władała prawem zastawu w sumie 180,000 zł. pl. od pierwszego męża, Soł-

łohuba. Późniéj Puzynowie chcieli nabyć ten majątek na dziedzictwo i stanęła taka umowa: szacunek Waszkiewicz określono na 320,000 zł. pl., z których należne Puzynom, z prawa zastawu, 180,000 mają być potrącone, reszta zaś dopłacona gotówką, z ekscepcyą 50 sztuk drzew cytrynowych, pomarańczowych, figowych i innych z oranżeryi znajdującéj się w Waszkiewicach, nadto ruchomości, które Sołłohub dla siebie zachowuje, rozciągając ewikcyę téj sprzedaży na hrabstwie Ilii i Turowie. Co się stało następnie z brygadyerem Sołłohubem — nie wiemy (możemy tylko dodać, że był on synem Józefa, wojewody witebskiego, a wnukiem Jana, podskarbiego w. l.); ale dawna jego żona rozwiodła się i po raz wtóry w r. 1787, mając z Puzyną troje dzieci: Aleksandra, Krzysztofa i Magdalenę, zdaje się, w młodości, czy nawet dzieciństwie zmarłych (cfr. Monografię Sapiehowie, II, 213, 215; III, 429—431).

Wiadomo także, że po roku 1793 kompania Wielko-Brytańska przez komisanta swego Forestera, wyrobiwszy sobie pozwolenie nabywania dóbr nad Prypecią, aby lasy eksploatować, zaczęła od Turowa i kupiła od Sołłohuba jego schedę za 800,000 rubli asygnacyjnych, a schedę generała Sielagina (była w Turowie jedna część królewszczyzny, którą rząd rosyjski darował temu Sielaginowi) za 56,000 r. as. (asygnacye zaś wtedy stały po 92/100 na srebro). Rząd jednak rosyjski nie akceptował téj eksploatacyi, spłacił Anglików i tę część Turowa przyłączył do dóbr rządowych, Anglicy zaś potém sami odprzedali drugą część Lenkiewiczowi, która już w tym wieku należała do Tadeusza Mostowskiego, znanego ministra spraw wewnętrznych (cfr. „Podróż Kontryma po Polesiu”, Poznań, 1839). Teraz (w r. 1890) ma posiadłość w Turowie, 1,300 dziesięcin, p. Ludwik Norejko.

III.

Dla określenia granic księstwa Pińsko-Turowskiego służyły nam następujące dzieła: „Rewizya puszcz w księstwie Litewskiém” dokonana przez Grzegorza Wołłowicza w r. 1559, wyd. w Wilnie 1867; „*Piscowaja kniga*” księstwa Pińskiego i Kleckiego, ułożona przez Stanisława Chwalczewskiego 1552—1555, wyd. w Wilnie 1884 r., „Akty Wileńsk. archeogrf. kom.”, różne tomy, Lubawskiego, „*Obłastnoje dielenie i miestnoje uprawlenie litw. rus. gosudarstwa*”, Moskwa, 1892, gdzie są wiadomości bezpośrednio z Metr. Litw. poczerpnięte; ażeby się oryentować w obecnym administracyjnym podziale tych stron, radziliśmy się rządowego wydania w Petersburgu z r. 1886 p. t. „*Wołosti i waż-*

niejszija selenia, gubernii Litowskija", *wypusk V* i „Spis obywateli Miń. gub.", Mińsk, 1889.

Księstwo Pińskie zajmowało pomiędzy Piną i Jasiołdą część wschodnią teraźniejszego powiatu kobryńskiego gubernii Grodzieńskiéj; na południe od Piny były włości, Horki i Odryżyn, niegdyś wołyńskie, lecz teraz w powiecie kobryńskim w gminie odryżyńskiéj; nadto w granicach owego księstwa jest teraz prawie cały powiat piński, z wyjątkiem niewielkiego skrawku południowo-zachodniego pomiędzy Prypecią a Stochodem, gdzie były włości także wołyńskie, Ołbiaż i Czerwiszcze, obecnie w powiecie pińskim, a także obszar do Horodnego należący, Horodno *vel* Horodne teraz powiecie włodzimierskim na Wołyniu, a na południowym wschodzie były włości dąbrowickie, zaliczające się już do Wołynia.

Pomiędzy Piną a Jasiołdą, w teraźniejszym powiecie kobryńskim, następujące były w owym czasie znane już miejscowości. Bezdzież, teraz miasteczko, wspomniane już w r. 1495; Drużyłowicze, znane już w czasach Kazimierza Jagiellończyka, była tam cerkiew Św. Mikołaja; w późniejszych trochę czasach wymieniane są: Opol, Dostojew, Motol, teraz miasteczko, gdzie kniaź Fedor Iwanowicz uczynił zapisy na cerkiew M. B. na Leszczu pod Pińskiem, oprócz tego Tyszkiewicze, Mołodowo i Woroczewicze, teraz Woroncewicze, znane już na początku XVI wieku, Mogilno albo Mohylna, teraz już w pow. pińskim, wymienione przy końcu XV stulecia; nadto Hutów, Popina, wzmiankowana w roku 1498, Glinna, Gniewicze i niektóre inne.

W zachodniéj części powiatu pińskiego, na północ od Jasiołdy, pomiędzy puszczami, Zdzitowiecką i Wiadzką, niewiele wsi spotykamy w tych czasach; ważniejsze z nich są: Wiado nad jeziorem Bobrowickiém, w powiecie teraz słonimskim na granicy pińskiego, Bobrowicze, Kołońsk, obecnie Kołoniec, Hać, wspomniana już w r. 1495 w jedném nadaniu księżny Maryi.

Naokoło jeziora Pohostu, wzdłuż Bobryka, dopływu Prypeci, w północnéj prawie części powiatu, także nie było zbyt wielkiego zaludnienia w tych wiekach; zastajemy tam pomiędzy innemi Tereben, wzmiankowany już w r. 1495, Nowy Dwór wyłania się na początku XVI w., Łohiszyn, głośny następnie, Kowniatyn, Stoszanicze, *seu* Stoszany, i Soszno, znane już w r. 1500. Dobra Terebeńskie mają teraz 2,549 dziesięcin i należą do p. Konstantego Ordy (oprócz tego 7 domów Ordów w tym powiecie). Nowy Dwór posiada 12,690 dziesięcin razem z Kożangródkiem, Teresinem, Rokitną i innemi okolicznemi majątkami, mającemi swoje osobne obszary dworskie — i jest w posiadaniu Krzysztofa Niemirowicza-Szczytta, syna Józefa, marszałka mozyrskie-

go, i Tekli Druckiéj-Lubeckiéj. Soszno, 649 dziesięcin, nadane w roku 1869 rz. rad. st. de la Gardie. Kowniatyn, 2,280 dziesięcin, z kopalnią wapna, jest własnością Hipolita Staszewicza, który ma jeszcze Nową-Ziemię, 1,256 dziesięcin.

W południowo-wschodniéj części powiatu pińskiego, na wschód od Styru, gdzie ludność była gęstsza, więcéj się osad znajduje. Bardziéj znane są: Stochów, wspomniany w jedném nadaniu Bony w roku 1524; włość ta inaczéj nazywa się Stachów; Płotnica, znana już z nadania księżny Maryi w r. 1496, należała kiedyś do Radziwiłłów, potém Skirmuntów, a teraz kolokacya; Duboja, współcześnie wzmiankowana z poprzednią miejscowością, na zapadłém Polesiu, niegdyś dobra Kieniewiczów (którzy teraz w téj okolicy dwa domy formują), teraz rz. rad. st. Spaskiego; Stolno, teraz miasteczko nad Horyniem Stolin, siedziba kiedyś Sołomereckich, Wiśniowieckich, a teraz przez Skirmuntów przeszlo do Stachowskich, ma 4,171 dzies.; Terebeżów, także niegdyś Sołomereckich, obecnie Cezara Oleszy, 9,668 dziesięcin (do niego także należy Bereżne); Tywrowicze, czyli Tyrwowicze, w których królowa Bona w r. 1532 nadała cztery dworzyszcza ziemianinowi pińskiemu Semenowi Ordzie, i teraz ten majątek, 1,186 dziesięcin, należy do Witolda Ordy, który jeszcze posiada tam kilka wsi, około 8 tysięcy dziesięcin obejmujących; Smorodzk nad Horyniem, równie téż dawna posiadłość Sołomereckich; Swaryczewicze, w r. 1531 przez Bonę nadane ziemianinowi pińskiemu, Janowi Zankowiczowi, Swarycewicze, należą teraz do Henryka Skirmunta, 6,190 dziesięcin, posiadającego w tym powiecie około 26,000 dziesięcin ziemi (oprócz niego jeszcze jest 8 domów Skirmuntów w tym powiecie i wszyscy dość zamożni); Sierniki, *alias* Serniki, nad Stubłą dopływem Styru, w których kniaź Fedor Iwanowicz nadał dwa dworzyszcza jakiemuś Nowoszowi w r. 1525, teraz tam kolokacya drobnéj szlachty; Weszna nad Styrem i Wilczyca nad Strumieniem, wspomniane w połowie XVI-go stulecia; Wiczówka, *alias* Witczówka, nad Stubłą, także już znana w XVI wieku, teraz należy do wyżéj wspomnianego Henryka Skirmunta, 10,630 dziesięcin ziemi; Całkowicze niedaleko Styru i niektóre inne.

Pomiędzy Styrem, Prypecią i Strumieniem wspomniane są następujące wsi w powiecie teraz pińskim: Murawin, albo Morawin, nad Styrem; Kuchcze nad małym Prypeci dopływem, obecnie należy do Józefa Ordy, 2,493 dziesięciny ziemi dworskiéj; Tewkowicze i Iwanczycze nad Styrem, znane z nadania księżny Maryi w r. 1495 słudze swemu Seńkowi Zenkowiczowi, Jawanczyce są teraz posiadłością rad. taj. Kiticina, 834 dziesięciny; Pogost, sioło nad Styrem, zapewne t. z. Zarzeczny (bo jest kilka nazw takich w tym powiecie), na początku XVI stu-

lecia wspomniane, w tym samym wieku należał do Zbaraskich; Morocz-na przy ujściu Nożyka do Prypeci, znane z nadania Bony w r. 1522; Nobel, miasteczko teraz, nad jeziorem téjże nazwy, król Kazimierz Jagiellończyk nadał to kniaziowi Jurowi Semenowiczowi pierwéj jeszcze, niż Pińsk; Komory nad Strumieniem i Prykładniki nad Stochodem, już w XV wieku znane; Chrapin, teraz posiadłość Rydzewskich, 3,290 dziesięcin; Newle, czyli Newel, nad Prypecią; Niańkowicze nad Prypecią, wspomniane w pierwszéj połowie XVI-go wieku, należą obecnie do starodawnéj rodziny Tukalskich-Nielubowiczów, 3,050 dziesięcin; Horne, wzmiankowane w XV-ém stuleciu, teraz własność Porfirya Czajkowskiego, 800 dziesięcin; Kaczanowicze, lub Koczanowicze, przy zlaniu się Jasiołdy ze Strumieniem; Bołgary, w których Waśko Ordzicz otrzymał od króla Kazimierza Jagiellończyka ziemię, co późniéj Bona potwierdziła; są teraz tu posiadłości mieszczan Ostrowskich. W téj części powiatu pińskiego, która opasana Prypecią, Strumieniem, Jasiołdą i Piną, takie znajdujemy osady: Swałowicze przy ujściu Stochodu do Prypeci; Potapowicze nad Piną, niegdyś majątek Bazylianów na Leszczu pod Pińskiem; Siemiechowicze nad jeziorem téj nazwy, teraz podobno do Pusłowskich należące; Żytcze, znane z nadania jednego przez kniazia Fedora Iwanowicza, obecnie posiadłość Karola Szlenkera, 3,000 dziesięcin; Żytkowicze i Zadwiczycze, w których księżna Marya nadanie uczyniła Seńkowi Hołowce w r. 1495, Żytkowicze są teraz w posiadaniu Jerzego Rydzewskiego, 3,870 dziesięcin; Styhyczowo, *vel* Stebyczowo nad Strumieniem, posiada je w naszych czasach Osip Syciński, 716 dziesięcin; Suszyk i Krzywicze, znane już przy końcu XV stulecia z nadania księżny Maryi; Suszyck nad Jasiołdą, w pobliżu jeziora téj nazwy, włada nim teraz Władysław Skirmunt, 1,487 dziesięcin, Krywicze, inaczéj Krzewicze, należą do Ordy.

Nakoniec w Pińszczyźnie jeszcze w owych wiekach są ślady wsi i osad dość wielu, wyliczamy tu wybitniejsze: Suche na granicy powiatu pińskiego i Ryłowicze, wymienione w nadaniu kniazia Fedora Iwanowicza Iwaszce Połozowiczowi, przez Zygmunta I w r. 1522 potwierdzoném; Suche kiedyś należało także do Bazylianów na Leszczu pod Pińskiem, Ryłowicze zaś są w posiadaniu Kurzenieckich; Lachowicze, teraz Witolda Ordy, 1,020 dziesięcin; Kupiatycze nad Jasiołdą, w prastarych czasach już znane, w XVI-ym wieku był tu sławny już monaster, potém posiadłość pińskich biskupów unickich, następnie Świeżyńskich, przy końcu zaś XV-go stulecia księżna Marya uczyniła z tego nadanie Michnie Poczapowskiemu; Domaszycze, Torhoszycze i Żabczycze, z których Bona w r. 1524 zrobiła zapis Fedorowi Petrowiczowi, bojarzynowi, kleckiemu; Torhoszycze, teraźniejsze Torhowiszcze,

228 dziesięcin, razem z Żabczycami, należą obecnie do Artura Krasickiego (Artur Krasicki jest synem Marcina z Skirmuntówny, ożeniony z Henryką Ilińską); Czerniewicze, Posinicze, Koszewicze i Parszewicze znane już są z r. 1518 z nadania Benedyktowi Fursowiczowi, Czerniewicze, 412 dziesięcin, należą teraz do Wincentego Skirmunta, Koszewicze, w gminie Stawek — do Aleksandra Skirmunta, 403 dziesięciny, Parszewicze — do Leona Pusłowskiego, 294 dziesięciny; Wyżłowicze nad dopływem małym Jasiołdy, w r. 1495 nadane Olechnie; Połkotycze, Dostojewo i Porzecze — wspomniane na początku XVI-go stulecia, Połkotycze nad dopływem Jasiołdy są teraz własnością Eugeniusza Skirmunta, 1,044 dziesięciny, Porzecze zaś nad Jasiołdą, 6,518 dziesięcin dworskiéj ziemi, fabryka sukna, posiadłość Aleksandra Skirmunta; Masiewicze, nad dopływem niewielkim Jasiołdy, wzmiankowane w roku 1503-im; Stawek przy ujściu rzeczki Stawka do Jasiołdy, gdzie kniaź Fedor Iwanowicz Jarosławicza zbudował cerkiew pod wezwaniem Św. Joachima i Anny, należał do Pusłowskich; Czemeryn nad Jasiołdą, w r. 1495-ym księżna Marya zrobiła tu donacyę swemu słudze, Fedorowi Tyszkowiczowi, co Zygmunt I w r. 1522 potwierdził.

IV.

Księstwo Turowskie, które potém weszło także w skład województwa Trockiego, zajmuje znaczną część teraźniejszego powiatu mozyrskiego, przeważnie wschodnią jego połać, z wyjątkiem tych miejscowości, które są na wschód od rzeki Uborci, i tych, które zrasza Ptycz ze swojemi dopływami.

W Turowszczyźnie w tych wiekach, o których tu mowa, następujące miejscowości na jaw występują: Chrapino, obecnie Chrapuń, wieś nad Stwihą, które Świdrygełło darował Hryńkowi (znany jest Hryńko, koniuszy wileński, w r. 1459); Olgomle, w zapadłém Polesiu, nad Mastwą, należy do Bolesława Leńkiewicza, 1,918 dziesięcin; Simonicze i Radwiłowicze, zapisane przez Konstantego księcia na Ostrogu w roku 1520 zamkowéj w Turowie cerkwi pod wezwaniem *Uspienia* Bogarodzicy razem z jeziorem Chojeńskiém i Pohoskiém, Simonicze, teraz Simienicze, w gminie Lelczyckiéj; Smedyń, teraz się nazywa Śniadyń, nad Prypecią, w gminie Laskawickiéj, należał dawniéj do Kiniewiczów; Mordwino nad Prypecią, teraz Mordwin, — te dwie ostatnie wsie były najbardziéj na wschód wysunięte miejscowości Turowszczyzny; Śniadyń należy teraz do Józefa Tyszkiewicza, który w tym powiecie ogółem posiada około stu tysięcy morgów; Wiszalgowo nad Prypecią,

nosi obecnie nazwę Wiszełów; Mościewicze, obecnie Mosiejewicze; Zamoście nad Uborcią; Ryczów nad Stwihą w gminie turowskiéj, albo Ryczewo; Bukcze, Przybołowicze, znane już za czasów Świdrygiełły; Bukcze z sąsiedniemi Radziwiłłowiczami, ogromny obszar ziemi, kilkadziesiąt tysięcy morgów, od r. 1875 są własnością Obuchowa. W granicach powiatu mozyrskiego były jeszcze ogromne dobra po Stefanii Radziwiłłównie; mamy tu na myśli taką np. Łachwę, niezmiernie dawną osadę, która za czasów Kazimierza Jagiellończyka nadaną została w części Kiszkom, a w części kniaziom Odyńcewiczom, w XVI-ym wieku należy do Radziwiłłów, od których przez Stefanię przeszła ta posiadłość do Wittgensztejnów, a potém książąt Hohenlohe. Terytoryum dóbr tych położone niedaleko od Prypeci, śród olbrzymich puszcz, mając od północy nieprzebyte bagno Hryczyńskie. Lenin nad Słuczą także do dóbr tych wchodzi, dawne Olelkowiczów, potém Radziwiłłów dziedzictwo, znane już w XV-ym wieku. Łachwa ma ziemi dworskiéj 38,503 dziesięciny, Lenin — 85,066, a wszystkie dawne posiadłości Hohenloe'ych w tym powiecie wynosiły około 220,000 dziesięcin.

V.

Pomiędzy księstwem Pińskiém i Turowskiém wchodził klinem, że tak powiemy, powiat horodecki, stanowiący osobny udział kniaziów Horodeckich, o których wyżéj wspominaliśmy; następnie to księstwo, czy powiat, dzieliło losy terytoryum Pińsko-Turowskiego, stanowiąc z niém jedną całość; powiemy przeto kilka słów naprzód o kniaziach Horodeckich, a potém o miejscowości zajętéj przez to księstwo.

Kniaziowie Horodeccy należą do grupy Pińsko-Turowskiéj, jakeśmy już o tém wzmiankowali; nazwę swoją otrzymali od miejscowości Horodek w Pińszczyźnie, zwanéj następnie Horodek Dawidów, a nakoniec Dawidgródek. Kniaź Iwan Horodecki i brat jego Jur występują przy końcu XIV-go wieku. Kniaź Dawid Dymitrowicz Horodecki z żoną Maryą, córką Olgerda, wpisani do synodyka Lubeckiego; zapewne to ten sam, który w roku 1388-ym, razem z innymi kniaziami, zaprzysiągł wierność koronie polskiéj. Niezawodnie ten Dawid jest założycielem, albo przynajmniéj odnowicielem, owego Horodka, który odtąd zaczęto nazywać Horodkiem Dawidowym.

Synem tego Dawida był kniaź Mitko, wyzuty z posiadłości z rozkazu w. ks. lit. Zygmunta w pierwszéj XV-go stulecia połowie. Potém udział Horodecki nadany został Świdrygielle, a po jego śmierci trzy-

mała tę posiadłości żona jego, Zofia księżniczka Twerska, zwana niekiedy Anną, ale żyła ona niedługo, jak się zdaje, a po jéj zgonie król Kazimierz Jagiellończyk obdarzył Kleckiem, Horodkiem i Rohaczewem kniazia Iwana Wasylewicza Jarosławicza, z książąt Borowskich, o których już także była mowa, co mogło nastąpić w drugiéj połowie XV-go wieku. Kniaź Iwan Wasylewicz umarł w roku 1508-ym, a syn jego jedyny, Fedor, żonaty z Aleksandrą Olelkowiczówną, władał teraz udziałem Horodeckim, a przez żonę i Pińskim, jakeśmy to już wyżéj wspominali, po bezpotomném zaś zejściu jego z tego świata (1521 r.), królowa Bona otrzymała księstwo Horodeckie (oraz Pińsk, Kleck i Rohaczów) i posiadała je do połowy XVI wieku (cf. „Kniaz. Lit.-Rus.", p. 135, 155).

Powiat horodecki zajmował niewielką część wschodnią powiatu pińskiego i znacznie większą zachodnią mozyrskiego; stolicą jego, jak wspomniano, był Dawidgródek. Po wyjeździe Bony z Polski, Zygmunt August darował ten gród, z wielu okolicznemi wsiami, Mikołajowi Czarnemu Radziwiłłowi, bratu pięknéj Barbary, a następnie dobra te weszły w skład ordynacyi Kleckiéj; gdy ostatni ordynat Klecki, Leon, syn Ludwika i Maryi Wodzińskiéj, bezpotomny z Zofią Urusow, przeniósł się do wieczności, ordynacya w r. 1875 połączoną została z Nieświeską w osobie Antoniego, ur. 1833 r., trzynastego ordynata na Nieświeżu, syna Fryderyka-Wilhelma, rodzącego się z Ludwiki księżniczki pruskiéj. Dobra téj ordynacyi w powiecie mozyrskim wynoszą około 24,000 dziesięcin. Najdawniejsze w horodeckim powiecie osady po Dawidgródku będą chyba te, które Świdrygiełło nadał Fedce Wojniłowiczowi: Zabołocie, Nowe-Sioło, Turowiec i Rudnice; miejscowości tych teraz nie udało się nam odszukać, chociaż nazwa Zabołocie spotyka się pomiędzy wsiami powiatu mozyrskiego. Czyżby ów Fedko był protoplastą znanego rodu Wojniłłowiczów herbu własnego, rodu mającego swoich przedstawicieli pomiędzy obywatelstwem w powiecie słuckim i innych w gubernii Mińskiéj—nie umiemy powiedzieć.

Na granicy teraźniejszego powiatu pińskiego w owych stuleciach spotykamy takie pomiędzy innemi miejscowości: Bołohusza, dziś Białahusza, nad Horyniem; Otwierżycze, obecnie Twerżyce; Uholce, albo Uholec, na saméj granicy powiatu pińskiego, posiadłość Kieniewiczów; daléj trochę na wschód już w powiecie mozyrskim: Maleszewo, które nadał król Kazimierz Jagiellończyk (może to nadanie starsze nawet od wyżéj wspomnianego Świdrygiełły nadania) Olechnie; Wielemicze, znane w XVI-ym wieku; Rubiel, starożytna osada, wspomniana

już w jednéj donacyi żony Świdrygiełły; w tymże samym czasie wzmiankowane są Perehodycze, teraz do dóbr ordynacyi Radziwiłłów należące; Olpień, znany z nadania kniazia Fedora Iwanowicza; Berezoja, albo Berezów, w którym kniaź Iwan Wasylewicz darował ziemię w r. 1492 cerkwi Św. Mikołaja w Perechodyczach; Hlinna nad Stwibą, teraz do posiadłości Radziwiłłowskich się zaliczająca; Orły Wielkie i Małe, na granicy także z powiatem pińskim, z czasów kniazia Iwana Wasylewicza już znane; Dworzec i inne.

Marek Gozdawa.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Poradnik dla samouków", wydany przez Al. Heflika i St. Michalskiego z zapomogi kasy imienia d-ra J. Mianowskiego. Częśc I-sza: matematyka, nauki przyrodnicze. Pod redakcyą S. Dicksteina, I. Eismonda, S. Kramsztyka, L. Krzywickiego i A. Mahrburga. Warszawa, skład główny w redakcyi „Prawdy", 1898 r.

Wydawcy „Poradnika dla samouków" tłómaczą we wstępie zadania i widoki zbiorowéj téj pracy, któréj tom pierwszy, obejmujący wskazówki odnoszące się do nauk matematycznych i przyrodniczych (fizyki i mechaniki, astronomii, chemii, meteorologii, mineralogii i geologii, botaniki, zoologii, anatomii, fizyologii i hygieny, antropologii i etnografii, geografii, psychologii, pedagogiki), wyczerpany w edycyi pierwszéj, ukazać się ma niebawem w ponownéj wraz z pierwszą edycyą tomu drugiego, powołanego zawrzéć główne działy nauk humanistycznych (historyę, estetykę, filozofię etc.). Powoławszy się na szybki wzrost czytelnictwa i wzmagający się ruch wydawniczy w zakresie popularno-naukowym, utrzymują oni, że „liczba samouków stale się powiększa"; stwierdziwszy zaś następnie, że wielką pomocą dla samouctwa, nie rozporządzającego zazwyczaj zbytnią ilością czasu, byłoby „wskazanie porządku, w jakim książki czytać należy, aby od łatwiejszych postępować do coraz trudniejszych", wydawcy sądzą, że „w pewnéj chociaż mierze" uczynią zadość istniejącym potrzebom szerokiego ogółu, gdy zaproszą do spełnienia tego zadania specyalistów, a ci, podzieliwszy cały szereg dzieł poleconych do czytania na stopnie (elementarny i wyższy), opatrzą jednocześnie działy wszystkie odpowiedniemi przedmowami, które, wprowadzając samouka do danéj

umiejętności, objaśnią go: „jakie stanowisko umiejętność ta zajmuje w rzędzie innych nauk, jakie znaczenie posiada dla życia praktycznego, jakiego przygotowania przy studyowaniu wymaga i t. d.”

Nadmieńmy bez uwag i wtrącania się w przyjęty układ działów (fizyka i mechanika *przed* astronomią, geologia *po* meteorologii, antropologia *przed* geografią etc.), że skromne ramy powyższego programu wypełnione zostały przez współpracowników najzgodniéj z przyrzeczeniem. Dwustopniowa bibliografia pojedyńczych działów przedstawia się wszędzie zasobnie, nawet bogato, w porównaniu do rozpaczliwego ubóstwa dzieł naukowych, ukazujących się niekiedy za wystawami księgarni warszawskich, krakowskich, lwowskich, poznańskich i petersburskich. Powtóre, introdukcye do tych działów, w wielu razach za krótkie, pobieżne i ogólnikowe, objaśniają akurat tyle tylko, aby samouk, dobrze zapamiętawszy suchą osnowę wskazówki, mógł z pamięci a bez zająknięcia się odpowiedziéć na pytanie: „jakie stanowisko” wybrana przezeń umiejętność zajmuje w rzędzie innych nauk i jaki w pewnych razach pożytek praktyczny dałby się z niéj osiągnąć. Wyłamali się z ram programu dwaj tylko współpracownicy: Ludwik Krzywicki i Adam Mahrburg, — pierwszy dając cokolwiek więcéj nad obietnicę, drugi dając rzecz wcale dobrą, świetną może nawet, o ile o tém wolno wyrokować z punktu widzenia samouctwa psychologicznego pierwszego stopnia.

Ze względu, że zdaniem podpisanego psychologia staćby powinna, a raczéj staćby mogła na czele rozpraw drugiego tomu (nauki humanistyczne), gdzie dla niéj byłoby właściwsze miejsce, niż pod koniec działów przyrodniczych tomu pierwszego, tudzież w przypuszczeniu, że w dalszych wydaniach wszystkie introdukcye (do astronomii np., geologii, fizyologii, biologii i t. p.) znacznie rozszerzone zostaną na wzór introdukcyi Mahrburga, — przytaczamy z téj ostatniéj, w zwięzłych streszczeniach kilka ustępów celniejszych, to jest tych, które albo najłacniéj do przekonania nam trafiły, albo téż, z powodu swéj oryginalnalności wybitnéj, obudzić są zdolne w umysłach, słabo z zagadnieniami psychologicznemi oswojonych, niedowierzające jakieś zdumienie.

Możliwość wpadnięcia w takie zdumienie nastręcza się przedewszystkiém z okoliczności zbyt kategorycznego oświadczenia autora, że psychologia „jest nauką przyrodniczą, w przeciwstawieniu do nauk humanistycznych, jak filologiczne, historyczne i społeczne”, pomimo że „odrębny przedmiot jéj badań zmusza ją w wielu przypadkach do torowania sobie dróg odrębnych, do posługiwania się odpowiednio zmienionemi pojęciami, zasadami i metodami”. Ową odrębność psychologii Mahrburg nacechował w ciągu swych wywodów

tak dobitnie, a osadził ją na podstawach tak twardych, spoistych, że ta jego przypadkowość („w wielu przypadkach") wychodzi niemal na nieodzowną stałość, wyodrębniającą psychologię nietylko od nauk przyrodniczych, lecz od wszelkich bez wyjątku nauk. Świadomość—„fakt w psychologii podstawowy, główny, zasadniczy" sprawia, że kiedy „w s z y s t k i e inne nauki zajmują się zawsze czémś, co bywa lub może być uświadomione, jakąś treścią przedmiotową", to psychologia „zajmuje się samą sprawą uświadamiania, samym faktem świadomości, ze względu na jego znaczenie p o d m i o t o w e, na jego istnienie w nas-istotach myślących, czujących, pożądających." Świadomość jest faktem prostym, pierwotnym, nie dającym się objaśnić lub wysnuć z czegoś, nie dającym się rozkładać tak, jak to czynimy z faktami świata przedmiotowego. „Kto nie jest zdolny z a s t a n a w i a ć się nad w ł a s n e m i stanami świadomości, temu niepodobna objaśnić lub dać do zrozumienia, czém one są właściwie..." W stanach świadomości wyraża się wszelka wiedza, przeto téż i wiedza uporządkowana, czyli nauka. Przytém, psychologia wymaga pewnego s p e c y a l n e g o kierunku działalności umysłowéj, mianowicie postrzegania refleksyjnego, śledzenia swoich własnych stanów psychicznych i przebiegu własnych spraw psychicznych, czyli — jedném słowem — wymaga s a m o o b s e r w a c y i w e w n ę t r z n é j. We wszystkich naukach przyrodniczych mamy do czynienia z przedmiotami podpadającemi pod zmysły; nawet w historyi uprzytomniamy sobie wypadki dziejowe przedmiotowo, nawet w matematyce pomagamy sobie, że p r z e d m i o t o w o myślimy np. o kole i kréślimy sobie jego figurę; wszędzie tu myśl nasza szuka i znajduje punkty oparcia w materyale zmysłowym, od dzieciństwa wdraża się do myślenia przedmiotowego... Psychologia — ona „nie ma nic do pokazania, nie zna przedmiotów, na których zmysły mogłyby spocząć: ona wciąż odwoływać się musi do samoobserwacyi wewnętrznéj, wciąż wymaga refleksyi, zastanowienia się nad stanami i sprawami p o d m i o t o w e m i: obchodzi ją nie to, o czém się myśli, lecz to, że się myśli, nie to co wywołuje uczucia, lecz same uczucia..." Nie opuszcza nas ta samoobserwacya nigdy, wtedy nawet, gdy psychologia, w następstwie swych postrzeżeń b e z p o ś r e d n i c h, wkracza w krainy postrzeżeń i doświadczeń obiektywnych (psycho-fizyologicznych, patologicznych i t. p.). Zawsze i we wszystkiém psychologia wymaga téj obserwacyi wewnętrznéj, gdyż „zastanawiając się nad własnemi stanami i przebiegiem własnych spraw psychicznych, zdobywamy dopiéro ten m a t e r y a ł f a k t y c z n y, to bezpośrednie doświadczenie", które w dalszym ciągu badań „staje się p o d s t a w ą pośred-

niego już objaśnienia życia psychicznego i n n y c h i s t o t, — bo wprost przenikać cudzych myśli lub uczuć n i e m o ż e m y."

W powyższych określeniach spoczywa, zdawałoby się, nieuniknniony pewnik, że psychologia, któréj podstawa tak niewzruszenie osadzoną została na gruncie świadomości i samoobserwacyi wewnętrznéj, podmiotowéj, — z konieczności l u d z k i é j, nieodbicie zaliczoną być powinna do nauk humanistycznych, nie zaś przyrodniczych. Autor wszakże, nie poprzestając na tém, piętrzy jeszcze dowody na dowodach, że właśnie tak nie inaczéj być powinno. „Obejrzeliśmy—powiada w jedném miejscu — całą rozległą dziedzinę psychologii,... dotarliśmy do granicy, po za którą leży olbrzymia rodzina nauk duchowych (humanistycznych). Jesteśmy już po za obrębem psychologii, ale w obrębie jéj prawowitych w p ł y w ó w.. Materyał faktyczny, badany przez nauki humanistyczne, nie byłby p s y c h o l o g i c z n i e zrozumiałym, gdyby te nauki nie posługiwały się psychologią, j a k o n a u k ą p o m o c n i c z ą... Poważne studya humanistyczne bez przygotowania psychologicznego są dziś niemożebne: uczuwają to na każdym kroku nietylko specyaliści, lecz przeczuwa to już ogół, który... radby coś zrozumiéć z tego ogromu zagadnień, jaki obejmują nauki duchowe (humanistyczne)."

Skoro zaś z istoty swojéj, z zasad głównych, z elementarnych sposobów dochodzenia, z kryteryów naczelnych, z górującego wpływu na cały obszar usystematyzowanéj wiedzy humanistycznéj psychologia zdaje się być nauką duchową, dlaczegoż autor zakwalifikował ją do pocztu nauk przyrodniczych? Względy przytoczone na poparcie drugiéj téj tezy są bezwątpienia nader ważne, ale nie przemawiają równie żywo i dobitnie, jak względy stojące w obronie tezy pierwszéj. Odkąd psychologia stała się nauką samoistną (powiada Mahrburg), co datuje się mniéj więcéj stanowczo od połowy naszego stulecia, przybrała též ona charakter nauki d o ś w i a d c z a l n é j. Powtóre, zjawiska i procesy duchowe psychologia bada wszędzie, gdziekolwiek je doświadczenie bezpośrednio lub pośrednio odkrywa, — nigdy zaś doświadczenie nie okazuje nam stanów lub spraw psychicznych n i e z a l e ż n i e o d w a r u n k ó w m a t e r y a l n y c h, czyli inaczéj fizycznych, które znów stanowią właściwy przedmiot badań rozmaitych nauk przyrodniczych. W doświadczeniach naszych procesy psychiczne wiążą się ze swojemi warunkami fizycznemi w sposób nierozerwalny: jedne i drugie zachodzą i trwają w czasie, — stale bywają dane spółcześnie lub bezpośrednio po sobie. Oprócz czasu jest jeszcze jedna forma wspólna zarówno faktom fizycznym jak i psychicznym: ilość; jedne i drugie możemy rozważać ze względu na liczbę i ze względu na natężenie, a o ile

odpowiednie jednostki miernicze byłyby dane, moglibyśmy je badać ściśle ilościowo. A skoro tak jest w istocie, skoro psychologia ma rozważać i badać procesy duchowe w ich stałych uwarunkowaniach fizycznych, oczywistą jest rzeczą, że przystępując do studyów psychologicznych, należy już być obeznanym, w pewnym stopniu, z temi naukami przyrodniczemi, które badają świat materyalny pod rozmaitemi względami (z fizyką, chemią, naukami biologicznemi)... Ani słowa, są to okoliczności dość wyraźnie przemawiające za pewną zależnością psychologii od nauk przyrodniczych, zależność ta jednak nie przedstawia się większą lub ściślejszą od téj, jaka np. zachodzi pomiędzy socyologią lub historyozofią a klimatologią i geologią; a przecież, nie upoważnia to jeszcze bynajmniéj do zaciągania nauk historycznych lub społecznych w poczet nauk przyrodniczych. Przytém sam autor znacznie w wielu miejscach osłabił ów kosmopeizm psychologii rozmaitemi, najzupełniéj zresztą słusznemi zastrzeżeniami, jak np. przy zaznaczeniu ilościowéj wymierności psychologii: „możność rozważania pewnych faktów (są jego słowa) pod względem ilościowym nie stanowi bynajmniéj o tém, jak to niektórzy mylnie sądzą, że nauka badająca takie fakty jest przyrodniczą." Co do doświadczalności psychologii, byłby to wykładnik na stronę przyrodoznawstwa bardzo ważny, niecofniony może, gdyby się dało dowiéść, że w zakresie nauk humanistycznych eksperymentacya zasadniczo jest niemożliwą, a zastąpienie jéj środkami pośredniemi (statystyką np. w naukach społecznych) nie daje równowartości.

Bądź co bądź, jeżeli dla uniknięcia polemiki, z wielu względów niebezpiecznéj z umysłem tak wytrawnym i wyćwiczonym jak umysł Mahrburga, małe nieporozumienie w podrzędnéj kwestyi klasyfikacyjnéj włożymy wyłącznie na karb własnéj niedomyślności, wyznać będziemy musieli, że z pedagogicznego punktu widzenia, który w poradniku dla samouków dominuje i dominować powinien nad wszystkiemi innemi, introdukcya Mahrburga zadawalnia chyba najwybredniejsze, najbardziéj naukowo wykwalifikowane wymagania. Zabiegliwość, z jaką autor toruje przed nowozaciężnym uczniem psychologii przejścia trudne lub uważane nieraz za niemożliwe, oraz pieczołowitość, z jaką wytknąć mu usiłuje nietylko wszystkie istotne szkopuły lekkomyślnego ubiegania się o szybkie rezultaty bez uprzedniego przygotowania się i pracy, ale też stara się uchronić go od przesadnych obaw lub zawczesnego zniechęcenia, — odbijają się w trzeźwéj, poważnéj, surowéj jego prozie dziwnie uroczą jakąś życzliwością, która zjednywa i zniewala zarówno nieposzlakowanie dokładnym rysunkiem rozumowań, jak i miękką, łagodną barwnością kolorytu uczuciowego. Czuć z każdego

błyśnięcia myśli, z każdego stylowego zwrotu słowa, że autor nietylko sam wyśmienicie i gruntownie zna przedmiot, o którym mówi, ale téż, że rad byłby czytelnika swego drogą o ile możności najkrótszą zaprowadzić w głąb, do wnętrza umiłowanego przedmiotu. Szczególnie miłą, wzruszającą jest z tego względu odprawa, jaką autor daje tym, co z powodu niezbędności oparcia studyów psychologicznych na pewnym zasobie wiadomości z fizyki, chemii, biologii, doradzają samoukowi odłożyć na czas nieokréślony psychologię i zabrać się do szczegółowszego zrekognoskowania — jéj przedsionków naukowych... „Wszak poznać je trzeba, bo właśnie nie wiemy, co z nich może się okazać potrzebném w przebiegu przyszłych studyów psychologicznych...” Tak się rozumuje najczęściéj — i w imię téj argumentacyi rozpoczyna się długa i mozolna droga, wymagająca oczywiście stosów podręczników i lat wielu,—droga, która prawie nigdy do celu nie prowadzi, a prawie zawsze usuwa cel bezpośredni na plan tak daleki, że staje się on jakąś mrzonką, rzewném wspomnieniem nieziszczonych zapędów młodzieńczych. Każdy z nas zna setki pełnych nadziei samouków, znamy imponujące programy, które ich miały pewną drogą do celu zaprowadzić i znamy niestety cały czyściec zwichniętych na téj drodze dobrych chęci i zawiedzionych nadziei. Rzecz prosta, tą drogą nie idzie się do celu: gdyby ludzie nie mieli odwagi puszczać się na morza, których dna nie znają, toby słupy Herkulesowe było dotąd nieprzebytą granicą starego świata. Powiedzmy wyraźniéj: gdyby każdy kandydat na psychologa musiał nasamprzód zostać fizykiem, chemikiem, biologiem i kto wié czém jeszcze, tobyśmy nie mieli ani psychologów, ani psychologii... Tak źle jednak nie jest — pociesza autor — jest bowiem inna droga, mniéj wprawdzie uroczysta, ale z pewniejszym skutkiem wiodąca do celu.

Tę skuteczniejszą drogę autor formułuje. Po nabyciu kilku wstępnych wiadomości, szczegółowo w introdukcyi omówionych, a nieodzownych dla stawiania chociażby pierwszych kroków w psychologii, samouk w dalszych pracach poprzestać może na trybie postępowania, znanym w polityce pod mianem oportunizmu: posuwać się będzie od przypadku do przypadku, zapełniając braki i luki, stosownie do nawijających się trudności lub potrzeb, informacyami przygodnemi, zaczerpniętemi z książek odpowiednich lub u właściwych fachowców. Ponieważ zaś nawet psychologowie z rzemiosła nie inaczéj często specyalizują się w pewnych kierunkach, wytkniętych przez przebieg studyów lub skłonności osobiste, autor przeto nie waha się zalecić samoukom okoliczno-

ściowego, stopniowo-nabiórczego tego trybu, którego wielostronne korzyści umié uwydatnić przekonywająco i rozwinąć ponętnie.

I. T. Hodi.

Scarabejus. „Wrażenia starego kawalera.“. Petersburg, księgarnia. K. Grendyszyńskiego, 1898.

Mały tomik o 200 niespełna stronniczkach ładnéj szesnastki, wydanéj starannie, na dobrym papierze, składa się aż z ośmiu zarysów różnorodnéj osnowy. Właściwe wrażenia starokawalerskie, od których książeczka otrzymała swój tytuł, są tylko jakby wstępem, uwieńczonym drugą z rzędu nowelką, p. t.: „Oświadczyny”. Tu i tam wpływ sienkiewiczowskiego „Bez dogmatu” widoczny, pomimo, że sam autor, opisujący w mieszanym tonie ironii, dobroduszności i zniechęcenia sentymentalne swe przygody, chybione o tyle tylko, iż niewiadomo zupełnie dla czego się naprawdę nie ożenił, gorliwie kryje się i broni od posądzeń o płoszowszczyznę, udając owszém tu i owdzie tężyznę junacką, niezbyt ściśle przystającą do podniecanéj i rozdmuchiwanéj w sobie swady poetyckiéj. W tych półświatłach i półcieniach stylu, niezdecydowanego pomimo pracy i sadzenia się, autorowi udaje się niekiedy trafić na motyw, charakterystykę, spostrzeżenie lub sytuacyę nader zajmującą, — ale „żyłki” odkrytéj nigdy nie może należycie i do końca wyzyskać, choć ciągle usiłuje pokazać, że wyzyskać n i e c h c e. „Idziemy naprzód i wszystko znika. Gdzież wy to teraz czarne oczy, na kogo patrzycie i czy w trudzie życiowym, w codziennéj męce nie pozbyłyście się téj promienistéj siły, k t ó r a n a w e t s z t u c z n i e p o z u j ą c n a o s c h ł o ś ć s e r c a, zwyciężać umiała?”... Rys „pozowania na oschłość” — wyśmienity, ale do niego autor dodaje następnie zaledwie parę nikłych punkcików, parę w żadnym kierunku niezdecydowanych kresek — i rzut pierwotny, fizyognomię zapowiadający, rozwiewa się i zapada w nicość. Od oschłego pozowania czarnych oczu, Scarabejus wnet przechodzi do własnego pozowania na człowieka „seryoznego” (jego to cudzysłow), i pamiętniczek wrażeń młodości, dwubiegunowo w ten sposób rozproszonych (str. 8), daremnie się późniéj kręci dokoła tańczącéj na balu „uroczéj” podolanki: wrażenia uroku nie daje, bez względu, że autor, naprawiając spóźnionym zachodem psotę zawczesną, nie przestaje zdobywać się na wykrzykniki: „Boże, jaka siła, jaki wdzięk bije od téj dziewczyny! Taka ona cała śliczna, że się wprost dusza raduje na nią patrząc, najcięższa zgryzota ustąpi,

i świat się wyda weselszy..." Wielka niemoc w następstwie przecholowanego mnóstwa drobnych efektów i drobniejszych jeszcze afektów, takby chyba należało tłómaczyć sobie stylowe niepowodzenia Scarbejusa; bo co do przyczyny niepowodzeń matrymonialnych, zachodzi wielka wątpliwość, azali autobiograf dokładnie zdał z niéj sobie sprawę w następującéj deklaracyi, wtrąconéj w sam środek zachwytów nad czarnemi, a piwnemi lub fiołkowemi oczyma: „Odkiedy zaczęto rozprawiać o moich dochodach, mniéj daleko mam powodzenia u młodych pań i panien, pomimo rozmaitych przyjaznych awansów ze strony matek i ciotek... Wspominać o tych awansach nie myślę (?), — tak jak i nie myślę wspominać o dziesiątkach rozmaitych Magdalen, które przeszły przez moje ręce. Nie pozowałem nigdy na moralistę, więc nigdy mi nie przychodziło do głowy szukać duszy, gdzie było tylko ciało, lub ofiarowywać duszę, kiedy żądano tylko portmonetki... Z takiém usposobieniem, naturalnie, że się nigdy ożenić nie mogłem" (29). Trzeci z rzędu kawałek, pod napisem: „Powrót dziedzica", powstał również z notatek autobiograficznych, ale już ma pewne zaokrąglenie nowelkowe z zabarwieniem publicystyczném niezbyt sympatyczném. Scarabejus po śmierci rodziców został dziedzicem kawałka ziemi odłużonéj, którą puścił w dzierżawę. W czasie pierwszych odwiedzin schedy zawiązuje, między innemi, z córką dzierżawcy, Marynią, rozmowę na temat niezłomnego stania przy zagonie ojczystym. Tematu tego z zapałem i uniesieniem serdeczném broni dziewczyna, — natomiast dziedzic, który czytelnika zaraz na wstępie spotkał przekąsem, że „tyle-bo napisałem wymównych artykułów o konieczności trzymania się ziemi, tak ostro oburzałem się na frymarki poznańskie", zaczyna interlokutorkę okładać chłodnemi kompresami uwag ekonomicznych, nasuwających na razie przypuszczenie, że chodzi tu chyba o jakąś nową „pozę." Ale nie... Autor-dziedzic na seryo karci dziewczynę za to, że patrzy na rzeczy w sposób zbyt... wyrozumowany. „Ach pani (powiada), praca koło roli jest podstawą bytu, a nie przedmiotem tendencyjnéj propagandy (?), która jak rak toczyć zaczyna wszystkie nasze funkcye społeczne... Hasło, którém się pani szczycisz, toć nie nowina, — nie propagowały go dawniejsze pokolenia, tak jak się nie propaguje miłości rodzinnéj, właśnie dlatego, że było to w nich uczucie wrodzone, a nie wyrozumowane, prawda, a nie szyld (?)... Dzieje wyrobiły u nas naturalny typ rolnika szlachcica... a wy dziś chcecie go zastąpić jakimś tendencyjnym bohaterem krzykliwego romansu o ziemi ze szkodą dla niéj saméj..." Na zapytanie zacnéj dziewczyny: „Dlaczegożbym ja właśnie nie miała posiadać téj normalnéj siły uczucia, dlaczego pan mi téj wiary odmawiasz?..."—dziedzic-publicysta wpada w jakiś ferwor, w którym

stanowczo plecie od rzeczy: — „Dlaczego, dlaczego... Dlatego, że pani, jak i ja, jak i tysiące, należysz do niedokrewnego pokolenia, które przyszło na świat po ciężkiej burzy, w chwilach niemocy i zwątpienia... Oto nasz grzech pierworodny... Powiedz, czém przysłużyło się to pokolenie, dziś dobiegające męzkiego wieku, czém powiększyło spuściznę dziejową? Gdzie jego ludzie wielcy, gdzie jego dzieła i pamiątki?... Czy brakowało nam talentu? — Ach nie, mieliśmy tylko i mamy wrodzoną do czynu niezdolność" (88). Masz babo kaftan! Ależ właśnie odwieczna nasza mądrość rodowa wypadek ten zawczasu przewidziała, powiadając: „Gdyś do niczego—oburącz trzymaj się roli..."

W „Cioci Marcysi," pomyślanéj bardzo dobrze, choć skrojonéj nieco za pompatycznie, z przesadą i skrzywieniem prowincyonalnego litewskiego typu cioci, autor zręcznie i wytrawnie zestawił dwa momenta historyczne, ten, kiedy Marcysia poznała w Paryżu pewnego oficerzynę lejtnanta komuny, — i o lat dwadzieścia późniejszy, kiedy tegoż lejtnanta zobaczyła w Petersburgu, jadącego w otwartym koczu, z czerwoną wstążeczką na piersi, pośród okrzyków i pozdrowień tłumu... Wreszcie, na kilkunastu ostatnich kartkach książeczki Scarabejusa mieści się szereg dumań lub rozbiorów syntetyczno-krytycznych w duchu pessymistycznym i opurtunistyczno-zachowawczym. Rozmyśla autor na cmentarzu petersburskim nad przyszłością mniéj więcéj daleką, kiedy stare te groby znikną, a nowe będą niepotrzebne; rozmyśla w „*Custos quid de nocte*" nad olbrzymim stosem dzieł Zoli, które, jak sądzi wbrew zdaniu przyjaciela, z którym się o to spiéra, zawierają „filozofię być może poziomą i niedostateczną, ale posiadającą tę wyższość, iż jest powszechną", wszystkich zadowolnić zdolną; rozmyśla w „Jeruzalem", z okoliczności podróży Lottego do ziemi Świętéj, nad tém, iż „pierwszém zadaniem każdego człowieka myślącego jest dokopać się do niewzruszonéj we własnéj duszy opoki, gruzy wywieść lub spoić je niezniszczalnym cementem wiary i dopiero na takim fundamencie dom swój umysłowy stawiać"; rozmyśla wreszcie w „*Vanitas vanitatum*" nad własnemi przywidzeniami nocnemi i dochodzi do tegoż samego niemal wniosku, co i Sienkiewicz w sławnéj swéj formule: wszystkie filozofie, jedna po drugiéj w nicość się rozsypują, gdy tymczasem msza się odprawia ciągle... Nie ulega wątpliwości, że Scarabejus myślał w życiu dużo, ale rozrzutnie; czytał jeszcze więcéj, ale przygodnie, według upodobań chwili; posiada wiedzę rozległą, ale nie uporządkowaną, nie systematyczną. Zasoby te z pewnością pójdą na marne, jeżeli autor, zamiast skupić je do pochodu naprzód, zwijać zacznie wstecz, do odwrotu.

Hodi.

Michał ks. Radziwiłł. „Bliźni“, z ilustracyami Czesława Jankowskiego. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1898 r.

Pod tym wspólnym tytułem mieści się pięć nowel, dość wyraźnie nacechowanych wspólnością treści i wykonania. Obrazki to rodzajowe, wszystkie bardzo dobrze malowane. starannie w szczegółach wykończone, a wysnute z postrzeżeń bytu rzeczywistego, na tych jego poziomach, które oblewa szare i ciężkie powietrze ubóstwa, nędzy, niedoli. „W jednéj izbie” — mieszkają na łaskawym dworskim chlebie dwie gracyalistki: siedmdziesięcioletnia Muszyńska i o parę lat od niéj młodsza Stępniewska. Zarząd gospodarstwa należy do Stępniewskiéj, jako trzymającéj się jeszcze na nogach; Muszyńskiéj — to już nietylko nogi, lecz i oczy zaczynały niedopisywać powoli, a wszakże, pomimo wzrastającego niedołęstwa, gryzła ją niepomiernie niekiedy ta dominacya usłużnéj zresztą i przywiązanéj, lecz bądźcobądź młodszéj towarzyszki. Wywiązywały się stąd zwykle szorstkie zatargi i kłótnie, po których „obie wpadały w dąsy i długie milczenie, trwające niekiedy dni kilka”. Jednostajne dzieje pożycia téj kochającéj się nienawistnie pary przerwał pewnego dnia Jędrek, „chłopak rudy, który przy stajni służył, a konno na pocztę latał co drugi dzień”; wpadając na podwórze, zawołał on do Sypniewskiéj: — „Przyszła beczka dla pani...” — „Jaka beczka?” — zapytała staruszka. — „A no, nie wiem. Na poczcie pan poczmajster mówili, że to dla pani, i żeby pani sobie prędzéj zabierali...” Muszyńska, choć nie wiedziała wcale, co beczka zawierać mogła, już zazdrościła Stępniewskiéj... Dopiéro, gdy we trzy dni po awizacyi przesyłkę doręczono, okazało się, że beczka przychodziła od córki Stępniewskiéj z Libawy, a zawiérała .. ryby. Kłótnia o te ryby, choroba Stępniewskiéj, serdeczna skrucha Muszyńskiéj na wiadomość od księdza, że „już nadziei niema”, — opisane zostały z niezmierną dbałością o wypukłość sytuacyi, któréj rozwiązanie, przed samym zgonem Stępniewskiéj, ujęte zostało w następujący dyalog u śmiertelnéj pościeli: — „Mój koniuszek już nie daleki” — szepnęła Stępniewska. — „Ze mną takoż nie osobliwie, pani droga”—westchnęła towarzyszka. A po chwili, jakby uderzona myślą nową, Muszyńska dodała: — „Pani Stępniewska, toć pani teraz będziesz na niebieskiéj gracyi...” Chora jęknęła: — „Boże miłosierdzia! zmiłuj się nademną!” — „Pani moja! — ciągnęła Muszyńska — człek do trumny nic nie zabierze... śmierć to śmierć i pokarmu nijakiego jéj nie trzeba... Mnie pani zostaw swoją morską rybę...” Sens moralny powiastki oczywisty: ludzie nawet nad krawędzią grobu nie przestają instynktami swemi na-

leżéć do najsprośniejszego gatunku zwierząt domowych, jeżeli nad nimi nie czuwa i nimi nie kieruje opatrzny promień dyscypliny wyższéj, moralnéj. Pierwszą połowę tego aforyzmu demonstrują bliżéj dwie nowelki z nad morza: „Wrócił do swoich" i „Piotr"; druga połowa sentencyi znalazła artystyczne uwydatnienie w „Siostrze Anastazyi", która opiekuńcze swe ramiona rozciąga na dwa również arcydziełka: „Wuj" i „*Agnus*". Wrócił do swoich chłopiec okrętowy—a wrócił wtedy dopiéro, gdy po latach pogardy, lekceważenia i znęcania się nad nim marynarzy dorosłych, nadeszła klęska pod postacią burzy i deska ocalenia znalazła się w ręku malca; na desce téj chłopiec dopłynął do brzegu, ratunek dawnym swym prześladowcom zapewnił, — ale sam z nadmiernego wycieńczenia ducha wyzionął, jak tylko twardego gruntu pod sobą się dotknął. Miał szkaplerzyk na piersi, więc go nie zawiodła szlachetna gotowość do poświęceń na rzecz współbraci; ogromna reszta spraw i dzieł ludzkich, pozostawiona wyłącznie ziemskiéj logice swojego istnienia, toczy się tymczasem, zatacza, — wznosi się, opada, — płaszczy się, uderza... zupełnie na oślep, bez rozwagi i opamiętania, jak to morze dokoła szalejące, bezdennie głuche, bezbrzeżnie kapryśne. W Piotrze, tęgim, rosłym, zawadyackim marynarzu, co rozkochaną Maryannę uwiódł a uwiódłszy opuścił z grubiańskiém słowem pożegnania: „Pocieszysz się! teraz znasz sposób..." — sumienie obudziło się wprawdzie, ale kiedy? w jakich warunkach? pod naciskiem jakich okoliczności? — Oto wówczas dopiéro, gdy wściekły orkan go opadł, a on zawołał: „Królowo niebieska! wróć mnie na ojczyzny łono! zafunduję ci za to wotum większe od maćkowego przed Twym ołtarzem i zaślubię imienniczkę Twoją, Maryannę..." I tu również, oprócz téj jednéj gwiazdy żadna inna nie świéci na nieobjętych przestworzach niebios, wód i ziemi — ciemnych, słotnych, złośliwych bez powodu, uśmiechających się bez myśli, mętnych, osowiałych, często plugawych. Jakże inaczéj dzieje się tam wszędzie, gdzie czujne skrzydła pomocy i miłosierdzia rozpostarł anioł ładu i harmonii w postaci siostry Anastazyi! W obudwu odsłonach boskiego tego na naszych padołach dramatu, w „Wuju" i w „*Agnus*" nie zbywa wprawdzie na żywiołach rozstroju, zamętu, a nawet rokoszu, nurtujących łono czeladzi rzemieślniczéj, ogniskującéj się w internacie klasztoru po-dominikańskiego (między ulicą Freta a Starą), gdzie się odbywają wypadki główne. Ale, tak czy inaczéj — zawsze w końcu zwycięża pobłażliwość, słodycz, wytrwałość w czynieniu tego, co każe duch boży. Młodzieniec z zasad i życia nieposzlakowany, zawodzi, — zamiast oczekującego nań sakramentu kapłaństwa niespodziewanie obiéra sakrament małżeństwa; strat jednak stąd nie wyniknie: oto bowiem młodzieniec drugi — hultaj zdawało się

i obieżyświat skończony, uczuwa w sobie nagle powołanie, któremu tamten nie sprostał. Oto zjawia się coś stokroć gorszego jeszcze, wyrodek, buntownik, socyalista, rozpustnik uparty, zakamieniały, a niepoprawny z wyrozumowania i teoryi. To nic, byle starczyło cierpliwości przełożonym; nie poskutkuje jedno, drugie, piąte, dziesiąte, dwudzieste — poskutkuje dwudzieste i pierwsze. Rzeczywiście, zachorował ktoś z chóru utrzymywanego przy patronacie. Proszą naszego zberaźnika, — znanego niegdyś tenorzystę, aby sytuacyę ratował, gdyż uroczystość nie czeka... Ale on — jakże on zaproszenie przyjąć może, skoro od lat ośmiu nie był w kościele — „z zasady"... Przyjął jednakże: lubił śpiew, a przytém — zaśpiewa właśnie „dla niéj" (dla jakiéjś tam zapewne emancypantki z poddasza, co mu „sztrucel dała")... Nie trudno przewidziéć, na czém się to skończyło. Odświętny ceremoniał służby Bożéj i wspomnienia młodości wzięły górę. „Zapatrzony na kościół, Strumło (bo tak się renegat nazywał) doznawał przyjemnego uczucia. A toż przecie od lat dwudziestu dwóch znał te łuki i sklepienia... Toż zaraz po śmierci matki wszedł był do zakładu, jako sierota... Pamiętał to wszystko: kiedy był mały, klęczał na prawo, w prezbyteryum, tam przy stalach; potém, jako starszy, stawał już w środku kościoła. W tém miejscu nazbiérało się i dziś sporo czeladzi. Spostrzegł wśród nich oto swojego przyjaciela, Antka... Zdziwi się, gdy go usłyszy!..." Było istotnie co słyszéć. W miarę, jak się nabożeństwo rozwijało, głos Strumły rósł, potężniał, — aż doszło do *Agnus*... „Przysunąwszy się do balustrady, z rumieńcem gorączkowym na twarzy, ze zwojem nut, które mu drżały w ręku, — Strumło upajał się własnym śpiewem i muzyką. Odkąd żył, nie doznał jeszcze takiego wrażenia. Obudzone dzisiaj wspomnienia moralne, majestat wielki i nastrój uroczysty świątyni oddziaływały razem na niego. Ogarniało go wzruszenie jakieś błogie i nieznane. Śpiewał, nie widząc nut, które mu w oczach bladły, to ciemniały... Tony same z ust jego płynęły, szedł pamięcią za tą pieśnią drogą, w któréj się odnajdywał cały, jakim był dawniéj, przed laty... Śpiewał tak, jak w nim rozrzewniona dusza śpiewała Zdawało mu się, że za powiewem melodyi on sam uleci ku filarom, ku tym światłom i ołtarzom. Wydobywał z pod serca dźwięki tak rzewne, tony tak szczere, tak czyste, powtarzał słowa pieśni z takim żalem pokornym i łzami w głosie, że teraz samego siebie już wzruszał do głębi, na równi z całym tym ludem, klęczącym tam wśród kościoła, na dole..." Nawrócenie było dopełnione; zgódźmy się zaś, że nie mogło się odbyć w sposób wznioślejszy i w warunkach odpowiedniejszych. Wolno każdemu czynić zastrzeżenia pod względem tendencyjności opisów podobnych, ale przyznać musimy, że w danym wypad-

ku talent autora i dobra, przedmiotowa, u najcelniejszych mistrzów francuskich zapożyczona metoda pisarska złożyły sobie jedno z najpiękniejszych świadectw. „Bliźni" księcia Radziwiłła pozostaną w beletrystyce polskiéj nabytkiem cennym i trwałym. *St. F.*

Mieczysław Pawlikowski. „Baczmaha", szkic powieściowy, ilustrował W. Tetmajer. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1898, str. 255.

Problemat filozoficzny w wytwornym stroju beletrystycznym: chodzi o rozwiązanie zagadki (boć chyba nie zagadnienia naukowego), jak w chwilach nieuniknionego zgonu fizycznego zachowuje się świadomość umiérającego, jeżeli i o ile jest obudzoną. Odpowiedź przedstawioną została w podwójnéj formie: fikcyjnéj i w warunkach możliwie realnych. Różnice uwydatnienia — tu i tam — naturalnie, ogromne. Autor w towarzystwie 20-letniego swego przyjaciela, Antoniego, „śmiałego a wypróbowanego" turysty, wybiera się pewnego dnia z Zakopanego w tatrzańskie okolice Kościelisk, Ornaku i Staréj Roboty, w celu przetrząśnięcia grot, jaskiń, jam i dziur tamecznych pod względem archeologicznym lub tylko, w ostatecznym razie, ogólno-przyrodniczym. Po wielu przygodach, opisanych z wdziękiem i swobodą, na pół poważnie, na pół humorystycznie, pan Antoni wydobywa z niebezpiecznéj jakiéjś kryjówki dokument jedyny w swoim rodzaju: historyę z końca wieku XVIII-go Jmci pana Józefa Kalasantego na Meleszkach Baczmahy, towarzysza usarskiego, spisaną przez niego samego na odwrotnéj stronie indygenatu pergaminowego w okolicznościach zaiste cudownych, niemożliwych: oto szlachcic nasz, wracając przez Tatry z wyprawy konfederackiéj, wpadł do przepaści, ugrzązł w jakiéjś glinie niebywałéj, żywił się gliną przez lata całe, nogi mu już puchniały, ciało opadało z kości, a on żył i biczował się rapciami i przy świetle gromnicy pisał memoryał inkaustem krwi własnéj, wśród okropnych widzeń powolnego konania... Coby to być mogło? — „Opowiadanie Baczmahy (zaznacza autor w reporterskim tonie dobroduszności niezachwianéj) przypominało wrażeniem grozy słynne obrazy belgijskiego malarza „ostatnie marzenia ściętéj głowy", przypominało także poemat o „Piaście Dantyszku". Pomysły Baczmahy miały wszystkie cechy chorobliwych pomysłów ze schyłku romantycznéj epoki; język jednakże i grafika nosiły tak wyraźny i tak wiernie w każdym szczególe zachowany charakter pism z połowy przeszłego stulecia, że co do czasu powstania tego rękopisu trudno było powziąć zdanie stanowcze... Sta-

nowczym w zdaniu mógł być jedynie sam zdobywca rękopisu, pan Antoni, który jako zakochany w pannie Józi, pupilce, czy kuzynce autora, sfabrykował najprawdopodobniéj dokument w nadziei pozyskania w jéj oczach, za pośrednictwem p. Mieczysława Pawlikowskiego, sławy równéj, być może, sławie pierwszego wynalazcy „Pamiętników Paska”. Cóżkolwiekbądź, p. Pawlikowski, w powrocie do Zakopanego, rozstaje się z panem Antonim i odwiedza po drodze, na polanie Pysznéj, towarzystwo pań, które zamierzało oglądać dnia następnego w Bystréj, wschód słońca. W Pysznéj przekonywa się autor, że Józia żadnych sztucznych podniet w sprawie wywzajemnienia sentymentów pana Antoniego nie potrzebuje; na samą bowiem wzmiankę o protegowanym przez ciocię konkurencie, panu Adolfie, zamożnym, głupkowato-zarozumiałym ziemianinie z sąsiedztwa, odrzekła z przekonaniem: — „Wolałabym skoczyć w tę oto przepaść, niż wyjść za takiego pana Adolfa...” A jednak — właśnie za Adolfa wyszła. Antoś tegoż samego dnia jeszcze stracony był dla niéj — i dla świata: w powrocie do Zakopanego, po rozstaniu się z p. Pawlikowskim, powinęła się mu noga i runął w otchłań skalistą... Iskrę życia ocalono w nim, dzięki staraniom pana Adolfa, do którego majątku zaniesiono okrutnie potłuczone i zmiażdżone ciało młodego turysty. Rany się zagoiły, ale z urodziwego młodziana pozostał tylko kawałek jakiegoś potwora — bez myśli, bez wyrazu, bez duszy prawie: idyota we wstrętnéj powłoce fizycznéj. W kilka lat późniéj, kiedy staraniem i sumptem pani Adolfowéj, umieszczono smutną tę pozostałość dawnego Antosia w jednym z zakładów wiedeńskich, — autor odwiedził nieszczęśliwego towarzysza wyprawy tatrzańskiéj. Patrząc na nieboraka, przyszło mu na myśl, czyby się nie dało z pomocą skupionych środków podniety wewnętrznéj i zewnętrznéj ocknąć w potworze, na jedną chociaż chwilę, świadomość drzemiącą, czy téż zamarłą. Spróbowano. „Drgnął... wzrok utkwił we mnie z wyrazem żdziwienia i zdawało mi się, że mnie poznał. — Poznajesz mnie? — wrzasnąłem mu do ucha... Głowę przechylił w dół ruchem potakującym, poruszył ustami, ręką zrobił gest jakiś... — Józia cię kocha! — wrzasnąłem mu do ucha po raz drugi... Podniósł nieco głowę, spojrzał na mnie senném okiem, którego blask, chwilowo rozpalony, niknął jak dogasająca iskra. Poruszyły się jego wargi, jakby usiłował przemówić. Otworzył wreszcie usta i wydobyło się z nich jedno, jedyne słowo, okrzyk — strasznym, przeciągłym, jakby podziemnym, z głębi grobu wydanym głosem, — jedno słowo, mnie samemu tylko zrozumiałe: Baczmaaaaa... ha!” — Słowo to zrozumiałe zapewne będzie także i czytelnikowi, jeżeli zgodzić się zechce na przy-

puszczenie nasze, że dziwaczny, iluzyjny pomysł rękopismu z wieku XVIII-go ilustrować tu ma w sposób jaskrawy realną pieczarę świadomości, pogrzebowo-dogorywającéj w Antonim.

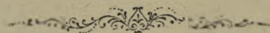
Treść opowiadania, niezwykle smutna, smutniejszą jeszcze się wydaje wobec prześlicznie skréślonych scen i dyalogów podwójnéj wycieczki w Tatry, a ta piękna Józia, więdnąca w epilogu jak zasuszony fiołek na trumnie nadziei i obietnic młodości, wywołuje współczucie rzewne, wydobywa łzy z oczu. ***

„Słownik języka polskiego" ułożony pod redakcyą Jana Karłowicza, Adama Kryńskiego i Władysława Niedźwiedzkiego. Zeszyt I. Warszawa, 1898 r.

Z prawdziwą przyjemnością powitaliśmy w kwietniu r. b. zapowiedź wydawnictwa, podjętego przez grono ludzi dobréj woli, a tak niezbędnego dla każdego narodu, miłującego swój język i swoją literaturę. Oddawna dawał się odczuwać u nas brak encyklopedycznego słownika, zawierającego wszystkie skarby mowy naszéj ojczystéj i usuwającego z niéj różnorodne dziwolągi językowe, pokutujące w publicystyce, a nawet i w poezyi. Pomnikowe dzieło tego rodzaju Lindego stanowi obecnie omal że nie rzadkość bibliograficzną, a zresztą wobec ciągłego rozwoju języka i nowo odkrytych jego zabytków, nie jest teraz zupełnie wystarczające. Tę ważną w naszém piśmiennictwie lukę zapełnia obecnie „Słownik języka polskiego", wydawany pod redakcyą osób, wymienionych w nagłówku, a tak dobrze znanych ze swoich prac na polu naszego językoznawstwa. Trzeba było wielu lat pracy, aby zebrać potrzebny materyał z różnych książek i rękopisów, kilkudziesięciu specyalistów w różnych dziedzinach umiejętności poświęcić musiało wiele czasu i studyów, zanim redakcya mogła przystąpić do ogłoszenia rezultatów swych trudów. I oto rezultaty te leżą przed nami pod postacią pierwszego zeszytu tak pożytecznego wydawnictwa. Znajdujemy tu objaśnienia wyrazów, począwszy od *a* i skończywszy na wyrazie *blacha*; stanowi to spory tom o 160 stronnicach drobnym drukiem, w dwie kolumny. Przy każdym wyrazie znajdujemy: 1) treściwe, ale dokładne objaśnienie znaczenia i wszystkich jego odcieni, nawet najdrobniejszych — przy niektórych wyrazach liczba tych odcieni dochodzi do kilkudziesięciu; 2) kilka typowych przytoczeń i przykładów z różnych autorów i przysłów, uwydatniających znaczenie wyrazu; 3) pochodzenie wyrazu, t. j. pierwiastek jego, jeśli jest swojski, lub odpowiedni wyraz obcy, od którego się wyprowadza, jeżeli jest cudzoziemskiego pochodzenia. Co się tyczy znaczeń wyrazów, to zachowany jest ten porządek, że naprzód wymienione jest pierwiastkowe

znaczenie, potém zaś idą pochodne i przenośne; przykłady i wyciągi czerpane są z całéj bogatéj skarbnicy naszéj literatury od najdawniejszych jéj zabytków aż do współczesnych autorów; część słoworodowa przyczyni się zapewne do wyrugowania bałamutnych pojęć co do pochodzenia wielu wyrazów. — Wszystko to podane jest w formie tak treściwéj, że w całym tym pierwszym zeszycie mało można spotkać artykułów, których rozmiary przenoszą pół szpalty; dłuższe objaśnienia wywołały wyrazy: *a* (spójnik i wykrzyknik), *ani*, *baba*, *bawić*, *biały*, *bić*, *biec*, *bieda*, oraz kilka innych. Do słownika, oprócz wyrazów języka żywego i literackiego, weszły także liczne wyrazy staropolskie, oraz gwarowe i gminne, których opracowania podjęli się A. A. Kryński i J. Karłowicz; nie pominięto nawet wyrazów błędnych i wadliwie ukutych, lecz dla zaznaczenia, że należy ich unikać, postawiono przed nimi wykrzyknik; znak zapytania przy objaśnieniach słoworodowych oznacza wątpliwą etymologię. Za ścisłość objaśnień odpowiadają nazwiska wymienionych w zapowiedzi współpracowników; oprócz głównych redaktorów znajdujemy tam imiona takich zasłużonych działaczy w różnych gałęziach wiedzy, jak: J. Baudouin de Courtenay, ś. p. Józef Bliziński, prof. Samuel Dickstein, prof. Antoni Kalina, L. Korotyński, Ad. Mahrburg, Leopold Méyet, ś. p. prof. August Wrześniowski, Bronisław Znatowicz i wielu in. Komitet redakcyjny wyraził się, iż wydany przezeń „Słownik" wychodzi nakładem prenumeratorów — inaczéj mówiąc, komitet liczy na życzliwe poparcie szerszych warstw publiczności, która bezwątpienia zainteresuje się dziełem tak niepospolitéj wartości. I my téż nie wątpimy, że „Słownik" znajdzie się w ręku każdego inteligentnego Polaka, pragnącego mówić i pisać poprawnie w swym ojczystym języku. Do rozpowszechnienia wydawnictwa przyczyni się zapewne i niebywale nizka cena prenumeracyjna: 50 kop. za tom o 160 stronnicach, 10 rubli za całość, składającą się z 4-ch grubych tomów, — za taką cenę nie sprzedają się u nas nawet romanse sensacyjne. Redakcya przystąpiła do swego dzieła „pod dobrą wróżbą setnéj rocznicy urodzin Adama Mickiewicza, arcymistrza słowa polskiego", jak mówi w prospekcie; nie omyli jéj ta szczęśliwa wróżba: ci, którzy rozchwytali „Przysłowia" Adalberga i „Wstęp do filozofii" Struvego, wynagrodzą niezmordowanym współpracownikom „Słownika języka polskiego" poniesione trudy.

Henryk Galle.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *Stanisław Koszutski.* **Z bólów duszy.** Warszawa, 1898 r. — Zbiorek powyższy składa się z dwóch części: w pierwszéj widzimy kilka fantazyi poetyckich, prozą pisanych, w drugiéj — sonety. Jak z samego zatytułowania zbiorku wnosić można, p. Koszutski należy do téj licznéj rzeszy poetów zbolałych i zrozpaczonych, od których roi się w literaturze od czasów „Manfreda" i „Child-Harolda". Najlepiéj sam poeta charakteryzuje swój nastrój w jednym z udatniejszych sonetów, p. t. „Nie wiem", który stanowi dość zręczną parafrazę słynnego orzeczenia: *Cogito, ergo sum:* poeta nie wié, czém jest, czy „trwałym słońc promieniem, co się wiekom broni"; czy „pyłkiem bez znaczenia w atomów pogoni", wié tylko jedno, że tyle chowa w sobie smutków, iż ma prawo wyrzec „jestem i żyję!" Smutek więc, ból i cierpienie, to jedyne dlań realne istnienie; ono, jak czarną krepą, przesłania całą jego istotę — wszystko inne może być ułudą, przywidzeniem, ale ten ból, co czuje w łonie, nie może nie być rzeczywistością. Co wywołało u poety ten nastrój? czy jest to cierpienie prawdziwe, czy może tylko maniera? — rozstrzygać trudno, témbardziéj, że z mglistéj frazeologii poety trudno wycisnąć jakieśkolwiek dane co do téj kwestyi; dość, że „serce szpecą mu blizny", że ze wspomnień przeszłości został mu tylko „wychudły szkielet w kącie duszy", a w jednym z piękniejszych sonetów („Bez duszy") powiada, że umarła mu dusza, gdyż „pękła główna arterya w jego życia osnowie" — gdyby nie ta ścisłość anatomiczna, trochę rażąca w poezyi, mielibyśmy wcale udatnie

w poetyczny sposób wyrażoną myśl, że poeta przejść musiał w życiu jakąś katastrofę, jakieś ognie probiercze, które wyżarły w nim wszystkie władze duszy, i oto żyje teraz życiem roślinném, „jak grzyb na próchnie". Czy były to cierpienia osobiste? nie zdaje się — téj, któréj poświęcił swój zbiorek, zawdzięcza wiele chwil jasnych w przeszłości; prędzéj „ból, tętniący w krwistém łonie ziemi", prędzéj „rozpacz milionów, co pierś świata ciśnie", i zestrzela się w „w świetlnym kręgu księżyca" wsączyły jad w duszę poety; a może i to ranę w sercu jego rozkrwawia, iż żyje samotny, „jako kłos, oszczędzony na skoszoném polu", „pełen miłości i — żalu do ludzi." — A jak wielkim, jak dumnym czuje się w tym bólu! z jaką ironiczną wzgardą odrzuca oświadczenie miłosne „dobréj pani" („Sonet erotyczny I")! z jaką skwapliwością zamyka przed kochanką tajemne „laboratoryum" (!) swéj duszy! z jaką nieprzystępną dumą stara się zasklepić w owém życiu „grzyba na próchnie" i pozbyć „ostatniéj zmory życia"—wspomnienia; „spójne uczucie to dobre *excrementum* (!!), ale słup nikłych wspomnień..." (Fantazya „Spowiedź"). Ba, nawet duszę własną wypędza precz od siebie, ale ta „kulawa waryatka" nie przestaje go ścigać — aż do celi (klasztornéj? szpitalnéj?) (Fantazya „Dusza wygnana"). — Tyle można wyrozumiéć co do nastroju poety z jego ciemnéj, mglistéj frazeologii; reszta ginie wśród zmroków i ciemni, syków i zgrzytów, jęków i psich skowytów — już tych psów, „wyjących w pożółkłych sercach", stanowczo za wiele w téj poezyi. Z pomiędzy fantazyi najlepszą, najgłębszém tchnącą uczuciem jest „Rana": poeta ze sztyletem w piersi idzie bulwarem; obojętnie mijają go przechodnie, *ona* usiłuje wyrwać mu z serca krwawiące się żelazo, ale, niezręczna, wpycha je jeszcze głębiéj, — tylko pies wierny idzie jego śladem i zlizuje krew jego z bruku. — Co się tyczy stylu i języka, to poeta nasz wiele pozostawia do życzenia. Już z kilku powyżéj przytoczonych urywków widzimy, że lubuje się on w takich zwrotach i wyrażeniach, które za piękne w żaden sposób uchodzić nie mogą; jak można np. tolerować w poezyi takie przenośnie: „nasmarowałem drzwi do własnéj duszy, aby nie skrzypiały", lub owego eleganta, wyrzucającego „z nadpróchniałéj duszy niemiłe naleciałości" — za pomocą wykałaczki, albo damę w ziewnięciu spazmatycznie otwiérającą „paszczę" i t. d. Sonety wolniejsze są od tych rażących dysonansów, lecz i tam odnajdujemy takie nieestetyczne pomysły, jak np. ów „Sonet erotyczny II", w którym poeta stoi z zachwytem przed fotografią duszy swéj lubéj, oprawioną za szkło. — Ale obok tego odnajdujemy takie prawdziwie piękne zwroty, jak np. „senny

wiatr, głaszczący twarz, jak matczyne, kochające dłonie", lub porównanie zadumy poety z królem-posągiem, okrywającym poecie czoło zwojem swego płaszcza, lub wreszcie stanowczo najlepszy ze wszystkich sonetów: „Wyschło łożysko rzeki". Do usterek stylowych zaliczyć jeszcze należy dziwaczny częstokroć szyk wyrazów i kilka neologizmów, których szczególniéj początkujący poeta powinien się wystrzegać, jak: całunek, zasklepie, rozprzęże, wszechodgadnienie i inn. I rymowanie nie zawsze idzie mu gładko; szczególniéj w sonecie, którego cała wartość poniekąd polega na piękności formy, nie wolno używać tkich rymów gramatycznych, jak: oprawił-ustawił-bawił-zadławił, lub zawiśnij-wyciśnij-błyśnij-wyśnij, albo też rymów pośledniéj wartości, jak: jaźni-wyraźniéj lub harpię-szarpię; niepodobna dla zachowania rytmu z czterozgłoskowego wyrazu patryarcha robić trzyzgłoskowego patrjarcha; niewolno tembardziéj dla rymu przyczepiać do końcówek wierszy wyrazów, nie odpowiadających całości pod względem treści, np.

Nie błyśnie zbawień światło w jasnéj szczęścia *zbroi!...* (!)

albo też

Tęczowe wiar mych bólem spłowiały *kobierce* (!)

Forma sonetu, twarda, jak granit, giętka i jak stal, nie znosi takich usterek. *H. G.*

= *Józef Flach.* **Studya nad współczesnym dramatem niemieckim.** I. Gerhart Hauptmann. Kraków 1898. — Monograficzne studya z dziedziny literatury powszechnéj są u nas taką rzadkością, że każdą rzecz z tego zakresu bierze się do ręki z prawdziwém zaciekawieniem tembardziéj, jeżeli rzecz dotyczy takiego potentata współczesnéj literatury dramatycznéj jakim jest Hauptmann. Autor niniejszego studyum obrał sobie nader trudne zadanie: charakterystyka literacka każdego żyjącego talentu, a témbardziéj rozwijającego się tak świetnie i tak niespodzianie, jak u autora „Hanusi", z konieczności rzeczy musi być tylko tymczasowem rusztowaniem; to też dzieło p. Flacha nie może rościć pretensyi do wszechstronnego wyświetlenia działalności znakomitego dramaturga. Nie jest to studyum o Hauptmannie, ale szereg studyów o oddzielnych dramatach tego autora w chronologicznym porządku od „Przed wschodem słońca" do „Dzwonu zatopionego"; poprzedza je treściwy życiorys twórcy „Tkaczów". Każde z tych studyów, a raczéj

sprawozdań, jest pracą bardzo sumienną i skrupulatną: p. Flach rozbiera krytycznie akt po akcie, scenę po scenie, z niezmordowaną drobiazgowością podnosząc zalety i wytykając błędy i usterki tak pod względem budowy, jak i treści. Szczególniéj technice dramatycznéj Hauptmanna ma wiele do zarzucenia; rażą go sceny i akty całe, posiadające mało akcyi, długie rozprawy filozoficzno-społeczne, całe ustępy epickie, w których z ust opowiadaczy dowiadujemy się o tém, co się stało za kulisami i t. d. Wytyka również p. Flach Hauptmannowi „brak zdolności plastycznego charakteryzowania" figur i niekonsekwencye w charakterach bohaterów i bohaterek, w skutek czego z pod pióra jego wyszły tak blade i sztywne postaci, jak Alfred Loth z „Przed wschodem słońca" lub Jan Vockerat i Anna Mahr z „Samotnych". I pod względem estetycznym p. Flach znalazł Hauptmannowi wiele do zarzucenia; nie może on przebaczyć autorowi „Dzwonu zatopionego" żadnego wybryku naturalistycznego w rodzaju Zoli lub Tołstoja; nawet w idealnéj „Hanusi" znalazł pod tym względem to i owo do sprostowania. Że w sztukach Haptmanna niektóre szczegóły zbyt jaskrawe mogą razić wybredny gust publiczności, przywykłéj tylko do delikatnego pieprzyku francuskiéj komedyi salonowéj—to prawda; ale twórca „Tkaczów" nie jest wszak przeciętnym autorem, do którego można stosować pospolitą miarkę przyzwoitości konwenansowéj. Wogóle studyom p. Flacha brak szerszego podkładu społecznego; wszak Hauptmann, jak sam autor niniejszych studyów przyznaje, „jest pisarzem na wskroś współczesnym" i skupia w sobie wszystkie bóle, nadzieje i marzenia współczesnego pokolenia. By więc postać jego należycie wyświetlić, trzeba postawić ją na szerokiém tle teraźniejszych prądów, kierunków i stosunków tak literackich, jak i społecznych. Nieliczne zestawienia z Sudermannem, Zolą, Ibsenem, Tołstojem, Lubowskim, czy Sawiczewskim nie wystarczają w téj mierze w zupełności. Uniknęłoby się wtedy wielu nieporozumień: nie byłoby wątpliwości co do stosunku Jana Vockerata i Anny Mahr z „Samotnych", gdyby się wzięło pod uwagę teoryę nad-człowieka Nietschego i indywidualizm Ibsena; nie zarzucałoby się braku historycznéj ścisłości „Tkaczom", gdyż ten dramat jest właśnie najbardziéj historycznym ze wszystkich utworów Hauptmanna, maluje bowiem, jak można najlepiéj całą ponurę grozę istotnych stosunków ekonomicznych i t. d. W każdym razie p. Flach oddał niemałą usługę publiczności polskiéj, podając jéj krytyczny rys całéj działalności literackiéj Hauptmanna, tém więcéj, że dramaty jego, prócz grywanéj na kilku scenach naszych „Hanusi", są u nas prawie nieznane. Pierwszą część swego zadania — drobiazgową analizę utworów autora „Samotnych — p. Flach wypełnił zupełnie zadawalniająco: czytelnik, nie-

znający nawet wcale Hauptmanna, może nabrać z niéj pojęcia o dziełach i kierunku literackim wielkiego dramaturga niemieckiego. Samego jednak dramaturga, jego wizerunku duchowego, tam nie znajdzie, gdyż druga część dzieła—synteza, czyli, inaczéj mówiąc, ogólny rzut oka na całokształt działalności pisarskiéj Hauptmanna, zaledwie jest u p. Flacha dotkniętą. Usiłuje on wprawdzie w „Zakończeniu" rzucić kilka ogólnych uwag, ale wszystko to, co mówi tutaj, że „uczucie jest źródłem, z którego wypływają dzieła Hauptmanna", jest jeszcze bardzo niewystarczającém. Nic to dziwnego: o Hauptmannie nie można jeszcze powiedzieć ostatniego wyrazu, gdyż talent jego dopiero zaczyna przejawiać się w całéj swéj męzkiéj potędze, a przytém, tak różnorodna działalność jego, tworząca obok „Tkaczów" — „Hanusię" obok „Futra bobrowego" — „Dzwon zatopiony" przedstawia poważne trudności do uogólnień.

= *Prof. Howitz.* **Dlaczego chorują nasze kobiety**, przetłómaczył według wydania niemieckiego z r. 1893 i uzupełnił objaśnieniami *Henryk Jakubowicz.* Warszawa, nakładem księgarni Alfreda Straucha i Sp., 1898. Niewielka ta książeczka, o 99 str., zajmuje się zboczeniami i niemocami organizmu niewieściego w ogólności i dlatego w tytułowém określeniu, że chodzi o n a s z e kobiéty, wyraz „nasze" jest zbytecznym, témbardziéj, że i objaśnienia, czyli przypiski tłómacza, mają na widoku wyłącznie udostępnienie niektórych „trudniejszych faktów z dziedziny anatomii, fizyologii i patologii," — o różnicach zaś w otoczeniu, życiu, obyczajach, trybach bytu kobiéty niemieckiéj i kobiéty polskiéj, niema w tych przypiskach wzmianki. Twierdzenie tłómacza, że dziełko mogłoby się przyczynić do tego, ażeby czytelniczki polskie, „lepiéj pojąwszy prawa organizmu, mogły z większą świadomością przystąpić do stosowania rad zawartych w dziełku", jest uroszczeniem z tego względu, że o normalnym stanie organizmu kobiecego dr. Howitz nie mówi nic zgoła, lub mówi tak pobieżnie i dorywczo, iż o żadnych „prawach" nie może być nawet wzmianki. Rzecz cała napisana popularnie, dostępnie, a o tyle stylowo otwarcie, że nieco więcéj estetyki w wysłowieniu, lub znacznie więcéj uspecyalizowanego traktowania przedmiotu, nie zaszkodziłoby książce, wydanéj zresztą starannie. *A. P.*

= Dnia 14 lipca 1898 r. odbyło się w Akademii Umiejętności Krak. posiedzenie Komisyi historyi sztuki. Przewodniczący, prof. M. Sokołowski,

złożył naprzód ukończony i świeżo wyszły zeszyt II i III tomu VI Sprawozdań Komisyi. Następnie przedstawił fotografię rzeźby, przedstawiającéj św. Annę samotrzecią w ołtarzu barokowym kościoła Bernardynów w Krakowie, z końca w. XV, najbliższéj szkole Wita Stwosza, w któréj mimo przeróbek znać pierwotny charakter. Znany jest dobrze piękny ołtarz drewniany barokowy św. Stanisława z początku w. XVII w kościele Panny Maryi, w któréj wprawione są cztery rzeźby oraz dwie wypukłorzeźby z pierwszych lat w. XVI; te dotąd zbadane nie zostały, a są bardzo piękne i zajmujące, jak np. scena zabicia świętego z ciekawą architekturą, z ołtarzem w mensie, nakrytéj pięknéj roboty serwetą. Powtarzaną jest wieść, że Wit Stwosz wykonał dla Maryackiego kościoła ołtarz św. Stanisława, — wspomniane części są jednak w stylu o wiele dojrzalsze. Referent przypuszcza, że pierwotnie ten ołtarz mógł być dziełem Stanisława Stwosza, syna i ucznia Wita, o którym pisał p. L. Lepszy; w każdym razie rzeźby te są niepospolite i wymagają bliższego rozbioru, co jednak uskutecznione być może jedynie po zdjęciu z nich fotografii. — Z kolei przewodniczący przedstawił referat o pomnikach bronzowych, przeważnie wielkopolskich, ilustrując go szeregiem fotografii z mało dotąd znanych zabytków. Pomniki te dzieli on na trzy grupy. Do pierwszéj należą nagrobki flandryjskiego pochodzenia, które z Bruges szły do Anglii, do Niemiec północnych, do Polski, wskutek jéj stosunków z Hanzą, ale z tych ani jeden dotąt się u nas nie dochował. Grupę przejściową stanowią prawdopodobnie bronzy północno-niemieckie, do których należy — jak się zdaje — grawirowana płyta bezimienna w katedrze w Poznaniu, o późném obramieniu z postacią nieznanego kanonika, trzymającego kielich z hostyą w stroju z pierwszéj połowy wieku XV-go, oraz z tarczą i bardzo pięknym aniołem, trzymającym banderolę z napisem: „*Utinam*”. W drugiéj połowie XV-go wieku sprowadzają się bronzy nagrobkowe z Norymbergi, kto wié jednak, czy nagrobek w kościele Dominikanów w Poznaniu z r. 1488, przedstawiający Felixa Paniewskiego, kasztelana lwowskiego, którego fotografię także referent przedłożył, tak piękny i starannie wykonany, da się przypisać Piotrowi Vischerowi. Do téj grupy i do typu norymberskiego należy piękny pomnik Mikołaja Tomickiego († 1478?), ojca biskupa krakowskiego, Piotra, w kościele w Tomicach, wykonany sumptem syna w r. 1524; jest on już zupełnie renesansowy o przepysznym rysunku i perspektywie, o wybitnym charakterze polskiéj twarzy; być może, że wyszedł z pracowni Hansa Vischera, syna Piotra, z którym Tomicki w stosunkach zostawał. Tę drugą grupę ilustruje również piękny pomnik Jana Karnkowskiego, biskupa kujawskiego († 1538 r.), w katedrze w Włocławku, wykonany za

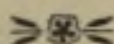
życia jeszcze w r. 1536, jest utworem o pysznéj ornamentacyi renesansowéj; na tle zasłony wieniec trzymają dwa *putti*, ubrane w sukienki, na banderoli napis: „*Donec in carne Deum videam*", daléj infuła i herb Junosza. Grupę trzecią wreszcie stanowią nagrobki polskie z odlewarni krakowskiéj, a do niéj między innemi należy np. pomnik Andrzeja Grodzickiego († 1550 r.) w katedrze w Poznaniu, o robocie znacznie grubszéj, ale z cechami dobréj szkoły. — Następnie tenże referent podał streszczenie najnowszych badań, dotyczących podniesionych po raz pierwszy przez siebie w nauce przedstawień Trójcy św. z trzema twarzami na jednéj głowie. Jak już w jednéj z dawniejszych rozpraw swych dowiódł, typ ten idzie z Francyi i rozwija się tam prawdopodobnie pod wpływem celtyckich tryad. Do tegoż samego wniosku w ostatnich czasach doszedł dr. Juliusz Schloyer w pracy temu samemu przedmiotowi poświęconéj. Oprócz Francyi i Włoch, a mianowicie Toskanii, najczęstsze są takie przedstawienia w ziemiach słowiańskich, dowodem tego, oprócz polskich i ruskich przykładów, podanych już poprzednio, są najnowsze rezultaty badań d-ra Zrbta w południowych Czechach i u Słowaków, gdzie cały szereg podobnych przedstawień Trójcy się znalazł i świéżo został publikowany. Jeżeli zatém u ludów słowiańskich typ ten tak był rozpowszechniony, to może przyczynił się do tego również jakiś stary kult pogański, a praca prof. Pokrowskiego w Petersburgu zwraca znów uwagę na rozpowszechnienie się tego typu w Rosyi za Katarzyny II-éj i na trudności z wykorzenieniem go związane. — Wreszcie przewodniczący przedstawił dalszy ciąg rozprawy d-ra Jerzego Kieszkowskiego o zabytkach w kościele w Szydłowcu, mianowicie o tryptyku z początku XVI wieku w ołtarzu wielkim, oraz o pięknym gobelinie z r. 1735, przedstawiającym scenę z „Don Kiszota", prawdopodobnie wedle kartonu Coypela. — Nakoniec prof. dr. Jerzy hr. Mycielski odczytał referat, p. t. „Malarz Kucharski i pani Geoffrin". Nawiązując rzecz do swych trzech poprzednich komunikatów, dotyczących twórczości Kucharskiego we Francyi, oraz do drukowanych przez prof. M. Sokołowskiego dokumentów o nim z r. 1765-go, przytoczył nowe szczegóły, jakie w téj mierze mieści w sobie znana korespondencya króla Stanisława Augusta z panią Geoffrin. Wynika z niéj, że już w r. 1763 bawił Kucharski w Paryżu pod opieką pani Geoffrin, jako stypendysta Poniatowskiego jeszcze przed jego elekcyą, że ona to następnie przez lat kilka nim się głównie zajmowała i donosiła królowi o jego postępach w pracowniach Karola Vanloo i Vien'a, że mu stypendya królewskie stale wypłacała i na prace jego wpływała. Trwało to aż do r. 1767, z którym ustała pensya Stanisława Augusta,

niezadowolonego z drobnego rodzaju robót młodego malarza, a chcącego go nakłonić koniecznie do tworzenia historycznych, wielkich płócien w t. zw. podówczas „wielkim stylu". Kucharski nie miał do nich ani zdolności, ani ochoty, i wskutek tego przyszło zapewne do zerwania na razie stosunków między nim a królem, co też niezawodnie przyczyniło się do jego osiedlenia się stałego we Francyi, gdzie między rokiem 1780 a 1795 stał się wysoko cenionym i bardzo modnym portrecistą i miniaturzystą dworu i arystokracyi.



Zamiast Kroniki.

PO ZGONIE BISMARKA.



Zmarł twórca jedności niemieckiéj, pierwszy kanclerz tego zjednoczenia, w d. 30 lipca w dobrach swych Friedrichsruhe, otrzymanych w darze nazajutrz po wojskowych i dyplomatycznych tryumfach wojny 1870—71 r., — a śmierć jego, raz jeszcze — prawdopodobnie ostatni— do dna poruszyła i wzburzyła morze tych samych namiętności różnorodnych, z sobą sprzecznych, jakie niegdyś, za jego życia, budziły się na wieść powodzeń jego niezmiernych. Swoi przekroczyli granice uwielbień bałwochwalczych; obcym zabrakło tchu od złorzeczeń i przekleństw. Poniekąd, można to sobie wytłómaczyć. Że na pogrzebie takiego potentata domownicy jego nie żałują kadzideł, świateł, podniet dla płaczek urzędowych, rzecz to utarta zwyczajem odwiecznym; nawzajem, że ci, co opłaciwszy swojego czasu tę wystawność haraczem ciężkim, okrutnym, również nie znają miary w potępieniach, to jeszcze zrozumialsze. Nie żądajmy tylko, aby w tak rozdwojonym i rozbitym chórze słyszéć się dał głos historyka lub moralisty, — szczególnie u nas.

W takich warunkach, z dziennikarskiego chyba stanowiska zaznaczyćby należało, że nie same tylko Niemcy pożegnały w d. 30-ym lipca pierwszorzędnego męża stanu. Sytuacye dziejowe się powtarzają. Gdziekolwiek zaś powtórzyć się mogą, antecedens analogiczny powinienby przedewszystkiém mieścić w sobie trochę nauki na przyszłość.

Względ powyższy nabiéra pewnéj szczególnéj wartości, jeżeli się zważy, że to, co słusznie i zasadnie nazywamy wielkością głównego dzieła Bismarka, nosi na sobie bardzo wyraźną pieczęć pracy jego indywidualnéj, w walkach i ogniach życia wyrobionéj. Materyały na tę wielkość — podwaliny możliwego zcalenia ojczyzny—były już bezwątpienia zgromadzone przedtém, dawniéj. Wiadomo, że w kierunku faktycznego zjednoczenia narodu wytężały się od czasu wielkiéj rewolucyi francuskiéj i wojen napoleońskich wszystkie jego siły moralne i umysłowe: umiejętność, poezya, sztuka — o ile, naturalnie, nie krępował i nie niweczył ich obuch reakcyi tępéj, zawziętéj. Nie zbywało téż i na próbach zcalenia państwowego, jak np. w r. 1848, kiedy Prusy, wzbraniające się czas długi stanąć na czele ruchu rewolucyjnego, dały się ubiedz Austryi. Nie trzeba jednak zapominać, że wszystko to razem, po reakcyi lat następnych, wpadło w taki straszliwy zamęt, w takie zniechęcenie i rozbicie, że do saméj wojny włoskiéj, w okresie pierwszych kroków Bismarka na ukrytéj jeszcze dla szerszego ogółu widowni jego życia publicznego, nigdzie nie spostrzegamy nietylko świateł, lecz nawet błędnych ogników złamanego i sponiewieranego usiłowania. Tymczasem, usadowione dokoła aglomeraty wrogie, nad tém tylko zdawały się czuwać, o to wyłącznie się starać, aby niemoc chroniczną utrwalić. Na odgłos wypadków r. 1859, na widok zorzy odrodzenia Włoch, naród ożywia się nagle, — atoli i ten wybuch, jakby posłuszny wpływowi niezdecydowanego geograficznego i topograficznego położenia narodu, oraz zawiłéj jego szachownicy związkowéj, pokrajanéj na niebywałe figury samowładztw drobnych, wnet się rozbiega na mnóswo prądów wzajem na siebie zachodzących, wzajem się krzyżujących i niweczących: demokratycznych, legitymistycznych, rewolucyjnych, zachowawczych, liberalnych, katolickich, saskich, austryackich, pruskich, północno- i południowo-niemieckich.

Jakiéj trzeba było potęgi umysłu, jakiego zasobu wytrwałości, jakich arcydzieł sztuki udawania i pozorowania, ażeby z gmatwaniny podobnéj wyprząść porządniejsze jakieś zbiorowisko, ażeby spędzić do gromady tyle niesfornych żywiołów, — oto problemat, który na pierwszém miejscu godziłoby się postawić i gorliwie się nim zająć.

Na promiennem tle przesłanek polityki Cavoura wniosek jedności niemieckiéj, uosobiony w grubéj, bryłowatéj sylwetce Bismarka, występuje z początku bardzo powoli i ociężale; w miarę atoli, jak się figura z cieniów wyłania, w sobie się skupia, widać coraz wyraźniéj, że świat miéć będzie do czynienia z czémś takiém, w czém szybkość i moc działania — skoro raz do dzialności przyjdzie, proporcyonalną będzie do masy. A masa przedstawiała się imponująco. Dość było rzucić

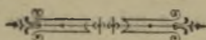
okiem na postawę cavourowskiego tego nowotworu, ażeby bez specyalnych wywodów Virchowa módz zawyrokować, że zjawisko wypełzło atawistycznie z jakiegoś chyba grobowca troglodyckiego, że to jakiś, cudownie ocalony potomek wytrzebionych Obrów, Awarów, Hunnów czy téż Finnów z epoki toporów i maczug krzemiennych, z czasów kiedy istota ludzka, osaczona i zagrożona zewsząd, czujną być musiała jak pies, drapieżną jak tygrys, podstępną jak lis i jak wilczyca żarłoczną. Nie brak wprawdzie poszlak, że rzadcy potomkowie takich praojców, zarówno jak i sami praojcowie, nie byli (*respective* nie są) pozbawieni pewnych uczuć altruistycznych, pewnych tkliwszych popędów serca, cieplejszych barw fantazyi, szlachetniejszych pożądań duszy. W Bismarku wszakże mniejszy lub większy zasób téj siejby dość wcześnie wyzbierała „junkierska" i „burszowska" młodość, tudzież życie wiejskie, tém się różniące od miejskiego, że w niém żadne głupstwo, żadna podłość się nie zaciéra i nie niknie w tłumie, że tu jak na dłoni widzisz wzrost i rozwój egoizmów, wyzysków i wywyższeń wszelkich. Resztę instynktów z lepszych — jeśli jakiekolwiek jeszcze pozostały — wytrawiła jałowa szermierka w rozmaitych landtagach i parlamentach przygotowawczych, w jakie obfituje okres organizacyjnych prób i kombinacyi prusko-niemieckich z przed i po r. 1848, a więc, najpierw w sejmie prowincyonalnym (1847), gdzie się rozprawiało o ogarach, koniach, drogach i dziewczętach; później w ogólnym sejmie berlińskim (kwiecień 1848 r.), gdzie młody, trzydziestoletni Bismark samowtór z drugim typowym żołdakiem legitymistą protestował przeciwko konstytucyi nadanéj narodowi przez Fryderyka-Wilhelma IV-go; wreszcie w radzie związkowéj frankfurckiéj (od r. 1851), w któréj pełnomocnik Prus, zaprawiony już w ujadaniach się o lojalizm kapralski, nauczył się skutecznie stawiać „miedziane czoło cynizmu" wykwintnéj jezuicko-metternichowskiéj obłudzie urzędników austryackich „przebranych za dyplomatów". Ci, co nań zwrócili uwagę w owéj dobie, utrzymują, że już wówczas z całego pierwotnego Bismarka, z całego mamutowego jego ustroju anatomiczno-fizyologicznego pozostały trzy tylko rzeczy: szczęka zacięta uporem niemal oślim, język jak kwacz rozchodzony i mózg z niczém porównać się nie dający: gatunek olbrzymiego rzeszota zatrzymującego w sobie same tylko wyobrażenia namacalnie praktyczne, a zaprzątniętego jedynie doborem środków, sposobów i narzędzi najszczelniéj dopasowanych do celów bezpośrednich, najbliższych. Sam utrzymywał Bismark o sobie z naciskiem podejrzanym, że mu pozostało i coś więcéj jeszcze, a mianowicie: wiara w Opatrzność kierującą losami ludów i opiekującą się szczególnie ludem niemieckim. Ale

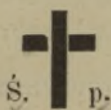
jest to widocznie naleciałość znacznie późniejsza, z epoki Soboru Watykańskiego i Sedanu, kiedy się mu śnić zaczęło na jawie, że w historyi nowożytnéj Bóg dwa razy tylko zrozumialéj przemówił do ludzi, — przez Lutra i przez niego, Bismarka — że dopiéro za drugim tym razem najdowodniéj sprawdził się pewnik górujący w protestantyzmie i w Starym Zakonie, iż „Pan zawsze się oświadcza po stronie najliczniejszych i najbardziéj wyćwiczonych batalionów.”

Machina troglodycka, gdy się do roboty zabrała w kilkanaście miesięcy po wojnie włoskiéj, działała tak sprawnie, tak spreżyście, że w ciągu niespełna lat dziesięciu poprzestawiała wszystkie środki ciężkości politycznéj, powywracała wszystkie systemata dyplomatyczne, w kawałki pocięła wszystkie istniejące stosunki i ugody międzynarodowe... Baczne, szczegółowe zastanowienie się nad tém ciekawém i w najwyższym stopniu pouczającém dziesięcioleciem, czyliżby nie więcéj obiecać i dotrzymać mogło od czczych urągań przesilonemu rozumowi tytana, co w wykute nadludzkim prawie sposobem naczynie, jął następnie, po waryacku w ciągu lat dwudziestu, lać napój zmącony, niezdrowy, wstrętny?... Niemcy pobismarkowskie przysięgają obecnie na grobie największego ze swoich bohatérów, że napój ten pić będą do skończenia wieków, że podupadłą Małgorzatę swych swobód i ideałów dawnych, gwałcić przestaną i bezcześcić dopiéro wtedy, gdy nad ziemią zgasną gwiazdy Goethego i Bismarka... To ich sprawa, o co się tu gniéwać? kogo i co opłakiwać?..

Powiadają, że w tych opałach w e w n ę t r z n y c h nazbyt srogie i mocne ciosy spadały na poznańczyków i że w ostatnich, przed zgonem Bismarka latach, obłąkana jego dusza dogorywała w podrygach wyłącznéj nienawiści do Polaków. Niezmiernie to wątpliwe, już choćby dlatego, że we wszelkich, większych i mniejszych objawach owéj w e w n ę t r z n é j niby to epilepsyi bismarkowskiéj, zanadto dokładnie do najdrobniejszych szczegółów uwydatniają się oznaki staréj, zastarzałéj choroby z e w n ę t r z n é j. I to jest zupełnie naturalne, to najprościéj wypływa z logiki wypadków. Kto w r. 1866-ym wywalił jedną ścianę, w r. 1870 ym — drugą, mógłże kiedykolwiek przestać majaczyć o wywaleniu trzeciéj? — Komizm sytuacyi, o refleksach tragicznych, tkwił i podziśdzień tkwi w tém jedynie, że trzecia ta ściana oddawna leży w gruzach.

I. T. Hodi.





Ksiądz Franciszek Krupiński.

Społeczeństwu naszemu ubył mąż niezwykłych zdolności, wytrwałéj pracy a wielkich zasług.

Dnia 16 sierpnia r. b. zakończył życie w Warszawie ks. Franciszek Krupiński.

Urodzony roku 1836-go w Łukowie, szkoły ukończył w témże mieście. Zamierzając wstąpić do stanu duchownego, żądny wiedzy, szesnastoletni młodzieniec wybrał sobie Zgromadzenie księży *Scholarum Piarum*, które w dziejach oświaty narodowéj zyskało sobie piękną kartę. Po odbyciu nowicyatu w Opolu lubelskiém, przeszedł do Akademii duchownéj w Warszawie, a nie poprzestając na tém, uczęszczał na wykłady nauk przyrodniczych w świéżo wtedy otwartéj w kraju Akademii medycznéj; poczém pełnił obowiązki nauczyciela w swojém Zgromadzeniu.

Przeniósłszy się do Warszawy, rozszerzył swą działalność, jako kaznodzieja, nauczyciel i pisarz kazania. Księ-

dza Krupińskiego zgromadzały w kościele księży Pijarów licznych słuchaczy ze sfery inteligentnéj: poważna treść, wykład jasny, wolny od czczéj retoryki, ale natomiast logiczny, ściągały tu gromady ludzkie.

Jako pedagog, zdobył sobie najcenniejszą w tym trudnym zawodzie nagrodę, otaczały go bowiem miłość, cześć i zaufanie młodzieży, a uczucia te przechowywały się w sercach byłych uczniów dość żywo, skoro, dowiedziawszy się o ciężkiéj chorobie nauczyciela, zebrali między sobą fundusz na założenie stypendyum jego imienia: wiedzieli czém mu wdzięczność swoją najlepiéj okazać mogą, czém gnębionego ciężką chorobą pocieszyć — stworzyli rzecz pożyteczną.

Działalność publicystyczną rozpoczął ksiądz Krupiński w r. 1865 „Listami ze Starego Miasta”, drukowanemi w „Gazecie Warszawskiéj”, siejąc w społeczeństwo zdrowe ziarno. Odtąd pomieszczał swe prace w rozmaitych czasopismach. „Ateneum” od chwili swego założenia w roku 1876-ym miało w księdzu Krupińskim gorliwego współpracownika; a czytelnicy nasi pamiętają bezwątpienia jędrne artykuły, podznaczane cyframi *F. K.* lub *K.*, a niekiedy bez żadnéj cyfry; w końcu ręka słabnąca już pióra utrzymać nie mogła, serce jednak pisarza pozostało nam wiernem do końca.

Ksiądz Krupiński wzbogacił nasze piśmiennictwo wielu przekładami dzieł poważnych, jak A. Schweglera „Historya filozofii”, „Zarys ustawy angielskiéj” według D. Ashera, Straulego „Historya naturalna dla młodzieży”, „Logika” Baina, „Nauka o wychowaniu” tegoż autora,

a uzupełniał je zwykle całemi rozdziałami, dotyczącemi rzeczy polskich.

Oryginalnie napisał wiele rozpraw, z których wymienimy tylko: „Przyszłość filozofii polskiéj", „Szkołę pozytywną" i „Uwagi o Supińskim, Trentowskim i Millu", nie chcąc tego pośmiertnego wspomnienia o przyjacielu zamieniać w spis bibliograficzny.

Czterdziestoletnia, natężona praca złamała ten potężny fizycznie i umysłowo organizm, przyprawiła o chorobę długą i ciężką, która go nam w końcu zabrała. Straciliśmy dzielnego pracownika, pozostaną wszelako owoce jego wysiłków, pozostanie pamięć zacnego żywota. Był to umysł wykształcony, ścisły, jasny, przekonań silnych, wypowiadający je dosadnie, nie goniący za popularnością; charakter czysty. Czyż to nie dosyć, abyśmy pamięć jego czcili i starali się naśladować?



Wydawca: *W. Spasowicz.*
Za Redakt.: *W. Spasowicz* i *Stanisław Wydżga.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Августа 1898 г. — Druk Jana Cotty.

III. Dział ten zawiérać będzie najważniejsze dla rolnika *rozporządzenia handlowe* wydane przez władze miejscowe, jakotéż *informacye* co do zwyczajów targowych zagranicznych (Marktüsance), daléj *zmiany taryf*, *ceł*, *opłat*, *premii* i t. p.

IV. W dziale czwartym drukowane będą *artykuły ogólnéj treści rolniczéj*, lecz najczęściéj dotykające stosunków handlowych. Tutaj zamieszczać będziemy wszelkie *ważniejsze uchwały*, *sprawozdania i bilanse spółek i towarzystw rolniczych*, których organem chcielibyśmy stać się z czasem.

Dotychczas posiadamy już w naszéj tece redakcyjnéj kilka prac większych przeważnie młodszych autorów, a w najbliższych numerach rozpoczniemy drukowanie ważnéj pracy traktującéj o „Giełdzie zbożowéj w Warszawie", następnie artykuł p. t. „Kilka słów o handlu wełną u nas i gdzieindziéj", w dalszych zaś numerach podamy projekt „Stowarzyszenia dla wyrobu i wywozu masła konserwowanego".

V. „*Odpowiedzi redakcyi*". W tym to dziale redakcya odpowiadać będzie na wszelkie zapytania Abonentów w kwestyach handlu produktami rolnymi, a celem tychże odpowiedzi jest udzielanie bliższych informacyi co do konjunktur czy téż sposobu importu i eksportu, wogóle wiadomości, może poniekąd dla jednostek bardzo ważnych, ale zanadto specyalnych, aby je ogólnie i stale traktować jako jeden z poddziałów grup pośrednich. Mając w tym dziale zapewniony współudział wybitnych handlowców i specyalistów, jesteśmy mocno przekonani, że „*Odpowiedzi redakcyi*" staną się z czasem jednym z najważniejszych powodów, dla których każdy rolnik „OKÓLNIK" stale w swéj kancelaryi posiadać będzie.

Za **4** rs. otrzyma każdy 52 okólników rocznie, licząc w to już przesyłką pocztową.

Cena pojedyńczego numeru — 10 kop. Prenumerata otwiéra się całorocznie i półrocznie, niezmiennie w całém Królestwie Polskiém i Cesarstwie. Zagranicą prenumerata wynosi 5 rs. rocznie.

Redakcya i Administracya „OKÓLNIKA ROLNICZO-HANDLOWEGO": *Warszawa, ulica Hoża № 19.*

Redaktor i Wydawca **Jerzy Ryx**.

Nowe książki nadesłane do Redakcyi „Ateneum“.

1. **Dzieje powszechne** ilustrowane. Wiedeń, nakł. Franciszka Bondy, skład gł. w księgarni G. Centnerszwera w Warszawie, zesz. 213—232, z licznemi rysunkami.
2. **Szelągi kieleckie.** Przez *Adolfa Dygasińskiego.* I, str. 203; II, str. 152. Kielce, nakład Michała Żelichowskiego, 1898 r.
3. Ks. *Feliks Tomalski.* **Konferencye** o świętym Wojciechu. Kielce, nakład autora, 1897, 8-vo, str. 112.
4. **Frantisek Palacký.** Napsal *Jaroslav Goll.* V Praze, Bursik et Kohunt, 1898, 8-vo, str. 73.
5. **Ciepłota mózgu** oraz związek jéj ze zjawiskami psychicznemi. Podał *A. Grosglik.* Str. 14.
6. **Kilka słów o Stowarzyszeniu** subiektów handlowych wyzn. mojż. Napisał *Jakób Rotman.* Warsz., 1898, str. 31.
7. **Encyklopedya ilustrowana** wiadomości pożytecznych. Warsz., nakł. Michała Arcta, zesz. 32 (cena 25 kop.).
8. *S. Orgelbranda.* **Encyklopedya powszechna** z ilustracyami i mapami. Zeszyt 40, 41, 42 (cena zesz. kop. 20).
9. **Rok dziewięćdziesiąty trzeci** *Wiktora Hugo.* Z przedmową *J. A. Święcickiego.* Tom III, str. 152 („Biblioteka dzieł wyborowych“, Nr. 42). Warsz., 1898 r. (cena 25 kop.).
10. *Stanisław Koszutski.* **Z bólów duszy** (poezye). Warsz., skład gł. w redakcyi „Głosu“, 1898, str. 30 (cena 40 kop.).
11. **Encyklopedya rolnicza** wydawana staraniem Muzeum przemysłu i rolnictwa. Warsz., skład gł. w księg. Gebethnera i Wolffa, 1898. Zesz. LXXVII.
12. **Dziennik Franciszki Krasińskiej** (z czasów Augusta III-go) *Klementyny Hofmanowéj,* z przedmową *T. Jeske-Choińskiego* („Bibl. dzieł wyborowych“, Nr. 43). Warsz., 1898, 8-vo, str. 159 (cena kop. 25).
13. *Plato v. Reussnera* **Samouczek** polsko-ruski, zesz. XVI (cena kop. 10).
14. **Ljetopis Jugoslavenske Akademije** za god 1897. Zagrzeb, 1898, str. 316 i XXIX.
15. **Rad Jugoslavenske Akademije.** Razredi filologijsko-historijski i filozofijsko-juridički, str. 214; matematičko-prirodoslovni razred, str. 208.
16. **Obraz literatury polskiéj** w streszczeniach i celniejszych wyjątkach ułożył *Piotr Chmielowski.* Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1898, 8-vo, zeszyt 16 (str. 81 — 160).
17. *M. Ostrogorski.* **Kobieta a prawo publiczne** (studyum z historyi i ustawodawstwa porównawczego). Przełożył z francuskiego *Zygmunt Poznański.* Warsz., 1898, wyd. z zapomogi Kasy im. Mianowskiego, 8-vo, str. 188.
18. **Nowe dziedziny widma** *Wiktora Biernackiego,* z przedmową *Juliana Ochorowicza* („Bibl. dzieł wybor.“, Nr. 44). Warsz., 1898, str. 144.
19. **Die industrielle Entwicklung** Polens von *Rosa Luxemburg,* Doktor der Staatswissenschaften. Leipzig. Verlag von Duncker et Humblot, 1898, 8-vo, str. 95.
20. **Rozprawy** Akademii Umiejętności. Wydział filologiczny. Serya II, tom XII. Kraków, 1898, str. 399.
21. *Plato v. Reussnera* **Samouczek** polsko-francuski, wyd. 3, zeszyt I, str. 16.
22. **Warszawskie miejskie laboratoryum** mechaniczne do próbowania materyałów budowlanych i technicznych. Opisał inżynier-technolog *S. Szczeniowski.* Warsz., wydawnictwo Magistratu warsz., 1898, 4-to, str. 39, z tabl. rysunk.
23. *Józef Dunin Karwicki.* **Ze starego autoramentu.** Typy i obrazki wołyńskie. Warsz., nakł. księg. Dubowskiego, 1899, 8-vo, str. 249.
24. *Stańko.* **W złocie.** Powieść. Warsz., nakł. księg. Dubowskiego, 1899, 8-vo, str. 307.
25. *Aldona.* **Pieśni kobiety.** Warsz., skład gł. w księg. Dubowskiego, 1898, 8-vo, str. 48.
26. *Władysław Zalewski.* **Dla niéj** (poezye). Warsz., księgarnia Dubowskiego, 1898, 8-vo, str. 20.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.